

SIECI

ZŁAMANY MONOPOL!

TELEWIZJA w POLSCE 24
RUSZYŁA Z SUKCESEM.
KOMU TO PRZESZKADZA?

KTO UCIEKA
Z UKRAINY?
JAKUB
MACIEJEWSKI
DOTYKA TABU

POKAŻ MI
TATUAŻ,
A POWIEM CI,
W JAKIM GANGU
JESTEŚ

JĘŚLI PiS
MA PRZETRWAĆ,
PATRIOCI
MUSZĄ SIĘ RUSZYĆ

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

37 (615) 2024
9-15 września 2024

CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)



TYLKO U NAS

ŚCIGANI

**JAK ŻYJĄ ZA TUSKA
PRZEŚLADOWANI I ICH RODZINY**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269403
Numer w sprzedaży do 16 IX 2024 r.

Newsy, komentarze,
opinie ekspertów

Zaprasza
Michał Adamczyk

Najważniejszy
program informacyjny
w Polsce.

wPolsce
24

WIADOMOŚCI

codziennie
19:30

wPolsce 24

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52
telewizja
naziemna

192
netia

32
orange

825
vectra

196
polsat box

339 dekodery
Mediabox
PLAY

121 dekodery
KAON i Horizon
dawniej UPC

eprasa.pl/b56cbeacc

Tuskokracja – ustrój brutalny

W 2018 r. świętowaliśmy 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. W pięknym i pokojowym Marszu Niepodległości wzięło udział kilkaset tysięcy ludzi. Po sześciu latach tamto wydarzenie wraca jako sprawa kryminalna. Okazuje się, że ktoś z uczestników miał wówczas grozić komuś innemu, co stanowi wystarczający pretekst do siłowego wdarcia się do domu Roberta Bąkiewicza, zarekwirowania mu prywatnych urządzeń elektronicznych. Nowe metody działań bodnarowców nie są jedynie szaleństwem. To już systematyczne represje. Celem jest zastraszenie, zablokowanie inicjatyw obywatelskich i obezwładnienie opozycji.

Brutalność działań, które państwo Tuska podejmuje przeciwko obywatelom, powinno obudzić najwyższy sprzeciw. Regularnie mamy do czynienia z naruszaniem miru domowego, i to nawet na najwyższych szczeblach. Kilka miesięcy temu funkcjonariusze wdarli się do pałacu prezydenckiego podczas nieobecności głowy państwa i wyprowadzili stamtąd posłów Mariusza Kamińskiego oraz Macieja Wąsika. Mieliśmy też siłowe wtargnięcie do domu byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry podczas jego nieobecności i wyniesienie jego rzeczy osobistych oraz zatrzymanie posła Marcina Romanowskiego. Są areszty, zatrzymywania, unieważnianie immunitetów i coraz bardziej bezczelne groźby. Byli ministrowie są uznawani za zorganizowaną grupę przestępczą, a Donald Tusk nie czuje żadnych hamulców, gdy podczas konferencji prasowej wygraża I prezes Sądu Najwyższego „zawiadomieniem o podejrzeniu przestępstwa”.

Cały aparat państwa został uruchomiony w jednym celu: zniszczeniu obecnej opozycji i środowisk katolicko-konserwatywnych. Realizowany jest plan przedstawiony przez niemieckiego publicystę Klausa Bachmana, który przekonywał w „Berliner Zeitung”, że „jeśli nowy rząd naprawdę chce rządzić, musi skierować całą siłę państwa policyjnego przeciwko PiS i prezydentowi”. I kieruje. Bez względu na oślep. Nie ma dnia, by nie padły kolejne groźby, a służby podległe Adamowi Bodnarowi uwijają się wokół realizacji planu zemsty tak pieczołowicie, że problematyczne zaczyna być ściganie realnych złoczyńców. Póki co najgroźniejszymi przestępcami w państwie Tuska wydają się dwie urzęd-

niczki i ksiądz, którzy od pół roku siedzą w areszcie za to, że realizowana była budowa ośrodka pomocy ofiarom przemocy w legalnie wygranym konkursie.

I choć cała uwaga jest skupiona na rzekomej przestępczości poprzedniego rządu, życie gospodarcze biegnie własnym torem, a polskie sprawy zostały totalnie odpuszczone. Przez 8 lat rządów Prawa i Sprawiedliwości nie mieliśmy tak potężnego deficytu państwa, w jaki wpędza Polskę rząd Tuska. Mimo to znajdowały się wówczas środki na programy społeczne, wielkie inwestycje, tarcze ochronne, wydatki specjalne podczas niespotykanych wcześniej kryzysów, jak pandemia czy wojna na Ukrainie.

Zamiast jednak szukać konstruktywnych rozwiązań, obecna ekipa przepala miliony na komisje śledcze ściągające PiS, rozrośnięty ponad miarę aparat urzędniczy i działania, które nie stanowią materii inwestycyjnej. Słychać też o kolejnych planach zwijania gospodarki oraz likwidacji przedsiębiorstw. Próżno szukać konstruktywnych rozwiązań tej sytuacji u ekipy, której jedyną troską jest wdrażanie neomarkistowskiej ideologii do działań społecznych i edukacyjnych oraz przykrywania własnej niemocy kreowaniem kolejnych afer, przypisywanych poprzednikom. Ma powstać zbiorowe przekonanie, że „piniendzy nie ma”, bo przez osiem lat rozkradło je PiS. Stąd te zmasowane ataki, zatrzymywania, komisje i areszty.

Efektom tych działań jest kompletne rozmontowanie państwa, które staje się coraz bardziej represyjne. Uderzono już we wszystkie przestrzenie: polityki, mediów, Kościoła, wymiaru sprawiedliwości, organizacji społecznych. Każdy, kto angażował się w działania publiczne, musi być dziś przygotowany na niespodziewaną wizytę funkcjonariuszy, rewizję rzeczy osobistych i wszelkie inne konsekwencje, bo domniemanie niewinności nie jest respektowane w tym ustroju. Wtargnięcie do domu Roberta Bąkiewicza za absurdalną sprawę sprzed sześciu lat wygląda jak upiorna mistyfikacja mająca na celu społeczne zastraszenie.

Należy się też spodziewać kolejnych uderzeń w patriotyczno-katolickie organizacje, a w niedługim czasie również media. Tuskokracja jest ustrojem niezwykle brutalnym, a co najgorsze – bezkarnym. Przynajmniej na razie.

Marzena Nykiel



25 Koszt Unii Konrad Kołodziejcki



39 Nic się nie stało, Germanie nic się nie stało Dariusz Matuszak



50 Pobór, który jest lubiany Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

- 5 O GODNOŚCI
Bronisław Wildstein
- 6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 SPOWIEDŹ TUSKA
Krzysztof Feusette
- 9 ZNOWU WRZESIEŃ
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 WRZESIEŃ 1939. MORDERCY
RUSZAJĄ NA POLSKĘ
Jan Pietrzak
- 12 LEPSZE „ŚWIĘTE KROWY”
I „KOSZ PREZENTÓW” DLA TUSKA
Samuel Pereira
- 13 CHIŃSKI ŁAD
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 WALIZKA ŻAKLINY SKOWROŃSKIEJ
Michał Korsun
- 16 KARMA WRACA
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

- 17 PUK, PUK! KTO TAM?
UŚMIECHNIĘTA POLSKA!
Marek Pyza

KRAJ

- 22 ODEBRANA SUBWENCJA,
CZYLI DOBIĆ PIŚ
Piotr Gursztyn
- 25 KOSZT UNII
Konrad Kołodziejcki
- 28 Z HANNA DĄBROWSKĄ
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 32 DZIURAWIE SIECI
KOSINIĄKA-KAMYSZA
Stanisław Janecki
- 34 TO, CO RZĄD ROBI
W SPRAWIE ABORCJI,
JEST BARBARZYŃSTWEM
Z Markiem Grabowskim
rozmawia Goran Andrijanić
- 36 ZŁAMANY MONOPOL
Maciej Walaszczyk

OPINIE

- 39 NIC SIĘ NIE STAŁO,
GERMANIE NIC SIĘ NIE STAŁO
Dariusz Matuszak

ŚWIAT

- 42 MIGRACJA, GŁUPCZE!
Aleksandra Rybińska

- 45 KOMUNIŚCI, CZYLI NIEMIECKIE
„DEMOKRATYCZNE CENTRUM”
Jan Rokita

- 48 KTO UCIEKA Z UKRAINY?
Jakub Augustyn Maciejewski

- 50 POBÓR, KTÓRY JEST LUBIANY
Marek Budzisz

- 54 POKAŻ MI SWÓJ TATUAŻ, A POWIEM
CI, W JAKIM GANGU JESTEŚ
Małgorzata Wołczyk

SIECI KULTURY

- 57 PO DRUGIEJ STRONIE OBIEKTYWU
Jolanta Gajda-Zadworna

- 59 MELPOMENA W UŚCISKU LEWICY
Maciej Walaszczyk

- 62 NIECH ZDYCHA
Robert Tekieli

- 63 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

- 64 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY
Maciej Walaszczyk

- 66 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

HISTORIA

- 67 BRYTYJCZYCY
ODWOŁUJĄ POLSKIEGO
NACZELNEGO WODZA
Stanisław Płuzański

PODRÓŻE

- 70 FILMOWE SZLAKI:
ZAKOCHANY MICKIEWICZ
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 71 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 72 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

- 73 CHAOS W PARYŻU I TĘSKNOTA
ZA SZCZĘŚNYM
Ryszard Czarnecki

- 74 PROCES ANTACYWILIZACYJNY
Andrzej Zybortowicz

O godności

Godność należy do tych podstawowych pojęć, bez których trudno byłoby budować ludzki świat. A jednocześnie, co do znudzenia powtarzam, jej znaczenie zostało radykalnie zmystyfikowane, w efekcie czego, tak jak pojęcie wolności, tolerancji, pluralizmu czy demokracji, utraciło elementarny sens.

Nie potrafimy obyć się bez godności. Odwołujemy się do niej i odmieniamy ją bez przerwy przez wszystkie przypadki. Wszystko ma swoją godność, wszędzie się ona poniewiera i bez przerwy potykamy się o nią. Trudno się dziwić. Skoro fundamentem naszego politycznego porządku mają być prawa człowieka, to jak wyobrazić je sobie bez założenia jego godności?

Co jednak ona znaczy? Jej fundamentem ma być podobno posiadana przez człowieka zdolność autokreacji, jak ogłosił to Jan Pico della Mirandola w 1486 r. w tekście nazwanym „Mową o godności człowieka”. Renesansowy filozof twierdził, że potencjał ten ofiarował ludzkiej istocie Bóg, ale skąd o tym wiedział, nie do końca jest jasne. Ponieważ autokreacyjne talenty nie mają mieć ograniczeń, należałoby krytycznie ocenić, jak ludzie z nich korzystają i zastanowić się: czy człowiek, z którym mamy realnie do czynienia, zasłużył sobie na to miano? Jeśli nie, to śmiało można go poświęcić na rzecz przyszłego bytu, który dopiero osiągnie godność, do jakiej winniśmy aspirować.

„Czymże dla człowieka jest małpa? Pośmiewiskiem lub wstydem bolesnym. I tym samym winien być człowiek dla nadczłowieka: pośmiewiskiem lub wstydem bolesnym” – pisał Nietzsche, twórca idei nadczłowieka, osiągnięcie statusu którego powinno być według niego naszym ideałem. To do tej wizji odwoływali się brunatni wyznawcy autora „Woli mocy”. Czy na pewno było to nadużycie i czy inaczej można projekt ten zrealizować, to rzeczy co najmniej wątpliwe.

Lewicowi wyznawcy autokreacji na rzecz przyszłego, niewyalienowanego wcielenia człowieka chętnie poświęcają ludzi realnie istniejących: wandejskich bigotów, kułaków, burżujów, mocherów czy rednecków. Czy istota, która stanowi ledwie poczwarkę dla swojego przyszłego spełnienia, może posiadać godność?

Ludzki płód posiada wszelkie cechy, które pozwolą mu rozwinąć się w dojrzałego człowieka, a podobno miarą godności kobiety ma być prawo do jego zabicia. Granica, do której aborcja jest dopuszczalna, jest umowna, a postępowcy domagają się jej przesunięcia – od kiedy więc płód staje się człowiekiem? Zwolennicy aborcji określają go pogardliwie jako „złpek komórek”, ale dorosłego człowieka można przecież nazwać tak samo. Jeśli aborcja to kwestia właścicielki brzucha, oznacza to jej pełne dysponowanie płodem w trakcie ciąży, dlaczego więc nie postulować aborcji do momentu porodu?

Jeśli aby uznać istnienie ludzkie za człowieka, musi spełniać ono określone warunki, to dlaczego traktować w ten sposób niemowlę, po urodzeniu w całości zależne od matki? Konsekwentnie kwestionuje jego człowieczeństwo Peter Singer, jeden z bardziej wpływowych współcześnie etyków. Jeśli jednak przyjmujemy, że aby uznać kogoś za człowieka, musi on prezentować pewne cechy, np. poziom inteligencji, jak chciałby Singer, to do ludzi nie sposób zaliczyć osób o głębokim upośledzeniu albo z demencją, a więc nie możemy tak bardzo oburzać się na nazistowskie praktyki ich uśmiercania czy w ogóle na eugenikę, która pod innymi nazwami wraca zresztą do współczesnych norm, np. uzasadnienia aborcji. Jeśli przyjmujemy takie założenia, to powinniśmy przyznać także, iż istnieją gremia, które decydują, czy ktoś osiągnął już ludzkie kompetencje, czy nie. A jeśli ludzka godność jest nadawana, to pojęcie to zasadniczo zmienia swoje znaczenie i staje się rodzajem przywileju, o którym decydują elity.

Eutanazję określa się jako prawo do godnej śmierci, która stanowić ma zakończenie godnego życia. Wynika z tego, że życie ludzi chorych, cierpiących przestaje być godne. Kryteria wyznaczające tak rozumianą godność są nieprecyzyjne, tak jak warunki, po spełnieniu których istnienie ludzkie uznać można za człowieka. Pozostaje nam więc znowu odwołanie do instancji rozstrzygających, której egzystencji przysługuje godność, a w konsekwencji – kto ma prawo żyć. Wybory ich siłą rzeczy będą arbitralne, ponieważ opierać się muszą na wyliczeniach poziomu dobrostanu, którego mierzenie, tak jak poziomu inteligencji, jest co najmniej wątpliwe.

Bez uznania specyficznej świętości życia ludzkiego nie sposób mówić o prawdziwej godności ludzkiej. Dlatego zabójstwo jest zbrodnią najwyższą, co nie wyklucza kary śmierci ani samoobrony, która może kończyć się zabiciem napastnika i nie kłóci się z ideą sprawiedliwej wojny. Bez uznania świętości życia człowieka nie sposób poważnie mówić o jego godności ani o prawach, a ich miejsce zajmują tak samo nazywane, ale jakościowo inne arbitralne wybory dominujących grup.

Siła staje się prawem, a pojęcie godności zaczyna służyć uzasadnianiu najbardziej odrażających praktyk.



Sygnalista nadaaje

W odpowiedzi na atak bodnarowców na **Roberta Bąkiewicza** i szerzej – na Marsz Niepodległości, Jarosław Kaczyński zapowiedział wielki protest przed Ministerstwem Sprawiedliwości w sobotę 14 września. „Mamy do czynienia z atakiem na uroczystość, w której uczestniczą setki tysięcy zwykłych Polaków i która to uroczystość, jeżeli nie ma prowokacji, jak to było za czasów rządów PO, przebiega spokojnie i nic złego tam się nie dzieje. To jest początek próby doprowadzenia do tego, żeby te marsze po prostu się nie odbywały albo odbywały się w takiej atmosferze, która będzie przez znaczną część społeczeństwa odrzucana. Chcemy protestować przeciwko łamaniu prawa, ale także przeciwko atakowi na polski patriotyzm” – mówił prezes PiS. Pamiętajmy: frekwencja ma znaczenie. Tylko masowy protest może zatrzymać lub choćby spowolnić, budowę dyktatury.

Prezes PiS był także pierwszym gościem telewizji w Polsce24 po jej wejściu na multipleks. W ocenie **Jarosława Kaczyńskiego** koalicja 13 grudnia obaliła ustrój naszego państwa. „Nie byliśmy czynni przy tworzeniu konstytucji, bo nie było nas wtedy w parlamencie, a w związku z tym ta konstytucja nie ma zabezpieczeń właściwych wobec tego, co się ostatnio działo i dzieje w dalszym ciągu. Tu będą potrzebne jakieś nadzwyczajne akty prawne, które stworzą swego rodzaju zabezpieczenia” – mówił prezes PiS i podkreślił: „Konstytucja okazała się nieskuteczna i w pewnym sensie sama siebie zniszczyła. W ogóle można powiedzieć, że ustrój III RP upadł. Paradoksalnie wydawało się, że to my zniszczymy III RP, ale zniszczył ją Donald Tusk”. To prawda. Te gruz to smutny widok.

Jedyna pociecha w tym, że na nich też można zbudować coś pięknego.

W trakcie rozmowy z redaktorem Michałem Adamczykiem prezes PiS uznał, że uruchomienie nowej stacji informacyjnej w Polsce24 to dobra wiadomość dla naszego kraju. „Podoba mi się, że jest konkurencja też w naszym gronie. To, że są dwie stacje, to szansa na to, że liczba ludzi, którzy będą słyszeć prawdę, będzie większa. Są różne wrażliwości, różnego rodzaju poziomy odbioru, poziomy intelektualne i tutaj też trzeba to brać pod uwagę” – mówił prezes PiS, dodając: „Sądzę, że państwa stacja będzie w stanie zaspokoić oczekiwania w tej części naszego społeczeństwa, czynnego politycznie i chcącego odrzucić tę władzę, która może z nieco większym dystansem odnosi się do tego, co jest przez nas bardzo, bardzo popierane, jeśli chodzi o Republikę, ale uważamy też, że ta konkurencja, ten dzisiejszy dzień dla obozu polskich patriotów, to jest bardzo dobry dzień”. To prawda. Lewica ma wiele stacji, więc i prawica powinna mieć szerszą propozycję. Dwie nogi to więcej niż jedna.

Prawo i Sprawiedliwość nadal apeluje o darowizny. To jedyny sposób na przetrwanie partii po tym, gdy Państwowa Komisja Wyborcza w sposób w istocie pozaprawny pozbawiła ugrupowanie kilkudziesięciu milionów złotych. Biuro PiS podaje numer konta: 88 1020 1026 0000 1602 0100 6204. Tytuł przelewu: „Darowizna”, dalej imię i nazwisko (wplacającego), imię ojca (wplacającego), i dopisek: „zam. na ter. RP”. Do tej pory zebrano ponad 4 mln zł – i dużo, i mało. Stawka jest wysoka, bo jeśli polski patriotyzm ma wygrać bitwę, a właściwie wojnę o Polskę, musi

być zorganizowany również, a może zwłaszcza, na poziomie partyjnym.

Decyzja PKW jest akcją polityczną, która w przyszłości musi się doczekać wyjaśnienia. „Ewentualna zmiana stanu prawnego jest wyłączną kompetencją ustawodawcy, a tymczasem Państwowa Komisja Wyborcza większością głosów, wbrew przedstawionym powyżej i obowiązującym od szeregu lat zasadom, przyjęła uchwałę o odrzuceniu sprawozdania finansowego złożonego przez pełnomocnika finansowego KW PiS. Ponieważ akt ten dokonał się z przekroczeniem uprawnień, nie chcę i nie mogę go firmować. Tym się kierując, składam niniejsze oświadczenie jako swoiste votum separatum” – napisał członek PKW, jednocześnie sędzia TK, w oświadczeniu do protokołu posiedzenia z 29 sierpnia. Pod oświadczeniem podpisał się również sędzia Sylwester Marciniaik, przewodniczący Komisji. Zmierzamy na wschód, w stronę Rosji i Białorusi. I to w szybkim tempie.

A **Donald Tusk** 12 września w Poczdamie ma otrzymać europejską nagrodę dziennikarzy przyznawaną przez organizację M100 Sanssouci Colloquium. Ma ją dostać za rzekomą „niestrudzoną walkę z autokracją”. W uroczystości ma też wziąć udział kanclerz Niemiec Olaf Scholz. Czy jednak premier pojedzie do Niemiec po kolejny medal? Prof. Zdzisław Krasnodębski informuje: „Krótka rozmowa z pewnym niemieckim dyplomatą – podobno Tusk zrezygnował z przyjazdu do Poczdamu i odebrania nagrody za walkę z autorytaryzmem. Scholz jest obrażony”. Jeśli premier rzeczywiście nie pojedzie, będzie to bardzo czytelny sygnał, że naprawdę zamierza kandydować na prezydenta RP. Oby.

Władza celebrytuje polowanie na poprzedników, ale ta strawa coraz mniej smakuje Polakom. Według cyklicznego badania CBOS rząd notuje coraz gorsze oceny. Po 8 miesiącach gabinet Donalda Tuska dobrze ocenia zaledwie 34 proc. badanych, co oznacza spadek aż o 5 punktów. 50 proc. badanych źle ocenia rząd. Jak zauważa Norbert Maliszewski, „to bilans znacznie gorszy niż po czterech latach rządu Mateusza Morawieckiego, podczas których były kryzysy takie jak wojna, pandemia, kryzys energetyczny, inflacja”. Straty notuje także sam Tusk, który w ciągu ostatnich 2 miesięcy pogłębił negatywny odbiór siebie o 11 pp. Dziś tylko 35 proc. badanych jest zadowolonych z tego, że to on stoi na czele rządu. A może jednak aż 35 proc. Bo na tle „dorobku” tej władzy to wciąż dużo.

I jeszcze kilka danych z badania CBOS. Do przeciwników rządu zalicza się prawie co piąty



wyborca Trzeciej Drogi (18 proc.), a wśród popierających jest mniej niż co drugi wyborca tego ugrupowania (45 proc.). Radykalnie pogorszyła się również opinia o rządzie wśród wyborców Konfederacji. Jeszcze trzy, cztery miesiące temu większość z nich była obojętna wobec rządu Tuska, a teraz aż trzech na czterech wyborców zalicza się do jego przeciwników. Także ocena polityki gospodarczej gabinetu spadła poniżej poziomu widzianego pod koniec rządów PiS. Aktualnie tylko 36 proc. badanych uważa, że działania rządu dają szansę na poprawę sytuacji gospodarczej. Od lutego rząd zanotował w tej kategorii 13 pp. straty. Może jeszcze Polska nie zginęła?

Również badanie poparcia dla partii politycznych zrealizowane przez pracowników Social Changes na zlecenie telewizji w Polsce24 potwierdza słabnącą pozycję partii Tuska. Gdyby wybory do Sejmu odbywały się w najbliższą niedzielę, na Koalicję Obywatelską oddałoby głos 34 proc. badanych. Drugie miejsce zajęłoby Prawo i Sprawiedliwość, na które wskazało 33 proc. respondentów. Główna partia opozycji osiąga więc wynik jedynie odrobinę gorszy od partii rządzącej. Na podium także Trzecia Droga, ale z poparciem zaledwie 11 proc. – a więc wyraźnie niższym niż wynik wyborczy z października ub.r. Konfederacja także może liczyć na 11 proc. poparcia. Na Lewicę wskazało 9 proc. badanych. To jeszcze nie jest przesłom, ale na tym etapie cyklu wyborczego, tuż po wakacjach, władza powinna mieć znacznie lepsze notowania. Cóż, Polska się zmieniła i nie da się już rządzić tak, jak w latach 2007–2015. Przynajmniej nie w ramach mniej więcej demokratycznych. I dlatego właśnie budują zamordyzm.

Mikołaj Dorożała, wiceminister klimatu i środowiska odpowiedzialny za obszar łowiectwa, powiedział na antenie neo-TVP Info, że jego zdaniem myśliwi w Polsce powinni przechodzić obowiązkowe badania podobne do tych, co funkcjonariusze służb mundurowych. Ta wypowiedź nie spodobała się byłemu prezydentowi **Bronisławowi Komorowskiemu**, który na antenie Radia ZET stwierdził, że Dorożała nie powinien zajmować takiej funkcji. „Ja bym Dorożalę skierował na badania. Żeby być ministrem, trzeba mieć kwalifikacje, ale też szczególnie podejście do obszaru, za który się odpowiada. Nie słyszałem jeszcze o czymś takim, żeby odpowiedzialnym za leśników i myśliwych był ktoś, kto nienawidzi myśliwych i ktoś, kto nie znosi leśników. To jest samo w sobie chore”. Panie prezydencie, tak właśnie wygląda współczesna „liberalna demokracja” w Polsce budowana przez PO: narodami rządzą elity chore na oikofobię, a myśliwymi wegetarianie. Jedyne, co nas dziwi, to pańskie zdziwienie.

Spowiedź Tuska



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Następny, proszę...

Hennig-Kloska: Dzień dobry, to znaczy szczęście... Boże, jak to się mówiło... niech będzie przechwalony... nie, to znaczy, może zacząć inaczej. Jestem kobietą, kieruję resortem klimatu i tego, no... środowiska naturalnego, to znaczy nienaturalnego. To znaczy, może zacząć od tego, że... Mam! Ostatni raz u premiera byłam...

Tusk: Do rzeczy!

Hennig-Kloska: Do rzeczy? Ale za co?

Tusk: Do rzeczy! Nie widzi pani, że akurat jem, więc mówię z pełnymi ustami? Słucham: czym pani zgrzeszyła przeciwko 100 konkretnym?

Hennig-Kloska: To znaczy, ja nic nie obiecywałam. To znaczy tak, ale chodziło tylko o podwyżki cen energii. Powiedziałam, że 30 zł, a wyszło 30 proc.

Tusk: Czyli oszukuje pani wyborców?

Hennig-Kloska: Niestety.

Tusk: A cóż w tym złego?

Hennig-Kloska: No, że... nieładnie.

Tusk: Jak to mówią, nie powinno się przyglądać robieniu kielbasy i polityki. Ja tu żadnego grzechu nie widzę. Gdybyśmy mieli tak restrykcyjnie pojmować pojęcia prawdy i kłamstwa, to sam bym nie mógł się odezwać. Następny!

Kierwiński: Tak się przysłuchuję...

Tusk: A co mówią kulturalni ludzie? Nie pod-słu...

Kierwiński: Mam dokończyć?

Tusk: Nie radzę. Czym wy, kolego, zgrzeszyliście przeciwko wizerunkowi partii naszej obywatelskiej?

Kierwiński: Mnie się wydaje, że niczym. Poza tym ja nie jestem w rządzie.

Tusk: Ale byliście. Więc?

Kierwiński: Nonic mi się nie przypomina.

Tusk: A w Dzień Straszaka kto o „sużbie” i „poświęceniu” bełkotał?!

Kierwiński: Bo mi mikrofon podmienili! Pogłos miałem jak dzwon!

Tusk: Chyba rano. Na pokutę masz w Brukseli codziennie meldować się u Budki i zdawać dmuchanie. Podmuchaś przez tydzień, dobrze ci zrobi. Następny!

Bodnar: Dzień dobry...

Tusk: No nie wiem. Dla mnie może, ale dla was?

Bodnar: A co ja złego zrobiłem?

Tusk: Nie o was mi chodzi personalnie, tylko o cały rząd. Prawie 140 osób muszę rozgrzeszyć przed społeczeństwem! Z czym przychodzicie, kolego?

Bodnar: A, tak wpadłem, trochę incognito, żeby zobaczyć, jak kolegom ta spowiedź idzie.

Tusk: A wy, co? Zwolnienie macie?

Bodnar: No myślałem, że mnie premier zwolni...

Tusk: Niby czemu?

Bodnar: Przecież wszystko razem robiliśmy. Pan premier mówił, kogo załatwić, a ja szukałem podstaw prawnych.

Tusk: I znaleźliście?

Bodnar: Nie bardzo.

Tusk: Więc?

Bodnar: Przepraszam.

Tusk: Widzicie? I już nie jesteście tacy krystaliczni. Na pokutę wam zadaję zawińcie na dołek, tadam, pisowskiego kandydata na prezydenta.

Bodnar: A kto to jest?

Tusk: No właśnie nie wiadomo. Gdybyśmy znali nazwisko, to już by siedział.

Bodnar: To jak zatrzymać kogoś, kogo danych nie znamy?

Tusk: Zrobicie portret pamięciowy, a potem zamknijemy wszystkich podobnych. Piszcie: przystojny, obyty, zna języki...

Bodnar: Jakbym pana premiera widział...

Tusk: Ja nie kandyduję! Ile razy mam powtarzać?! Zaraz będziecie musieli spowiadać się ponownie. I co wy tu

w ogóle jeszcze robicie? Szukać! Ściagać! Zamknąć!

Bodnar: Tak jest. Zaraz dzwonię do niezależnej prokuratury. Aha, wicepremier Gawkowski czeka pod drzwiami od rana, ale boi się zapukać...

Tusk: Wpuścić!

Gawkowski: Nareszcie! Dzień dobry! Ludzie, jak ja się cieszę, że mogę z panem premierem, naszym słońcem, naszą nadzieją ostatnią, jeśli chodzi o lewicę międzynarodową...

Tusk: Czemu wy klęczycie, kolego?

Gawkowski: No... bo... myślałem, że jak spowiedź...

Tusk: Nigdy samokrytyki nie składaliście? Trzeba było Czarzastego zapytać, on jeszcze pamięta, jak to się robiło.

Gawkowski: Aha. To może tak: pragnę złożyć na ręce towarzysza premiera najszczerze wyrazy ubolewania w związku z sytuacją w kraju i za granicą. Namówili mnie koledzy: Żukowska, Scheuring-Wielgus oraz niezależny z PKW o nazwisku Kalisz. Oddaję się do dyspozycji pana premiera w całej rozciągłości mojej marnej osobowości... osobowości...

Tusk: Akurat tej ostatniej to za dużo nie macie. Nie szkodzi, nawet lepiej. W ramach pokuty wypiszecie się z lewicy i przejdziecie do KO. Poglądów i tak nie macie, a nawet, jak byście mieli, to my te lewicowe postulaty i tak przejmujemy. Wszystko jasne?

Gawkowski: Jak słońce Peru! Jak oblicze pana premiera po wyborach! Jak... jak... Dobra, wychodzę...

Tusk: Następny!

Scholz: Guten morgen, Donalden...

Tusk: O, rany! Pan kanclerz?! Jak to możliwe?

Scholz: Na spowiedź przyleciałem.

Tusk: Ale po co? Nie trzeba było! To jest jakieś nieporozumienie! Przecież ja bym nigdy pana kanclerza...

Scholz: Ja, ja, ja wiem. Boto ja ciebie będę odpytywał. CPK leży?

Tusk: I kwiczy nawet!

Scholz: Poparcie dla PiS?

Tusk: O cały procent mniejsze niż nasze!

Scholz: Reparacje?

Tusk: Jutro zapłacimy!

Scholz: Dobra. Zaśpiewacie hymn Unii Europejskiej 100 razy i możecie wracać do pracy.

Tusk: O radości, iskro bogów, kwiecie elizejskich pól...

Scholz: Po niemiecku!

Znowu wrzesień

Biegnę do domu, żeby przekazać wieści z klasowych zebrań, a tam płacz. Najmłodsza już postanowiła rzucić szkołę

I znowu przylazł. Nadszedł nieczym gradowa chmura na słoneczne wakacyjne niebo. Choć tym razem nie powitał nas paskudnym i zimnym deszczem, ale lejącą się z nieba spiekotą, to i tak pojawił się, jak co roku, nieuchronnie i bezlitośnie zaraz po sierpniu. Ten paskudny wrzesień. Ten, który niezmiennie przerywa dzieciakom fikanie na trampolinie, bujanie się w hamaku, bieganie bez butów po trawie i inne proste przyjemności. Ten, który przypomina rodzicom, że dzieci rosną, że kapcie z zeszłego roku już się do niczego nie nadają, tornister też jakby stracił kolory, że potrzebne są nowe zeszyty, wyprawki do szkoły, piórnik. W przypadku niektórych trzeba zakupić podręczniki, w przypadku innych zapewnia szkoła. Niektórzy nie lubią poniedziałków, a ja nie lubię września, który zawsze przytłacza mnie nadmiarem zdarzeń.

W tym roku nawet szybko poszło mi z wyprawką dla najmłodszej, bo zakupy robiłyśmy przed południem, zanim większość, równie jak ja wkurzonych nadsięgnięciem września rodziców zdążyła tłumnie zalać sklepy. Okazało się, że już trzecia oglądana temperówka była w porządku, czwarty długopis znośny, a całkiem niezła była już druga oglądana teczka, która miała pomieścić wyprawkę. Z piórnikiem udało się przy piątym podejściu (a nie może być taki z wyposażeniem, bo przecież wszystko trzeba wybrać samemu). Dłużej zeszło z gumką, bo wszystkie były „jakieś takie nijakie”. Z zeszytami, pędzlami, farbami, plasteliną i kredkami poszło dość gładko. Następnego dnia, gdy wciąż czułam zadowolenie, że temat udało się załatwić dość szybko, przyszedł cios, bo się okazało się, że zapomniłyśmy o pastelach, a wyprawka bez pastel to prawie jakby jej nie było. Na szczęście najstarsza już na studiach, wszystko ogarnia sama. Syn zadowolony się piórnikiem, opakowaniem długopisów i ołówków, bo stwierdził, że jak będzie miał w piórniku za dużo, to zgubi, a średnia z zakupami poradziła sobie sama („Mamo blikniesz? Jestem przy kasie”).



swoich zajęć. Gdy udaje mi się dotrzeć do klasy, tuzin ulotek rozsypuje mi się na ławkę, a tam już czekają stosy papierów do wypełnienia: zgody, niezgody, deklaracje, potem wybory do trójki klasowej, rady szkoły, dyskusje bez końca o sensie przeprowadzania trzech egzaminów próbnych. Ale w przeciwieństwie do męża przynajmniej nie zasypiam na zebraniach. Jeszcze tylko jedno zebranie przede mną, na szczęście w kolejnym tygodniu.

Biegnę więc do domu, żeby przekazać wieści z zebrań, a tam płacz. Najmłodsza już postanowiła rzucić szkołę. Chcę wiedzieć, co się dzieje, bo dzień wcześniej biegała po ścianach ze szczęścia, że szkoła się zaczęła, a ona może już wracać sama do domu.

A teraz w ogóle z niego więcej nie wyjdzie i o żadnej szkole mowy być nie może. Okazuje się, że coś poszło nie po jej myśli, ktoś był niemiły, a zupa na stołówce jest niedobra i ona chce jeść tylko rosół mamusi. Najlepiej przez cały rok.

Niby człowiek wie, że po wakacjach znów będzie wrzesień, ale nie sposób się przygotować na to szaleństwo. Trzeba więc jakoś przetrwać. Pocieszam się więc słowami starej piosenki kabaretu OTTO: „Wakacje, znów będą wakacje, na pewno mam rację, wakacje będą znów. Jeszcze tylko: wrzesień, październik, listopad, grudzień, styczeń, luty, marzec, kwiecień, maj, czerwiec i... wakacje!”

Dorota Losiewicz

Szwajcaria powinna prze-
myśleć swoją politykę
neutralności – twierdzą
autorzy raportu przygoto-
wanego dla władz w Bernie.
Ich zdaniem rewizja tej polityki wymusza za-
ostrzająca się sytuacja międzynarodowa oraz
spadające dochody szwajcarskiego przemysłu
zbrojeniowego. Zalecenia ekspertów mają być
wykorzystane w strategii bezpieczeństwa tego
kraju na 2025 r.

Dokument został opisany przez portal
„Politico” i wywołał w Szwajcarii, która jest
państwem neutralnym od 1815 r., duże kontro-
wersje. Wśród jego autorów znaleźli się m.in.
były dowódca armii szwajcarskiej, dyplomaci
oraz były dyrektor Monachijskiej Konferencji
Bezpieczeństwa Wolfgang Ischinger. Eksperci
powołują się w swoim opracowaniu na Szwecję
i Finlandię, które wstąpiły do NATO, ale żaden
z nich nie twierdzi, że Szwajcaria powinna pójść
ich śladem i dołączyć do Sojuszu. Naciskają na-
tomiasz na zacieśnienie więzi z NATO i Unią
Europejską, zwłaszcza w zakresie wspólnych
ćwiczeń, współpracy w przemyśle zbrozenio-
wym oraz obrony przed pociskami balistycz-
nymi. Chcą również, aby podnieść wydatki
wojskowe do poziomu 1 proc. PKB do 2030 r.
Szwajcaria przeznacza dziś 0,76 proc. PKB na
obronę, a więc mniej niż jakiegokolwiek członek
NATO z wyjątkiem Islandii, która nie ma wojska.

Nieperwna neutralność

Eksperci uważają, że choć
jest mało prawdopodobne,
aby Szwajcaria została za-
atakowana, to kraj ten jest
już celem wojny hybrydowej,
w tym dezinformacji, szpiegostwa i cyberata-
ków. Wzywają więc do „globalnej obrony”, co
oznacza przygotowanie całego społeczeństwa
na potencjalny konflikt.

Inną kwestią ściśle związaną z polityką
neutralności są malejące dochody z przemy-
słu zbrojeniowego. Eksport broni ze Szwaj-
carii spadł w ub.r. o 27 proc. w porównaniu
z 2022 r. Obecne przepisy zakazują bowiem
sprzedaży szwajcarskiej broni krajom znaj-
dującym się w stanie wojny, co poważnie
ogranicza możliwości zarobku i komplikuje
relacje dyplomatyczne. Tak było w przypadku
zablokowania przez Berno dostaw broni na
Ukrainę, która zawierała szwajcarskie pod-
zespoły. Zdaniem ekspertów zostało to bar-
dzo źle odebrane przez większość państw
europejskich. Jeden z nich zauważył, że je-
śli w przyszłości Szwajcaria będzie chciała
skorzystać z pomocy Europy, to nie może
być postrzegana jako pasażer na gapę i musi
pójść na ustępstwa wobec swoich partnerów.
„Dlatego raport jasno pokazuje, że Szwajcaria
jest krajem zachodnim i popiera zachodnie
wartości” – podsumował.

Konrad Kolodziejski



+ Szwajcaria

Austriacka Partia Wolności (FPÖ),
która wygrała niedawne wybory do
Parlamentu Europejskiego i od miesięcy
prowadzi z bezpieczną, kilkupunktową
przewagą w sondażach, opublikowała
właśnie swój manifest programowy.

Jest on zatytułowany „Twierdza
Austria, twierdza wolności” i to naj-
lepiej oddaje przesłanie programowe
dokumentu. Formacja, na czele której
od 2021 r. stoi Herbert Kickl [na zdj.],
chce wprowadzić do konstytucji zakaz
rozdzielania więcej niż dwóch płci.
Urzędnicy publiczni mają też mieć
zakaz posługiwania się określeniami
narzuconymi przez ideologię gender,
w tym zaimkami, które nie określają
płci. „Każdy, kto myśli, że może arbi-
tralnie określić liczbę płci lub zmienić
płeć według własnego uznania, lekce-
waży naturę istot ludzkich” – zapisano
w manifestie, w którym ideologię gen-
der określa się mianem „prania móz-
gów” i „szaleństwem” mającym na celu
„zniszczenie naszego społeczeństwa”.

Konserwatysta czy rusofil?

Herbert Kickl zapowie-
dzieć też – w razie wygranej
w wyborach do austriac-
kiego parlamentu, które od-
będą się pod koniec wrze-
śnia – przyjęcie ustawy, która
zakaże osobom transpłcio-
wym uczestnictwa w zawodach
sportowych dla kobiet. Zaostre-
nieniu ma też ulec polityka migracyjna.

Austriacka Partia Wolności jest uzna-
wana za formację otwarcie prorosyjską.
Opowiada się m.in. za zaprzestaniem do-
staw broni na Ukrainę i „aktywną polityką
pokojową” Unii. Kickl, który w swoich
wystąpieniach mówi o potrzebie „wzmoc-
nienia neutralności Austrii”, bo jego zda-
niem Wiedeń obrał zbyt proukraiński
kurs, jest też zwolennikiem utrzymania
współpracy gospodarczej z Rosją.



Austria

Nawet jeśli FPÖ wygra wybory, to nie
ma pewności, że powoła rząd.

Prezydent Alexander Van
der Bellen, w przeszło-
ści lider austriackich
Zielonych, już oświad-
czył, że konstytu-
cja daje mu pełną
swobodę w kwestii,
komu powierzyć mi-
sję tworzenia nowego
rządu. Konserwatywna
ÖVP urzędującego pre-
miera Karla Nehammera nie

wyklucza współpracy z FPÖ, ale nie
chce w gabinecie Kickla. Ma to związek
z doświadczeniami współrządzenia z lat
2017–2019, kiedy Kickl był ministrem
spraw wewnętrznych. Obecny premier
uważa, że polityk ten „rozmontował”
służby specjalne do tego stopnia, że so-
jusznicy przestali ufać Austrii, a Wie-
deń został czasowo odcięty od danych
wywiadowczych.

Marek Budzisz

Powrót starego burbona



USA



Jack Daniel's jest kolejną amerykańską marką, która zrezygnowała z promocji „różnorodności, równości i integracji” (DEI). To dla biznesu dobry znak, będący promykiem nadziei na powrót zdrowego rozsądku.

Opór klientów i groźba potencjalnego bojkotu okazały się kubłem zimnej wody na głowy kierownictwa firmy Brown-Forman. Przedsiębiorstwo z Kentucky produkujące popularnego na świecie burbona poinformowało, że przestanie uzależniać wynagrodzenia kadry kierowniczej od wdrażania agendy wymaganej w ramach DEI i wycofa się z corocznego rankingu firm przyjaznych osobom LGBT+. Obiecano również złagodzić podobne wymagania wobec kontrahentów, wycofać się ze szkoleń serwowanych pracownikom i usunąć stronę internetową poświęconą „różnorodności i integracji”.

Amerykańskie korporacje wdrożyły programy DEI jako część lewicowej inżynierii społecznej mającej na celu „wyrównywanie szans” i realizowanie ideologii rasowej ruchu Black Lives Matter. W praktyce wywołują one konflikty i kolejne nierówności, pozbawiając szans na awans, gratyfikacje finansowe, a nawet pracę heteroseksualnych, białych mężczyzn – nawet jeśli są oni potencjalnie lepszymi kandydatami na konkretne funkcje i stanowiska. Tymczasem ok. 10 proc. wynagrodzenia uzależniono od postępów w zakresie „wdrażania różnorodności”, od pracowników wymagano angażowania się w wydarzenia związane z ruchem LGBT+, ich obowiązkowego sponsorowania i udziału w licznych szkoleniach.

Co ciekawe, podobną decyzję podjęły w ostatnich miesiącach również firmy Harley-Davidson, Tractor Supply i John Deere. Wszystkie one znalazły się wcześniej na celowniku byłego producenta filmowego Robby'ego Starbucka, który wobec coraz większej presji ze strony lewicy prowadzi swoją walkę w imię powszechnie pojmowanej normalności i jak sam mówi, „przywraca zdrowy rozsądek korporacyjnej Ameryce”. W efekcie Harley-Davidson przestał wywierać ideologiczną presję na pracownikach i zrezygnował z tzw. kwot zatrudnienia. Firma zapowiedziała też przegląd organizacji objętych sponsoringiem, rezygnując z obowiązkowego – jak się okazuje – wspierania wielu wydarzeń firmowanych przez ruch LGBT+.

Zaskakuje jednak, jak szybko ideologia „różnorodności, równości i integracji” zastąpiła w USA klasyczne liberalne wartości. Jej biurokratyczna narośl, która przypomina swój komunistyczny pierwowzór znany w naszej części Europy, spętała wyższe uczelnie, organizacje społeczne, masowy sport i media. Stosując ideologiczny szantaż, ściągając też sowitą kontrybucję z dużych, globalnych firm. Działając wbrew zasadom rynku i demokracji, zdołała ograniczyć dotychczasowe prawa i wolności.

Maciej Walaszczyk

Najdroższy pocałunek świata

Malezja



Fot. Ben Houdijk/Shutterstock.com

Agencja Future Sound Asia wniosła do sądu pozew przeciwko angielskiemu zespołowi rockowemu The 1975 [na zdj.], żądając 2,4 mln dol. odszkodowania. Sprawa jest nietypowa. Rok temu wspomniana grupa wystąpiła na festiwalu Good Vibes w Kuala Lumpur. Podczas koncertu jej wokalista najpierw wygłosił na scenie płomienną mowę na cześć LGBT+, a następnie wymienił z basistą pocałunek w usta.

W muzułmańskiej Malezji, gdzie homoseksualizm jest zakazany, wywołało to wielki skandal. Festiwal Good Vibes został przerwany. Odwołano też zapowiadane występy zespołu w Indonezji i na Tajwanie. W najgorszej sytuacji znaleźli się organizatorzy przedsięwzięcia, czyli agencja Future Sound Asia. Od festiwalu odwrócili się sponsorzy i władze. Praktycznie popadł on w ruinę. Straty poniosła miejscowa branża muzyczna, zwłaszcza lokalni artyści, dla których impreza w Kuala Lumpur była okazją do promocji, oraz małe firmy, które pozbawiono ważnego źródła utrzymania.

W związku z tym agencja oskarżyła The 1975 o złamanie warunków umowy. W kontrakcie muzycy zobowiązali się bowiem do przestrzegania wszystkich miejscowych przepisów, także tych, które zabraniają publicznego przeklinania, palenia papierosów, picia alkoholu, rozbierania się, wypowiadania się na temat polityki i religii, a także całowania się. Członkowie grupy ostentacyjnie jednak pogwałcili to prawo, narażając na straty finansowe lokalnych przedsiębiorców. Zespół zapowiedział już, że nie ma zamiaru płacić organizatorom odszkodowania. Sprawę rozstrzygnie sąd.

Ton malezyjskich komentarzy jest jednoznaczny: rozpieszczeni bogacze z Zachodu najpierw się do czegoś pisemnie zobowiązali, potem demonstracyjnie złamali dane przez siebie słowo, a następnie wyjechali z poczuciem moralnej wyższości, zostawiając miejscowych biedaków w finansowym bagnie, do którego ich sami wepchnęli. Na dodatek potraktowali w ten sposób tych Malezyjczyków, którzy próbują przekonać swoich rodaków do modernizacji na wzór zachodni. Mistrzowie promocji!

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wrzesień 1939. Mordercy ruszają na Polskę

Ważna rocznica za nami, 85 lat temu miał miejsce początek wojny zwanej II wojną światową. Rozpoczęła się jako niby uzasadniona walka o „korytarz” do Gdańska. Ci nieznosni Polacy nie rozumieli, że Niemcom potrzebny jest korytarz. Bez korytarza czuli się upokorzeni przez „bękarta traktatu wersalskiego”, jak elegancko nazywali II Rzeczpospolitą.

W społeczeństwie francuskim panowało przekonanie, że nie warto umierać za Gdańsk. Hitler nie musiał się więc obawiać reakcji tchórzliwych sojuszników naszego kraju. Z kolei Rosjanie życzyli sobie „po trupie pańskiej Polski” dotrzeć do serca Europy, co nie powiodło im się w trwającej trzy lata wojnie (1919–1921) i znowu runęli na nasz „pański” kraj. Tym razem po zbójckiej znowie Stalina z Hitlerem rozpoczęło się radosne mordowanie Polaków. Krwiożercze potwory z entuzjazmem wrzucały do dołów śmierci nauczycieli i polityków. Rozstrzeliwali pod murami świątyń księży i siostry zakonne. Wieszali na szubienicach lekarzy leczących zgodnie z przysięgą Hipokratesa, a nie rozkazami Führera. Spalali w piecach miliony znienawidzonych „podludzi”. Urządzali całe „rzezie”, jak na Woli... I kradli na potęgę. Nie krępowali się, nie czuli zażenowania, wyciągając z szafy marynarkę po zabitym ojcu i wrzucając na budę cięzarówki mojego konika na biegunach. Europejczycy zasrani.



**Jan
Pietrzak**

Minęło 85 lat. Na razie nie rozstrzeliwują, ale sprawnie okradają. Od początku tzw. transformacji czynią to na różne sposoby. Np. likwidacja stoczni w latach 90. była złodziejstwem całej gałęzi przemysłu dokonanym pod pretekstem liberalizacji rynku. Falszywi reformatorzy twierdzili, że wprowadzają wolny rynek. Tak – dla tych, którzy mieli pieniądze.

Umęczeni niewolą Polacy przez pół wieku pracowali na ruskich złodziei. Gdy komuna padała, byli nędzarzami. Kto miał pieniądze? Oczywiście Niemcy. Rabowali, co chcieli, ziemię, pałace. Przedsiębiorstwa, sieci handlowe, gazety, całe partie, samorządy... Tacy z nich sojusznicy NATO, partnerzy z UE. Wykonany kilka miesięcy temu skok na Polską Telewizję i Polskie Radio to bezprecedensowa beczelność rozzuchwalonych przebiegaczy. Te dwie instytucje, utrzymywane z abonamentów, zawłaszczone w przestępczy sposób, stały się niemieckimi nadajnikami. Bez tej tuby propagandowej nie dałoby się ogłupić Polaków do tego stopnia, że oddali Polskę swym prześladowcom. Właśnie są w trakcie zaboru Polskich Kolei Państwowych...

*PS Zapraszam na spotkanie pt. „Prowadź nas nadziejo!”,
9.09.2024 r. w sali Stygmat. Pl. Grzybowski 3/5,
kościół Wszystkich Świętych. Godz. 19.00*

Lepsze „święte krowy” i „kosz prezentów” dla Tuska

Jedna rzecz udało się premierowi. Już nikogo nie dziwi – niezależnie od tego, czy mowa o sympatykach, czy krytykach obecnej władzy – że szef rządu posługuje się knajackim językiem. Używa go już nie tylko w mediach społecznościowych, lecz także na oficjalnych konferencjach prasowych w kancelarii premiera. „Jest pewna kategoria instytucji, do których należy KPRP albo IPN, którym rząd nie projektuje budżetu. [...] Dopiero w Sejmie posłowie mogą zdecydować, że te tzw. święte krowy, w języku finansistów i polityków instytucje, które same sobie projektują budżet, będą podlegały krytycznej ocenie w czasie debaty sejmowej” – tymi słowami premier sam wprowadził do szerszej debaty publicznej określenie, które wcześniej nie funkcjonowało w powszechnym obiegu.

Oczywiście media rządowe i prorządowe od razu podchwyciły podrzucone im przez Tuska słowa, ilustrując je wizerunkami „wrogów”, głównie prezydenta Andrzeja Dudy. Co istotne, określenie „święte krowy” odnosi się do 16 instytucji, które samodzielnie tworzą plany swoich wydatków i wysyłają je do ministra finansów, ale lider PO wymienił tylko dwie

najbardziej znienawidzone z nich: ośrodek prezydencki, który jest dziś jednym z ostatnich bezpieczników przed rozwalaniem instytucji państwa przez koalicję 13 grudnia, oraz IPN, wciąż stojący na straży pamięci historycznej, która w imię dobrych relacji z Berlinem i Kremlen powinna zostać zakopana na wieki.

Weźmy np. Najwyższą Izbę Kontroli, która również znajduje się we wspomnianej szesnastce, a założony budżet na kolejny rok jest wyższy niż poprzednio, jednak nie została wymieniona przez premiera. Wszak jej prezes Marian Banaś, przynosząc w październiku (cytuując mec. Marka Chmaja) „kosz prezentów” dla Tuska, zrobił bardzo wiele, żeby Platforma Obywatelska wraz z koalicjantami wróciła do władzy. Cała ta retoryka świadczy o zmianie nie tylko stylu władzy, lecz także poziomu debaty. Temu językowi nagonki, który wylewa się z rządu, towarzyszy też wyjątkowa hipokryzja w podejściu do instytucji państwa, gdy (po raz kolejny) szacunek bądź jego brak jest zależny od tego, kto nimi kieruje.



**Samuel
Pereira**

Chiński ład

4 –6 września odbył się w Chinach szczyt państw afrykańskich FOCAC, który zgromadził reprezentację 53 przywódców. Chińskie zaangażowanie na kontynencie afrykańskim trwa od dwóch dekad. Zdynamizowanie relacji nastąpiło jednak za prezydentury Xi Jinpinga. Według ministerstwa handlu Pekinu Afryka jest już kluczowym regionem Inicjatywy Pasa i Szlaku (BRI), w którym w latach 2013–2023 chińskie firmy zawarły kontrakty o wartości ponad 700 mld dol.

Dla Państwa Środka Afryka jest polem wdrażania modelu gospodarczego bazującego na rozbudowie infrastruktury – dróg, linii kolejowych, portów. Chińskie inwestycje na tym kontynencie przyczyniły się do powstania 12 tys. km dróg i torów kolejowych, ok. 20 portów i ponad 80 obiektów energetycznych. Za sprawą działań Pekinu pokonanie pociągiem trasy z Lagos do wschodniego Konga zajmuje kilka godzin, a od Zanzibaru po Zambię można się przemieszczać samolotem, korzystając z niedawno wyremontowanych lotnisk. W Mozambiku chińska firma zbudowała najdłuższy most wiszący w Afryce, łączący stolicę tego kraju Maputo z przedmieściami Katembe.

W 2016 r. Chiny utworzyły swoją pierwszą stałą zagraniczną bazę morską w Dżibuti. Jest strategicznie zlokalizowana pomiędzy Morzem Czerwonym a Zatoką Adeńską.

Tylko w 2023 r. Chińczycy zainwestowali 7,8 mld dol. w afrykańskie górnictwo obejmujące złoża m.in. litu, miedzi i kobaltu, które obecnie wydobywa się w Kongo, Zimbabwie, Zambii, Botswanie, Namibii i innych krajach. Ok. jedna czwarta eksportu z kontynentu afrykańskiego, głównie minerałów, paliw i metali, trafia do Chin.

Poza inwestycjami i wymianą handlową Pekin dąży do zacieśniania współpracy z Afryką w zakresie szkolenia zawodowego, wymiany międzyrządowej w zakresie zarządzania i promocji chińskiego systemu politycznego. W Tanzanii powstała szkoła mająca kształcić elity, założona przez Komunistyczną Partię Chin z partiami politycznymi z m.in. Angoli, Mozambiku, Namibii, RPA i Zimbabwe.

W przeciwieństwie do mocarstw zachodnich, które często ingerują w wewnętrzne sprawy krajów afrykańskich, Chiny proponują im podejście „pięć nie”: brak ingerencji w ich dążenie do ścieżek rozwoju odpowiadających ich warunkom narodowym, brak ingerencji w ich sprawy wewnętrzne, żadnego narzucania woli, żadnego wiązania politycznych więzów z pomocą oraz żadnego szukania samolubnych korzyści politycznych we współpracy inwestycyjnej i finansowej.

Afryka jest jednak ważna dla Chin nie tylko ze względu na interesy gospodarcze, lecz także z powodu siły jej głosu w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ. Według opracowania Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych sformułowania wspierające inicjatywy chińskich władz coraz częściej udaje się umieszczać w rezolucjach ONZ, powodując, że stopniowo stają się one elementem polityki Organizacji.

W czerwcu br. w Rosji odbyło się spotkanie szefów dyplomacji grupy państw rozwijających się: Brazylii, Rosji, Indii, Chin i występujących wspólnie w ramach formatu BRICS.

Podczas spotkania przedstawiciel Pekinu zaznaczył, że wymieniona organizacja powinna stać na czele inicjatyw zmierzających do przebudowy porządku międzynarodowego w myśl idei wielobiegunowego świata. Według ekspertów przytoczona opinia może wskazywać na plan zacieśnienia współpracy państw BRICS na forum ONZ celem oddziaływania na redefinicję układu międzynarodowego.

Z publikacji Ośrodka Spraw Azjatyckich wynika, że ChRL zamierza też wykorzystać ONZ do realizacji ogłoszonych w 2023 r. Globalnej Inicjatywy Rozwoju (GIR) i Globalnej Inicjatywy Bezpieczeństwa (GIB) oraz realizowanej od 2013 r. Inicjatywy Pasa i Szlaku (obejmującej m.in. kraje Azji Środkowej, Bliskiego Wschodu, Afryki i kilkanaście państw europejskich, w tym Polskę), a także do proponowania regulacji prawnych, m.in. odnośnie do działań w przestrzeni kosmicznej, cyberprzestrzeni i sztucznej inteligencji. Zdaniem chińskich władz prawa człowieka nie mają charakteru uniwersalnego i wobec tego konieczna jest weryfikacja obowiązującego podejścia do nich. W związku z powyższym ChRL opowiada się za zwiększeniem reprezentacji państw rozwijających się w Radzie ds. Praw Człowieka ONZ. Zdaniem Pekinu analogiczne zmiany powinny objąć Radę Bezpieczeństwa ONZ.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

REKLAMA



Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

„Wychowywać, ale jak?”
Ewa Pietrzak
poniedziałek, - piątek,
godz. 10.40 i 19.20

3/0824/F

Walizka Żakliny Skowrońskiej

dziennikarki wPolsce24, autorki książki „Kadencja w przestworzach. Kulisy prezydenckich podróży”

Relacjonuję zagraniczne wizyty prezydenta RP. Ta wielka dziennikarska przygoda rozpoczęła się 2021 r. od pierwszej podróży po pandemicznej przerwie. Od tej pory relacjonowałam 91 prezydenckich wizyt w różnych regionach świata. Na bazie zebranych doświadczeń powstała książka. Reporterska relacja widziana oczami dziennikarki – z pokładu prezydenckiego samolotu, zakamarków rezydencji światowych przywódców, a także centrów polityki międzynarodowej, do których dostęp mają tylko nieliczni.

Ten reporterski zapis obejmuje bardzo aktywny okres prezydentury, czyli czas poprzedzający rosyjską agresję na Ukrainę i kilka miesięcy po ataku. Od marca 2024 r. pracuję dla stacji wPolsce24. W tym czasie relacjonowałam spotkanie prezydenta Andrzeja Dudy i premiera Donalda Tuska z amerykańskim prezydentem Joe Bidenem, które odbyło się w 25. rocznicę przystąpienia Polski do NATO. Kilka miesięcy później o światowym bezpieczeństwie, ale także tym dotyczącym polsko-białoruskiej granicy, mówiłam z Pekinu – stolicy Chin. Ostatnio jako jeden z kilku dziennikarzy z bliska obserwowałam prezydencką wizytę na Ukrainie. Także z perspektywy pociągu specjalnego, którym razem z delegacją podróżowałam do Kijowa.

Ale nawet po najdalszej podróży dobrze wrócić do swojego miejsca na ziemi. Odpocząć najlepiej na moim balkonie – wśród kwiatów, takich jak piwonie, sundaville, róże japońskie i magnolie.

„KADENCJA W PRZESTWORZACH”

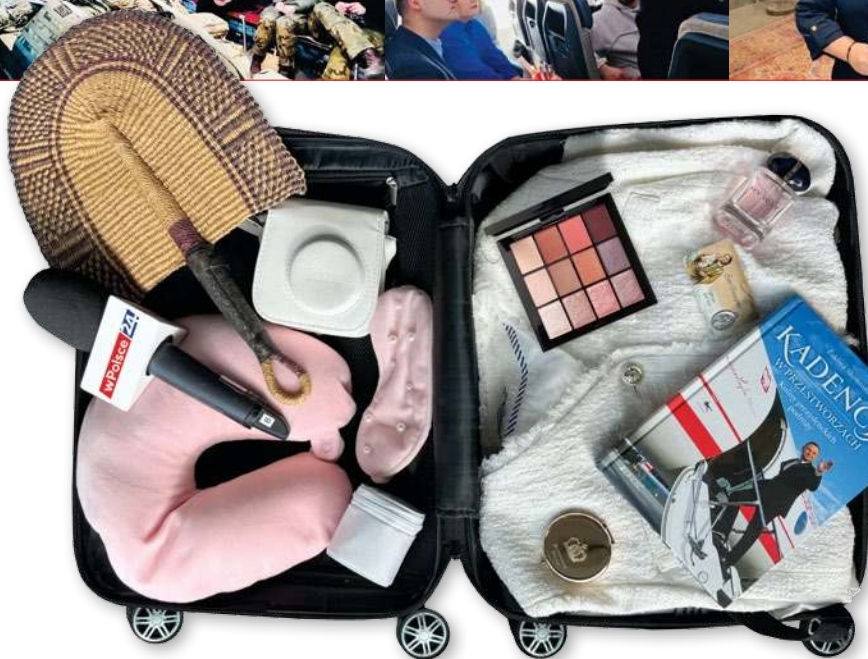
Książka wydana w 2023 r. Dokumentuje moje pierwsze 60 podróży na pokładzie prezydenckiego samolotu. To nie tylko opowieść o głowie państwa, lecz także o ludziach, bez których nie odbyłaby się żadna

zagraniczna podróż prezydenta, ukazująca kulisy organizacji wizyt, a także kulisy pracy dziennikarskiej delegacji.



INSTAX

Zabieram ze sobą, żeby w każdej chwili móc dokumentować piękne momenty i zachwycające obrazy.



LUSTERKO I DŁUGOPIS

Zostały zakupione w sklepiku przy pałacu Buckingham w dniu koronacji króla Karola III.



KOLCZYKI

Podczas podróży na pamiątkę zamiast magnesów na lodówkę kupuję kolczyki.

Te czerwone to oryginalne kolczyki



narodowe z Mongolii. Właśnie

podczas tego wywiadu okazało się, że zamiast z koralu są wykonane z plastiku... A sporo kosztowały. W każdym razie zostały zakupione w 2023 r. podczas wizyty prezydenta RP w Ulan Bator.

KOLCZYKI 2

Kolejna pamiątka, która wiąże się z miłą historią. Kupiłam je w Rzymie, chwilę przed wyjazdem na Monte Cassino w 80. rocznicę bitwy.



KOLCZYKI 3

Zakupione na Islandii. Wykonane z prawdziwej lawy wulkanicznej, a nie plastiku.



POCIĄG SPECJALNY

Brałam udział w ostatniej wizycie na Ukrainie, w sierpniu 2024 r. Tylko kilkoro dziennikarzy miało okazję towarzyszyć prezydenckiej delegacji



w pociągu specjalnym. Wszystko było utrzymywane w ścisłej tajemnicy do ostatniej chwili, z zachowaniem najwyższych zasad bezpieczeństwa. W Kijowie prezydent uczestniczył w uroczystościach 33. rocznicy uchwalenia deklaracji niepodległości Ukrainy.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun



ŚW. JÓZEF

Medalik ze św. Józefem kupiony i poświęcony przez jednego z księży w Watykanie. Mam wyjątkowy sentyment do tego świętego i niejednokrotnie

mogłam na niego liczyć. Moja rodzinna parafia to właśnie parafia św. Józefa Robotnika w Kielcach.

MASKA NA OCZY

Przydatna podczas długich lotów, np. Warszawa–Pekin czy Warszawa–Nowy York. Ułatwia zasypianie w przestworzach. A do tego jeszcze styl glamour.



PERFUMY

Niezawodne Armani. Ich zapach pokonał na mnie tysiące kilometrów. Nazwa „My way” jest moim mottem, ponieważ jestem sobie wierna i podążam własną drogą.



WACHLARZ

Wyjątkowa pamiątka z Dakaru. Towarzyszyłam wtedy prezydentowi podczas wizyty w Afryce, podczas której Andrzej Duda odwiedził Nigerię, Wybrzeże Kości Słoniowej i Senegal. Na jednym z targów spotkałam grupę Polaków, jeden z panów sprezentował mi ten wachlarz.



Karma wraca

O zapaści demograficznej pisałem tu wielokrotnie. Wygodnictwo i egoizm każą młodym ludziom rezygnować z posiadania dzieci w imię samorealizacji i używania życia.



Czy ojcostwo i macierzyństwo, mimo nieprzespanych nocy, kosztów wychowania, edukacji, wyrzeczeń, zaniechania marzeń itp., ma jakieś zalety wpływające na nasz błogostan? Ależ tak, i to te najważniejsze dla dostąpienia prawdziwego szczęścia.

Nie będę się wspierał oczywistymi dla chrześcijanina argumentami (biblijne: „Idźcie i rozmnażajcie się” czy czwarte przykazanie: „Czcij ojca swego i matkę swoją”). Ateistów to nie przekona, oni chcą mieć niebo tu i teraz. W rozumianym darwinowsko prawie naturalnym ludźmi rządzią instynkty, wygrywa silniejszy, lepiej przystosowany i bardziej bezwzględny. Prowadzi to do rządów psychopatów (Hitler, Stalin, Mao, Pol Pot itp.) z wciąż tym samym, krwawym finałem.

Drugi naturalny, atawistyczny nakaz to imperatyw przedłużania swego gatunku za wszelką cenę, nawet kosztem ofiary własnego życia. Inaczej nie byłoby nas na tym świecie. Jako ojciec i dziadek wiem, ile szczęścia daje rodzicom posiadanie potomstwa. Po pierwsze, uczucia do dzieci przedłużają miłość między małżonkami, która w miarę utraty ich fizycznej atrakcyjności mogłaby samoistnie wygasnąć. Po drugie, dają nam power do większego wysiłku (utrzymanie rodziny kosztuje). Po trzecie, czułość, jaką wzbudzają w nas córki i synowie (na każdym etapie ich dorastania), jest bezcenna! Po czwarte, świadomość posiadania w swym otoczeniu najbliższych nam osób (na które zawsze można liczyć) łagodzi stres, dlatego tradycjonałści żyją dłużej. I po piąte, coś tu jednak po nas zostanie (geny)! Reasumując: ludzie rezygnujący z prokreacji zyskują egoistyczną samorealizację i w pakiecie – duchową pustkę. Tracą bowiem bezpowrotnie altruistycznie pojmowane szczęście. A kiedy ich samolubne życie dobiegnie już cherlawego końca, jedynie eutanazja będzie w stanie ukoić ich samotność.

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

PROJEKT „KREDYT 0%”, KTÓRY PODNIESIE CENY MIESZKAŃ W POLSCE, JEST DOBRY, BO JAK TŁUMACZY PREMIER DONALD TUSK, JEST NAJBARDZIEJ ZAAWANSOWANY.



SIECI

ISSN 2544-2694
www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARGIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ,
MAREK BUDZISZ, LESZEK DEJGOSZ,
KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA,
GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI,
CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB
MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NAŁASKOWSKI,
MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI,
JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR ŚLĄBEK, ROBERT
TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN,
MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOTEJKA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.ŁABĘCKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, ANDRZEJ BANASPOLSKA
PRESSEFAST NEWS, PAPILSZEK, SZYMAŃSKI, WPOLSKA24, K2, ARCHIWUM FRATRIA,
SHUTTERSTOCK, i4



Ks. Michał Olszewski został wręcz poddany torturom, m.in. w czasie wielogodzinnych czynności był skuty kajdankami, odmawiano mu posiłku i wody, możliwości skorzystania z toalety, nocą w areszcie budzono go co godzinę. Nagrania z tych wydarzeń zaginęły

Puk, puk! Kto tam?

Uśmiechnięta Polska!

Masowe zatrzymania, areszty wydobywcze, wielogodzinne przeszukania w domach, konfiskata prywatnych dokumentów i urządzeń elektronicznych. Upokarzanie i doprowadzanie całych rodzin do traumy. Wszystko z naruszeniem przepisów i łamaniem elementarnych praw zainteresowanych osób. Do tego regularne przecieki ze śledztw i medialna nagonka. To nie jest żadne przywracanie praworządności, lecz brutalna wojna polityczna, która coraz bardziej zamienia nasze państwo w demokrację



MAREK PYZA

Byla godz. 6.00, gdy pan Henryk (imię zmienione) usłyszał mocne pukanie do drzwi. Zaskoczony mężczyzna otworzył i zobaczył na korytarzu grupę uzbrojonych funkcjonariuszy ABW. Każdy z głoćkiem za paskiem, w masce i kamizelce

kuloodpornej. – Od razu zostałem nieco zepchnięty do tyłu, pokazano mi dokument z postanowieniem o przeszukaniu i zaczęły się czynności. Kazali mi się rozebrać do naga, ukucnąć i zakaszleć trzy razy, żeby sprawdzić, czy nie trzymam czegoś w tyłku. Zupełnie jak na filmach o bandytach, z tym że to prawdziwe życie, a ja nie zrobiłem nic złego.

Nasz rozmówca deklaruje, że za kilka tygodni chętnie opowie ze szczegółami, co go spotkało, lecz dziś, dopóki prokuratura przetrzymuje jego rzeczy, prosi o anonimowość, bo nie chce dodatkowych kłopotów, które ciągną się już od pół roku. W jego przypadku sprawa jest jasna i zupełnie czysta, na co wskazuje również fakt, że Henryk nie ma postawionych żadnych zarzutów.

Nie ma też telefonu, komputera, tabletu, pendrive'ów i wielu dokumentów, które zabrali prokurator z funkcjonariuszami ABW. Komputerów zostały pozbawione również pociechy pana Henryka. Do dziś rodzina nie odzyskała żadnego z tych sprzętów. Padła ofiarą... audytu dotyczącego nieprawidłowości w resorcie sprawiedliwości.

W wielu polskich domach trwały przygotowania do świąt, gdy w Wielki Wtorek i Wielką Środę (26 i 27 marca) prokuratura Adama Bodnara przypuściła szturm na prywatne mieszkania oraz biura 25 osób – polityków, byłych urzędników Ministerstwa Sprawiedliwości, a także prywatnych osób, które miały mieć coś wspólnego z dotacjami przyznawanymi przez Fundusz Sprawiedliwości.

U pana Henryka przeszukanie trwało kilka godzin, służby były bardzo drobiazgowe. – Sprawdzali każdą książkę, czy przypadkiem nie ukryłem w niej jakichś dokumentów, bieliznę osobistą, naczynia w kuchni, każdą szafkę u dzieci, łącznie ze spakowanymi do szkoły plecakami. Na szczęście one zachowały zimną krew, wszystkie przetrwały to dość dobrze, choć był to dla nich olbrzymi stres. Ale ciężko mi się pogodzić z tym, że legitymowano je o szóstej rano we własnym domu. Gdy wieczorem rozmawialiśmy o tym całą rodziną, zrozumieliśmy, dlaczego w trakcie przeszukania syn tak dziwnie się we mnie wpatrywał. Zwierzył się, że myślał, iż widzi mnie po raz ostatni w swoim życiu – opowiada nasz rozmówca.

Dziś pan Henryk i jedno z jego dzieci mają symptomy PTSD. Cierpią na poważne problemy ze snem i lęki o swoją rodzinę. W tym, co spotkało naszego rozmówcę, widzi on bezduszość władzy, a całą historię interpretuje jako formę zastraszania. – Moja organizacja była wielokrotnie sprawdzana przez rozmaite instytucje związane zarówno z poprzednią, jak i obecną władzą. Żadnych nieprawidłowości się nie dopatrzone. Ale efekt

Funkcjonariusze ABW kazali mi się rozebrać do naga, ukucnąć i zakaszleć trzy razy, żeby sprawdzić, czy nie trzymam czegoś w tyłku. Zupełnie jak na filmach o bandytach, z tym że to prawdziwe życie, a ja nie zrobiłem nic złego
– opowiada pan Henryk

tej marcowej akcji i śledztwa jest taki, że bardzo utrudniono, a niekiedy wręcz sparaliżowano naszą pracę. Do tego pozostaną mi wspomnienia, które nie należą do najprzyjemniejszych. W trakcie przeszukania nie mogłem nawet pójść sam do WC, co było kompletnie nieuzasadnione, bo nie weszli do mnie jako do podejrzanego czy świadka, a więc równie dobrze mogłem sobie po prostu wyjść z domu i nie mogli mnie zatrzymać.

WŁAM DO MINISTRA

Pan Henryk może jednak mówić o szczególu, którego nie miała rodzina Zbigniewa Ziobry. Do ich domu prokuratura i ABW po prostu się włamały.

– Jako dziennikarka śledcza miałam do czynienia z wieloma brutalnymi sytuacjami w polityce. Jednak nigdy nie doświadczyłam tak prymitywnej przemocy ze strony państwa, jak ta związana z napaścią na nasz dom. Tusk zapewne musiał

osobiście wydawać polecenia dotyczące tej operacji. Żaden funkcjonariusz czy prokurator nie dopuściłby się takiego bezprawia bez zgody i presji ze strony najwyższych przedstawicieli władzy – mówi nam Patrycja Kotecka-Ziobro.

Żona byłego ministra sprawiedliwości podkreśla, że złamano prawo, które wymaga, aby w momencie przeszukania służba prowadząca te czynności skontaktowała się z właścicielem, umożliwiając mu obecność podczas działań.

– Ten obligatoryjny nakaz został złamany, mimo że telefon męża był w każdym sekretariacie Prokuratury Krajowej. Chodziło o inscenizację, show dla kamer, a być może także podrzucenie dowodów lub założenie podsłuchu. Dopiero dwie godziny po rozpoczęciu czynności na miejscu pojawił się poproszony przez nas adwokat. Przypomnę, że w przypadku senatora Stanisława Gawłowskiego CBA czekało 24 godziny, aż z żoną dotrze, by uczestniczyć w przeszukaniu. To pokazuje różnicę w standardach przestrzegania prawa.

Wszyscy widzieliśmy wyważone drzwi do domu Ziobrów, zniszczone ściany

wejściowe, rozpruty sejf. Zupełnie jak po bandyckim włamaniu. Ale to nie wszystko. Kotecka-Ziobro w rozmowie z tygodnikiem „Sieci” wylicza straty: – Uszkodzono bramę wjazdową (była rozbierana, przestała działać), przecięto kabel od systemu nawadniania w ogrodzie, mieszkanie było w błocie, ponieważ chodziło po nim 19 funkcjonariuszy, wielu w wojskowych butach. Nie wszyscy, którzy weszli do budynku, podpisali protokół czynności przeszukania, byli to „anonimowi goście”. Nawet po naszym przyjeździe część funkcjonariuszy prowadziła czynności na dole, a część na górze, więc byli poza kontrolą nas, właścicieli. Rodzi to wątpliwości co do tego, czy zabezpieczony materiał nie został w jakiejś części podrzucony. Okazano nam wiele pendrive'ów, płyt, nie wiem, czy wszystkie należały do nas, czy zostały przyniesione. Zamiast zrobić kopię binarną komputerów czy twardych dysków, zabrano nam wszystkie urządze-

nia, w tym drony i laptopy dzieci oraz współpracowników.

Do dziś nie oddano im tych sprzętów. – Musieliśmy zakupić dzieciom nowe komputery do szkoły. Młodszy syn miał traumę po przeszukaniu i przez wiele tygodni budził się rano, bojąc się, że znów ktoś wejdzie do domu. Dziś nie chce żadnych elektronicznych zabawek, bo obawia się, że znowu mu je zabiorą – opowiada Kotecka-Ziobro. Jak dodaje, pewne rzeczy zniknęły z domu. – Już po przeszukaniu zorientowałam się, że nie możemy znaleźć moich archiwalnych materiałów dziennikarskich, a także dwóch magazynków do broni.

Przeszukanie ich domu trwało prawie 24 godziny. Drobiazgowość i długość tych czynności była bezprecedensowa, podobnie jak zakrywanie domowych kamer. Chodziło wszak o czynność jawną, a nie operacyjną. Na dodatek odbywało się w czasie, gdy Ziobro przebywał na intensywnym leczeniu onkologicznym.

– Prowadzący czynności wiedzieli, że mąż przeszedł ciężką operację wycięcia 20 cm przelyku, miał jeszcze świeże rany i żeby wytrzymać przeszukanie, przyjmował najsilniejsze leki przeciwbólowe, jakie istnieją. Moim zdaniem ktoś wywierał na nich presję, Bodnar lub Tusk. Były dramatyczne momenty, gdy mąż zwijał się z bólu, jednak zachowywał się bardzo twardo, w przeciwieństwie do niektórych znanych osób, które w czasie przeszukań mdlały. Z powodu tej brutalnej napaści na nasz dom musieliśmy przerwać leczenie męża. Po tym wszystkim wystąpiły bardzo poważne problemy pooperacyjne. Doszło do istotnych powikłań z powodu dużego wysiłku oraz całodobowego udziału w różnych czynnościach, 48 godzin bez snu z otwartymi ranami. Te komplikacje są efektem tego, co zorganizowali nam Tusk i Bodnar. Nie obwiniam funkcjonariuszy i prokuratorów, ponieważ jest oczywiste, że byli pod naciskiem, by działać w określony sposób. Z czasem pewnie wyjdzie na jaw, kto dzwonił do prokuratorów i funkcjonariuszy tego

dnia. Czy były to telefony z kancelarii premiera? – pyta Kotecka-Ziobro.

Początk długie przeszukiwanie? Dlaczego rozpoczęło je w gangsterskim stylu, włamując się do mieszkania byłego ministra sprawiedliwości i plądrując pomieszczenia bez nadzoru właścicieli? Uzasadnione jest podejrzenie, że było to tzw. przeszukiwanie tralowe – zaglądaliśmy wszędzie, zabieraliśmy wszystko, może coś znajdziemy, niekoniecznie związanego z tą sprawą. Do dziś prokuratura nie wystąpiła nawet o uchylenie immunitetu Ziobrze, a więc nie ma zamiaru stawiać mu zarzutów.

ZNISZCZYĆ NARODOWCÓW

To polityczna akcja na niespotykaną wcześniej skalę nie tylko w Polsce, lecz także innych cywilizowanych państwach demokracji liberalnej. Jest obliczona również na przygotowanie nagonki medialnej.

Mąż zwijał się z bólu, jednak zachowywał się bardzo twardo, w przeciwieństwie do niektórych znanych osób, które w czasie przeszukań mdlały. Z powodu tej brutalnej napaści na nasz dom musieliśmy przerwać leczenie męża – mówi Patrycja Kotecka-Ziobro

Nie sposób inaczej postrzegać tego, co spotkało Roberta Bąkiewicza, byłego szefa Stowarzyszenia Marsz Niepodległości. W ub. tygodniu również do jego domu weszła policja.

„Obudziły mnie przerażone żona z córką, mówiąc, że policjanci pukają do drzwi. Gdy im otworzyłem, okazano mi postanowienie o rewizji. [...] Zamiast zgrać dane z moich urządzeń, zabrano je – komputer, na którym pracowałem, i telefon komórkowy. Tam jest kilka skrzynek mailowych, wiele komunikatorów,



Do domu Zbigniewa Ziobry, pod nieobecność gospodarza, prokuratura i ABW po prostu się włamały

z których korzystałem, hasła do różnych systemów, kart kredytowych itd.” – mówi w telewizji wPolsce24.

Czym zawinił Bąkiewicz? Niczym. Prokuratura poszukuje bowiem człowieka, który w czasie Marszu Niepodległości w 2018 r. (a wzięło w nim udział kilkaset tysięcy ludzi) miał dopuścić się gróźb karalnych wobec jednego z uczestników manifestacji. Według śledczych mężczyzna mógł być członkiem Straży Marszu Niepodległości. Co prawda postępowanie w tej sprawie umorzono cztery lata temu, jednak śledczy mieli znaleźć nowe okoliczności (nie wiadomo jakie), które skłoniły ich do wznowienia sprawy.

Aby unaocznić skandaliczność tych działań, wyobraźmy sobie taką hipotetyczną sytuację. „Newsweek” organizuje galę wręczenia Nagrody im. Teresy Torańskiej. Wszystko odbywa się jak co



Policja weszła nie tylko do domu Roberta Bąkiewicza, lecz także tego samego dnia do siedziby Stowarzyszenia Marsz Niepodległości

roku, impreza przebiega normalnie, ale gdzieś w kulisach ktoś się z kimś kłóci i ostatecznie mu grozi. Rzecz się dzieje w 2018 r., gdy naczelnym „Newsweeka” jest Tomasz Lis. Nagle po sześciu latach, gdy Lis nie ma z „Newsweekiem” już nic wspólnego, do jego mieszkania o świcie wchodzi policja, robi przeszukanie, zabiera mu wszystkie telefony, komputery, pendrive’y. Dlaczego? Bo grożącym na gali miał być ktoś z identyfikatorem „Newsweeka”. Niewyobrażalne? Owszem, chyba że dotyczy osoby ze środowisk patriotycznych, a znajdujemy się w kraju rządzonym przez Donalda Tuska.

Rodzina Bąkiewicza (żona oraz dzieci: roczne, 4-, 10- i 12-letnie) muszą się mierzyć z traumą zetknięcia się z opresyjnym państwem tylko dlatego, że były prezes Marszu Niepodległości nie kłania się lewicowo-liberalnej władzy. MN jest solą w oku Platformy Obywatelskiej. Przed laty ta ekipa była nawet gotowa urządzić prowokacje w czasie marszu (spalenie budki strażniczej przed rosyjską ambasadą) czy wręcz bić uczestników zgromadzenia. Później przedstawiano tę największą polską cykliczną patologię demonstrację jako faszystowską patologię.

Czyżby ostatnie przeszukania miały być przegrywką do deprecjonowania marszu i próby jego zablokowania? Według obecnych władz MN, do którego

To akcja polityczna na niespotykaną wcześniej skalę nie tylko w Polsce, lecz także innych cywilizowanych państwach demokracji liberalnej. Nie sposób inaczej postrzegać tego, co spotkało Roberta Bąkiewicza, byłego szefa Stowarzyszenia Marsz Niepodległości

siedziby z wiertarką do zamków tego samego dnia weszła też policja, ten cel jest oczywisty. „Pytałem funkcjonariuszy, czy kiedykolwiek w swojej karierze podejmowali czynności w takiej skali jak dzisiaj w związku z podejrzeniem popełnienia tego rodzaju przestępstwa. Odpowiedź była oczywiście jednoznaczna, że nie. [...] Prokurator nie miał odwagi pojawić się na miejscu. Policja każdy dokument po dokumencie konsultuje z prokuratorem telefonicznie. [...] Przed połą-

zeniem z państwem bardzo zainteresował prokuratora segregator opisany jako materiały szkoleniowe. Okazało się, że w środku jest poradnik do nauki języka angielskiego dla księgowych czy szkolenie z zakresu ochrony danych osobowych. I policja pakuje te dokumenty. Po co? Dlaczego? Nie wiadomo” – mówił w rozmowie z wPolsce24 w trakcie trwającego przeszukania prezes MN Bartosz Malewski.

A może należy też patrzeć na te represje szerzej – jako na zemstę za szeroką, patriotyczną działalność? Bąkiewicz bronił kościołów w czasie ataków lewackiej tłuszczy, a 1 września zorganizował

przed niemiecką ambasadą bolesną dla RFN demonstrację. Nawet ośrodki analityczne za Odrą (ostatnio think tank DGPA) nazywają Donalda Tuska germanofilem, a więc mogło go zabość wydarzenie, w czasie którego przypomniano m.in., że „Mercedes Benz, BMW czy Siemens dorobiły się na niewolniczej pracy Polaków”, „Lufthansa zabiła majątek, łatając dla niemieckich nazistów”, „Continental zbudował swoją potęgę na wyposażeniu Wehrmachtu w opony”, „Hugo

Boss zbił majątek na pracy więźniów obozów koncentracyjnych”, „w 1950 r. co czwarty niemiecki deputowany do Bundestagu był nazistą”, a „Bayer zarobił na produkcji śmiertelniego cyklonu B”.

No to teraz służby państwa Tuska wiedzą o Bąkiewiczach wszystko – z kim się kontaktuje, o czym rozmawia, co planuje, a nawet co pisze w listach miłosnych do żony.

Te przeszukania mogą więc stanowić dla władzy narzędzie do inwigilacji opozycji.

RUSKI SZPIEG MOŻE WIĘCEJ

– Wiedzieliśmy o istnieniu aresztów wydobywczych, teraz mamy przeszukania wydobywcze – komentuje Marcin Romanowski, były wiceminister sprawiedliwości odpowiedzialny za Fundusz Sprawiedliwości. Jego potraktowano wyjątkowo bezprawnie, bo zatrzymano w mieszkaniu, kazano rozebrać się do naga i wyprowadzono go do radiowozu w kajdankach na oczach licznie zgromadzonych dziennikarzy, mimo że posła chroni immunitet Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy.

Kilka miesięcy wcześniej, w czasie akcji bodnarowców w Wielkim Tygodniu, również Romanowskiemu urządzono nielegalne przeszukiwanie. – Chodziło o to, by uzyskać jak najwięcej materiałów w innych sprawach, również związanych z działalnością polityczną. Zabrano mi np. urządzenia zawierające tajemnicę poselską, a także wszystkie dokumenty Suwerennej Polski w moim okręgu, naszą strategię komunikacyjną. To przykład, jak aparat państwowy jest wykorzystywany do prześladowania opozycji. Na to też wskazywały pewne złośliwości, które padały z ust przeszkakujących, w stylu: „Skończyły się wasze rządy, zrobimy z wami porządek” – opowiada nam Romanowski.

Głośnym echem (również za granicą) odbiło się to, jak służby Tuska i Bodnara potraktowały ks. Michała Olszewskiego. Jak ujawniliśmy w tygodniku „Sieci”, zakonnik został wręcz poddany torturom, m.in. w czasie wielogodzinnych czynności był skuty kajdankami, odmawiano mu posiłku i wody, możliwości skorzystania

z toalety, nocą w areszcie budzono go co godzinę. Nagrania z tych wydarzeń zaginęły.

Gdy nagłośniliśmy tę sprawę, Koalicja Obywatelska wypuściła spot, w którym stwierdzono: „Ks. Michał O. ma postawione zarzuty przywłaszczenia milionów z dotacji z Funduszu Sprawiedliwości”. To kłamstwo. Nie ma i nigdy nie miał takich zarzutów. Nie wziął ani złotówki – również według bodnarowców. Ale Tuszkowi nie przeszkadza to w nakręcaniu nagonki na duchownego.

Wiedzieliśmy o istnieniu aresztów wydobywczych, teraz mamy przeszukania wydobywcze – komentuje Marcin Romanowski, były wiceminister sprawiedliwości. Jego potraktowano wyjątkowo bezprawnie

Do dziś ksiądz nie ma dostępu do wszystkich akt sprawy, co szczególnie bulwersuje po ubiegłotygodniowych doniesieniach, że rosyjski szpieg Paweł Rubcow, zanim został oddany Moskwie, miał możliwość zapoznania się ze wszystkim, co zgromadziły polskie służby na jego temat.

Zatrzymany wysoki oficer GRU może więc naprawdę wiele, a wsadzone do aresztów wydobywczych urzędniczki są traktowane dużo gorzej. Urszula D., była pracownica resortu sprawiedliwości, od Wielkiego Tygodnia znajduje się w areszcie. W lipcu jej ojciec mówił telewizji Trwam: „Pierwszy kontakt adwokata z córką był po 11 dniach od zatrzymania. Dopiero wtedy zaczęły docierać jakieś pierwsze informacje, ale one nie były tak przerażające, jak się później dowiedzieliśmy, w jaki sposób była traktowana. Więcej niż przez miesiąc nie mogła zmienić nawet ubrania. [...] Praktycznie dopiero po sześciu tygodniach mogła się przebrać. W ostatnim liście, jaki otrzy-

maliśmy, informuje, że straciła na wadze 10 kg. Kontakt z córką jest mocno utrudniony. Listy, jeśli docierają, to z bardzo dużym opóźnieniem – rzędu od czterech do sześciu tygodni. Wysłałem sześć listów do córki, chyba tylko jeden dotarł”.

PRZECIEKIEM W PiS

Michał Kuczmierowski jest dziś ścigany za to, że w trakcie pandemii i na początku rosyjskiej wojny rzekomo grubo przepłacił za niezbędny sprzęt. Czy rzeczywiście tak było, dopiero się okaże, ale były prezes RARS już jest przedstawiany jako złodziej milionów. Przez wiele miesięcy współpracował z prokuraturą, nie unikał jej. Nagle śledczy postanowili go zatrzymać, akurat po zapowiedzeniu konferencji Donalda Tuska w sprawie rozliczeń poprzedników. Wysłano list gończy i Europejski Nakaz Aresztowania. W tej chwili czeka na decyzję ekstradycyjną w brytyjskim areszcie, ale w wiodących polskich mediach został już skazany.

„Gazeta Wyborcza” jeszcze przed pierwszym posiedzeniem londyńskiego sądu opublikowała obszernie fragmenty zeznań z prowadzonego przeciwko niemu śledztwa, bezceremonialnie chwając się, że dostała te materiały od śledczych. Ta szokująca praktyka pokazuje, że najważniejszy w tej operacji jest cel polityczny. Kto nim jest, skoro Kuczmierowski ma być tylko pionkiem?

Odpowiedź na to pytanie znajdujemy np. w „Newsweeku”, który cieszy się, że „zaciska się pętla” wokół Morawieckiego.

Warto sobie uświadomić, że 15 października nie było w Polsce żadnego wielkiego przełomu politycznego. To PiS wygrało wybory, a wszystkie siły lewicowo-liberalne ledwo tę władzę przejęły. Wiedzą, że na równym boisku nie mają wielkich szans, więc teraz przygotowują się do „wydrukowania” kolejnego meczu – prezydenckiego. W brudnym sporcie można w tym celu np. przekupić sędziego (to też zasadna analogia), w Afryce stosują czary. A drużyna, którą tu opisujemy, najzwyczajniej w świecie postanowiła wysłać bandziorów, by poprzecinali przeciwnikowi opony w autokarze i połamali rywalom kończyny.

Z uśmiechem na ustach.

Odebrana subwencja, czyli dobić PiS

Odebranie publicznego finansowania Prawu i Sprawiedliwości to dużo więcej niż doraźna represja, którą rząd stosuje wobec głównego konkurenta. To wydarzenie, które może być punktem zwrotnym w polskiej polityce na bardzo długie lata. Na dodatek mające skutki systemowe



PIOTR GURSZTYN

Uderzenie w finanse PiS ma dwa cele. Nieco odmienne, choć bezwzględnie powiązane ze sobą. Pierwszy cel to zdruzgotanie zdolności partii Jarosława Kaczyńskiego do przeprowadzenia skutecznej kampanii prezydenckiej. Cel bardziej długoplanowy to stopniowa destrukcja jedynej realnej opozycji. Coś, co w rozmowie z portalem wPolityce.pl prof. Henryk Domański nazwał „łagodną delegalizacją”. Być może zamiarem głównego inicjatora ataku, czyli Donalda Tuska, nie jest pełna anihilacja prawicy, ale doprowadzenie do jej skarcenia. Sprowadzenie do takiego poziomu, że Tusk nadal będzie miał czym straszyć swoich zwolenników w celu ich mobilizowania i odwracania uwagi od

wszystkich patologii związanych z jego rządami. Ale jednocześnie miały to być taki poziom, z którego trwale okaleczona antyestablishmentowa prawica nie będzie już mogła zagrozić monowładzy liberalistów.

Ocena prof. Domańskiego jest trafna, ale należy ją uzupełnić prognozą, że łagodność w delegalizowaniu zakończy się, gdy się okaże, że ekipa Tuska nie poniesie znaczących strat w tej prowadzonej „na wyrywę” operacji. Zatem jest też trzeci aspekt, obecny zresztą w innych brutalnych działaniach tej władzy, gdy stosowała zasadę „prawa, tak jak my je rozumiemy”. To rozpoznanie, jak daleko można się posunąć w totalnym przejmowaniu państwa.

ZBIÓRKA NA PARTIĘ

Bez cienia wątpliwości główna partia opozycyjna – jedyna siła, która jest dla obywateli demokratyczną alternatywą wobec obecnej władzy – znalazła się w ciężkim położeniu. PiS ma 35 mln zł zobowiązań do spłaty. Zablokowane zostały konta partii. W tym momencie podstawą funkcjo-



nowania stają się darowizny gotówkowe. Ruszył plan oszczędnościowy – na razie rezygnacja z wielu lokali partyjnych oraz ograniczenie planowanych imprez.

Partia chciała przejść do ofensywy. Są zaplanowane działania, takie jak prawicowa odpowiedź na platformerski Campus Polska Przyszłości, czyli inicjatywa Przystań Polska przewidziana na wrzesień 2024 r. w Puławach. To nie jest impreza partyjna, więc musi być sfinansowana z innych źródeł. Plan był taki, żeby finansowanie wzięła na siebie europarlamentarna frakcja EKR, której PiS jest kluczowym członkiem. Ale EKR jako opozycyjna, konserwatywna międzynarodówka jest pod szczególną lupą Brukseli, co oznacza traktowanie jej według odmiennego standardu niż partii rządzących Unią Europejską. Dlatego wśród europejskich partnerów PiS pojawiły się obawy, że wsparcie dla Przystani zostanie potraktowane przez eurokraj jako pretekst do odebrania subwencji także EKR.

Inne źródła są skromne, zwłaszcza że ruszyła zbiórka darowizn na partię. Prawica nie ma tak hojnych sponsorów jak organizatorzy Campusu. Warto tu wspomnieć pewną sieć sklepów, która finansuje Campus, a w zamian za to uzyskała preferencyjne warunki w Warszawie, gdy władze stolicy postanowiły wprowadzić zakaz sprzedaży alkoholu w nocy. PiS nie ma takiego zaplecza. Oszczędności dotkną także kongresu partii, który ma być



zorganizowany tej jesieni. Musi się on odbyć ze względów statutowych i trzeba go sfinansować z partyjnych pieniędzy, ale wiadomo już, że program tego spotkania będzie poważnie ograniczony.

Gdyby nie kuriozalna decyzja Państwowej Komisji Wyborczej, na konta PiS przez najbliższe cztery lata wpłynęłoby ok. 140 mln zł. Teraz będzie to tylko 23 mln. Porównajmy to z tym, co otrzyma rządząca Koalicja Obywatelska, partia oligarchii i establishmentu, która wzbogaci się o ponad 100 mln zł. Jej kandydat w wyborach prezydenckich będzie w wyjątkowo uprzywilejowanej pozycji i w przyszłym roku będziemy świadkami skandalicznie nierównej kampanii wyborczej.

I tu dochodzimy do punktu zasadniczego, czyli kampanii prezydenckiej. Okoliczności, która jest kluczowa dla domknięcia systemu politycznego w taki sposób, aby „populiści” nie byli w stanie odsunąć liberalów od władzy. Kandydat prawicy cały czas ma wielkie szanse w starciu z przedstawicielem rządzącego establishmentu, ale wiąże się to ze spełnieniem kilku warunków. Pamiętajmy o gigantycznej dysproporcji we wsparciu mediów. Kandydat KO znajdzie się pod parasolem ochronnym blisko 100 proc. mainstreamowych mediów, a reprezentant prawicy będzie dla nich celem zmasowanej nagonki.

Aby być skuteczną, kampania prezydencka PiS musi się wiązać z wielkimi

wydatkami. Po pierwsze, by zniwelować dominację mediów liberalnych. Po drugie, kierownictwo partii chce powtórzyć sukces z 2015 r., czyli wystawić kandydata młodszego, świeżego, nieobciążonego podejmowaniem kontrowersyjnych decyzji. Plan powtórzenia fenomenu Andrzeja Dudy, czyli wykreowania pretendenta nieobciążonego negatywnym bagażem, lecz początkowo słabo znanego opinii publicznej, wymaga dużych nakładów na zbudowanie masowej rozpoznawalności. Alternatywą jest wystawienie postaci o niekwestionowanej rozpoznawalności – typu Mateusz Morawiecki, Mariusz Błaszczak, Elżbieta Witek. To jednak osoby obciążone – szczególnie Morawiecki jako wieloletni premier – bagażem długiego funkcjonowania w polityce. W wywiadzie dla telewizji w Polsce²⁴ Jarosław Kaczyński mówił, że celem jest wygrana w drugiej turze. To jasna sugestia, że kierownictwo partii chce postawić na kandydata nowego, czyli wymagającego kosztownej kampanii.

Odpowiedzią na represje finansowe jest zbiórka. Zaczęła się nieźle, mimo prób zastraszenia np. przez Romana Giertycha, który twierdził, że jest nielegalna, oraz donosów poseł KO Agnieszki Pomaskiej. Z tego, co słychać z ul. Nowogrodzkiej, zagrożeń z tej strony nie ma. Władze partii zadbały, aby zbiórka miała w pełni legalny przebieg. Wreszcie niczym ostatnia instancja minister sprawiedliwości Adam

Bodnar orzekł w wywiadzie, że zbiórka odbywa się w sposób zgodny z prawem.

Odzew na apel był pozytywny. Politycy PiS mówią, że przypadkowo spotkane osoby podchodziły do nich i komentowały decyzję PKW jako bandytyzm. Na pierwszym etapie efekt jest bardzo dobry. We wtorek 3 września Mariusz Błaszczak komunikował, że wpłynęło 40 tys. darowizn, z czego większość w wielkości między 20 zł a 100 zł. Te ostatnie słowa zostały wypowiedziane z jasną intencją podkreślenia tego, że PiS jest partią zwykłych Polaków, a nie finansowej oligarchii. Pytanie jednak, czy uda się nadać tej akcji bardziej systematyczny charakter. To wielkie wyzwanie dla Prawa i Sprawiedliwości. Przyjmijmy założenie, że co dziesiąty wyborca PiS z wyborów parlamentarnych wpłaci 100 zł. Dałoby to sumę 75 mln zł. To jednak raczej teoria. W partii Jarosława Kaczyńskiego nie usłyszymy opinii, że taka kalkulacja ma realne podstawy.

Do tego trzeba dolożyć swoisty „podatek” nałożony na posłów do Sejmu i europarlamentu. 1 tys. zł płacony co miesiąc przez parlamentarzystów krajowych, 5 tys. zł przez członków PE. Rocznie daje to kilka milionów złotych, co pokazuje, że PiS uniknie bankructwa. Doniesienia liberalnych mediów, że wśród szeregowych parlamentarzystów może wybuchnąć bunt z powodu tej daniny można włożyć między bajki. Nie ma to związku z ogólnymi nastrojami na prawicy, gdzie działania

Tuska budzą zdecydowane oburzenie, a także obawy przed kolejnymi szykanami. Wydaje się, że każdy polityk PiS ma świadomość, że jedzie na wspólnym wózku i indywidualne strategie nie uchronią go przed zemstą rządzących Polską liberalów. Idą nowe czasy, naprawdę złe dla opozycji, więc oglądanie się na analogie z lat 1989–2023 nie ma sensu. Tusk i jego ekipa testują, jak daleko mogą się posunąć, zatem więcej bezpieczeństwa daje wspólna walka z nasilającą się opresją niż próby przeczekania najgorszego w pojedynkę.

SKARGA DO SĄDU NAJWYŻSZEGO

Nową rzeczywistość wytworzą orzeczenia i wyroki sądów oraz reakcje na nie. Zgodnie z obowiązującą procedurą PiS zaskarżyło decyzję PKW do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego. Ale Donald Tusk zdążył już zadeklarować, że nie uzna orzeczenia Izby, gdy ta nie będzie po jego myśli (skalę chaosu ukazuje to, że obecna ekipa uznaje orzeczenia tej Izby, gdy jej to odpowiada – np. stwierdzenie ważności wyborów). Formalnie orzeczenie SN wraca do PKW, a Komisja powinna tu postąpić w trybie podobnym do notariusza. Po prostu przyjąć do wiadomości i zobowiązać ministra finansów do wypłacenia subwencji.

Ale przecież po 13 grudnia stworzono tyle precedensów łamania i naginania prawa, że również teraz tak będzie. Wiadomo, jaka będzie argumentacja. Prawnicy popierający rząd twierdzą, że w świetle orzeczeń międzynarodowych Izba nie jest sądem, choć docięnięci pytaniami przyznają, że zignorowanie decyzji SN i tak będzie „budziło wątpliwości” (wypowiedź prof. Huberta Izdebskiego dla portalu prawo.pl). Na tym tle wyróżnia się opinia prof. Ryszarda Piotrowskiego, który, wypowiadając się dla portalu prawo.pl, zakwestionował argumentację podważającą kompetencje Izby: „Mamy w Polsce obowiązujące prawo i ono przewiduje, że właściwa w tych kwestiach, które dotyczą rozpoznawania odwołań, jest Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. O tym, kto jest sądem w Polsce, decydują polskie ustawy i polska konstytucja. Owszem, Trybunał Sprawiedliwości UE wskazał, że sądy polskie są sądami europejskimi, ale w sprawach z componentem europejskim, a nie w polskich sprawach. Stanowisko Trybunału było jednym z ele-

mentów, które miały wpływ na wynik wyborów w Polsce. Jeżeli mamy trzymać się konstytucji i porządku prawnego, to jest oczywiste, że Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych jest w tym przypadku właściwa”.

PKW może zachować się też aseku-rancko, czyli przerzucić gorący kartofel ministrowi finansów Andrzejowi Domańskiemu. Media informowały już, że Ministerstwo Finansów gorączkowo szuka „nieoficjalnymi kanałami” prawników, którzy by napisali opinie prawne uzasadniające nierespektowanie orzeczenia SN.

Do milionów Polaków poszedł mocny sygnał – państwo prawa, praworządność, demokracja liberalna to tylko frazesy. Liczy się goła siła. Nie da się już „odzobaczyć” tego, co wszyscy teraz zobaczą

Do tego dochodzą cywilne pozwy PiS przeciw członkom PKW, którzy, co trzeba podkreślić, nie są chronieni żadnymi immunitetami. Mają je obiecane na przyszłość. Według nieoficjalnych przesłuchów zasiadający w Komisji reprezentanci koalicji 13 grudnia mają uzyskać immunitety, bo obecna władza obiecała im miejsca w Trybunale Konstytucyjnym i Sądzie Najwyższym. To ma ich zabezpieczyć na przyszłość, ale warunkiem, aby to się udało, jest zdobycie pałacu prezydenckiego przez właściwego kandydata. Ten bowiem po domknięciu systemu politycznego będzie mógł również podpisać ustawę amnestijną rozgrzeszającą członków PKW, Andrzeja Domańskiego czy ministra Bodnara za łamanie prawa w trakcie „przywracania praworządności”.

PODWÓJNE STANDARDY

Sprawa zamachu na finansowanie PiS to jeden z punktów zwrotnych w dziejach politycznych Polski po 1989 r. Bez żadnej prze-

sady można tak stwierdzić, niezależnie od tego, czy wygraą liberalowie, czy prawica wyjdzie z tego obronną ręką. To przykład stosowania podwójnego standardu – korzystnego dla liberalnego establishmentu, niekorzystnego dla prawicy. PKW była ślepa na Campus Polska Przyszłości czy „walkę z sepsą” Jerzego Owsiaaka. Przykład nie pierwszy i niejedyński, ale przekraczający wszystkie dotychczasowe miary politycznego gangsterstwa w naszym kraju.

Nawet w przypadku całkowitego sukcesu strony liberalnej do milionów Polaków poszedł mocny sygnał – państwo prawa, praworządność, demokracja liberalna to tylko frazesy. Liczy się goła siła. Nie da się już „odzobaczyć” tego, co wszyscy teraz zobaczyli. „Nowa władza gra na zniszczenie PiS” – pisze np. publicysta „Tygodnika Powszechnego”. Stwierdza to zupełnie otwarcie, ale nie widzi w tym nic złego. Dlaczego? Bo PiS rzekomo jest samo sobie winne. „Ale nawet jeśli – tak jak w przypadku sposobu przejęcia przez ludzi Tuska mediów publicznych i prokuratury – osoba bezwzględnie szanująca prawo odczuje niesmak wobec poczynąń nowej władzy, to

jednocześnie można rzec: kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Po tym, jak bezwzględnie PiS rozprawił się z Trybunałem Konstytucyjnym, w jaki sposób próbował stłamsić Sąd Najwyższy i prokuraturę, trudno odczuwać empatię wobec Jarosława Kaczyńskiego, nawet jeśli za chwilę będzie musiał zmierzyć się z pustkami w partyjnej kasie. Przecież surowa decyzja PKW też jest pokłosiem poczynąń lidera PiS” – w taki prosty sposób zamach na demokratyczną równość tłumaczą sobie liberalowie i ich media.

Ale pewnie już wiedzą, że w przyszłości ktoś podobnie potraktuje ich wybrańców. Na razie wypierają tę lęk. Ta metoda nic jednak nie da. Tu warto wrócić do innych słów prezesa Kaczyńskiego z wywiadu dla telewizji w Polsce24. Do wypowiedzi o tym, że III RP jest likwidowana nie przez PiS, ale przez Tuska, czyli jej beneficjenta i rzekomego obrońcę. Zabierając pieniądze Prawu i Sprawiedliwości, PKW wbiła bardzo gruby gwóźdź w trumnę III RP. Następuje faktyczny koniec III RP i tego procesu nie da się już odwrócić. 

Koszt Unii



Przez 20 lat wmawiano Polakom, że Unii chodzi tylko o wartości europejskie: demokrację, praworządność i dostatnie życie. Dostaliśmy za nie słony rachunek, który będziemy spłacać jeszcze przez wiele lat. Chyba że w końcu dotrze do nas, iż w tych wyliczeniach coś się nie zgadza



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W tym roku Polska obchodziła 20. rocznicę wstąpienia do Unii Europejskiej. Wydawałoby się, że to doskonała okazja do podsumowania i refleksji nad korzyściami i stratami płynącymi z członkostwa we wspólnocie. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Zamiast poważnej debaty mieliśmy rocznicowe akademie w peerelowskim stylu, na których działacze partii rządzącej wraz z przedstawicielami postępowego świata nauki, kultury i mediów wygłosili pochwalne referaty, a potem zadowoleni stuknęli się lampką szampana. Dla ludu zorganizowano zaś festyny, na których można było pomachać niebieską chorągiewką i odsłuchać odtworzonej z głosników „Ody do radości”. Wszystko razem przypominało trochę dawne obchody 22 lipca albo kolejnej rocznicy rewolucji październikowej.

Był to zarazem jaskrawy dowód na to, że dzisiejsza Unia Europejska nie jest już organizmem żywym, demokratycznym, na który każdy obywatel może mieć wpływ. To raczej rodzaj skamieliny, bożka, któremu należy oddawać cześć i wznosić do niego modły.

Za tym bożkiem kryją się oczywiście konkretni ludzie i konkretne interesy, ale przeciętny obywatel ich nie widzi i nie ma ich widzieć. Zamiast tego powinien wierzyć, że wszystko co osiągnął, zawdzięcza właśnie temu bożkowi. I gdyby, o zgrozo, Unia przestała kiedyś istnieć, to on zginie razem z nią.

Faktem jest, że dla UE nie ma dziś dobrej alternatywy. Nie oznacza to jednak, że jej obecny kształt powinien być wyjęty spod jakiegokolwiek krytyki. Nie oznacza to również, że nie powinniśmy zastanawiać się nad tym, jaki jest bilans 20-letniego członkostwa. A ten wcale nie jest taki jednoznaczny. Ale po kolei.

PÓKI SĄ PIENIĄDZE

Jak wynika z wyliczeń Ministerstwa Finansów, w ciągu 20 lat członkostwa w Unii

Europejskiej otrzymaliśmy w ramach różnych programów 245,5 mld euro, z tego 65 proc. przeznaczono na politykę spójności oraz 30 proc. na politykę rolną. W tym samym czasie do unijnego budżetu Polska wpłaciła 83,7 mld euro. Rachunek wydaje się więc oczywisty – nasz kraj zyskuje na członkostwie w Unii. I to mocno. Tak też uważa duża część Polaków.

Z sondażu dla TOK FM przygotowanego w maju przez pracownię Opinia24 wynika, że aż 82,5 proc. ankietowanych Polaków cieszy się z członkostwa w Unii. Przy czym prawie 60 proc. z nich wskazuje pieniądze jako jedną z najważniejszych korzyści płynących z obecności we wspólnocie. Z kolei dla 16 proc. pieniądze są jedyną korzyścią.

Podobne badania zrobił również warszawski Pew Research Center. Pokazały one, że 76 proc. Polaków jest przychylnie nastawionych do Unii (najwięcej spośród badanych krajów), przy czym od ub.r. zauważalny jest spadek pronijnych nastrojów – w 2023 r. zwolenników UE w Polsce było bowiem aż 88 proc. Tę zmianę tłumaczy się najczęściej protestami rolników, którzy jako pierwsi zaczęli odczuwać efekty polityki Zielonego Ładu.

Oba przytoczone sondaże wskazują, że główną przyczyną tak wysokiego poparcia dla Unii są pieniądze. Wspólnota ciągle nam o nich przypomina na wszechobecnych tabliczkach z niebieską flagą i napisem „zrealizowano z funduszy Unii Europejskiej”. Przekazując pieniądze, chce, aby każdy mieszkaniec Europy – zwłaszcza z ubogiego Wschodu – pamiętał, komu zawdzięcza lepsze życie.

Taka polityka ma jednak dwa konce. Co bowiem będzie, gdy pieniądze się skończą? Albo jeśli okaże się, że polityka Unii, zwłaszcza związana z wdrażaniem Zielonego Ładu, doprowadzi do drenażu naszych portfeli? Czy również wtedy Polacy będą tak entuzjastycznie nastawieni do członkostwa w Unii jak teraz? Chyba mało kto wierzy, że dla większości naszych rodaków tzw. wartości europejskie okażą się ważniejsze od dobrej pracy, wysokich zarobków, corocznych wakacji i samochodu pod domem. Pozbawiona finansowej atrakcyjności Unia stanie się ponurą, opresyjną strukturą, nową, nieco mniej prężną wersją bloku sowieckiego.

Nic więc dziwnego, że dzisiaj nikt nie chce rozmawiać o bilansie naszego

członkostwa. Prawda jest bowiem taka, że nasz region nie tylko pochłania dużą część unijnych funduszy, lecz także generuje bardzo poważne zyski dla reszty Europy. Gdyby ich nie było, dziś pewnie nikt nie wyciągałby nas z takim zapalem z łap „populistów”. Prędzej już zostalibyśmy wypchnięci wraz „populistami” poza granice Unii.

NIERÓWNOWAGA KAPITAŁU

Unia Europejska nie przyjmowała nowych członków z altruistycznych pobudek. Układ był dość prosty – nowe państwa członkowskie otrzymują pomoc finansową, aby nadrobić wieloletnie opóźnienia i podwyższyć poziom życia, a w zamian otwierają swoje gospodarki dla unijnego kapitału. Teoretycznie był całkiem uczciwy, bo otwarcie rynków działało w obie strony, tzn. kapitał pochodzący z nowych krajów członkowskich także mógł inwestować i zarabiać w całej Unii. Jednak nie inwestował i nie zarabiał, bo go po prostu nie było. Już na starcie nastąpiła więc ogromna nierównowaga, która spowodowała, że Europa Środkowo-Wschodnia stała się niemal dziewiczym polem eksploracji dla silnego, pozbawionego realnej konkurencji zachodniego kapitału.

Oczywiście integracja europejska przyniosła państwom naszego regionu wiele dobrego. W wymiarze społecznym otrzy-

maliśmy możliwość swobodnego poruszania się, podejmowania (choć po okresie ochronnym i nie bez trudności) pracy na obszarze UE. Nastąpił szybki rozwój cywilizacyjny, a obecność silnego zagranicznego kapitału była jednym z decydujących czynników, które doprowadziły do upadku postkomunistycznej gospodarki i ograniczenia związanych z nią patologii.

Jednocześnie jednak ogromna różnica potencjałów dzieląca państwa dawnej Unii i nowych członków z naszego regionu wywołała poważne problemy. Gwałtowna ekspansja zagranicznego kapitału doprowadziła do upadku wielu rodzimych przedsiębiorstw i głębokiego uzależnienia gospodarki od bogatszych kuzynów z Zachodu. Rynki poszerzonej Wspólnoty stały się otwarte dla silnej konkurencji unijnej, a nasz przemysł – przekształcony w montownię obcych produktów lub warsztaty dostarczające części dla europejskich koncernów. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji głównym atutem nowych państw stała się tania siła robocza, co jedynie utrzymywało strukturalną przepaść kapitałową między Wschodem a Zachodem.

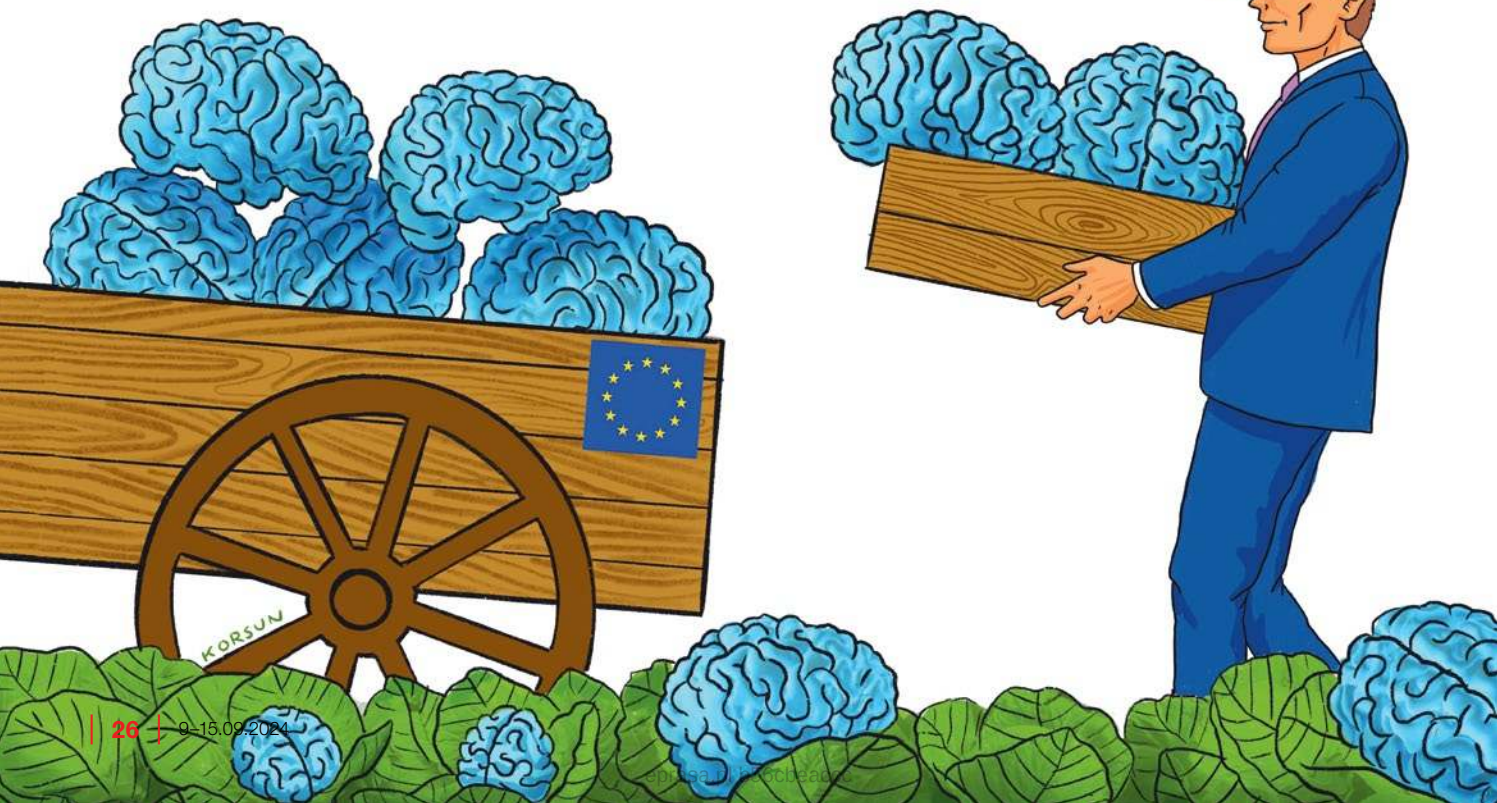
Według danych publikowanych przez Credit Suisse w 2016 r. średni majątek przypadający na jedną dorosłą osobę w Polsce wynosił 24 tys. dol. (Czechy – 48 tys., Węgry – 33 tys.), podczas gdy w pogrążonej w kryzysie Grecji – 103 tys. dol. Wielka

Brytania mogła poszczycić się 288 tys. dol., a przykładowo Szwecja – 227 tys. Te dane pokazują, jak gigantyczne są różnice majątkowe pomiędzy społeczeństwami europejskimi i jak słaba w związku z tym jest realna pozycja Europy Środkowo-Wschodniej wewnątrz Unii.

Przez blisko 30 lat od upadku komunizmu nie zdołaliśmy zgromadzić w kraju wystarczającego kapitału. To zadanie na całe dekady. Państwa zachodnie akumulowały kapitał przez stulecia. Wschodnim tygrysom, takim jak Korea Południowa, zajęło to wprawdzie kilkadziesiąt lat, ale ceną tego sukcesu były lata brutalnej dyktatury oraz ogromne nierówności.

Nie oznacza to oczywiście, że w ostatnim ćwierćwieczu nie powstały w Polsce żadne prosperujące firmy. Jednak po wspięciu się do wyższej ligi zwykle musiały stawić one czoło wielokrotnie potężniejszym konkurentom. Bo gdy w końcu szeroko rozwinęły skrzydła, to na pewnym etapie ich rynkowej ekspansji zwykle okazywało się, że brakuje im paliwa (kapitału) na dalszy lot. I pozostawała im smutna alternatywa: albo upaść, albo znaleźć brakujące środki za granicą.

Mamy tu do czynienia z błędnym kołem, bo z powodu braku solidnego krajowego kapitału polska gospodarka ciągle nie jest w stanie przekroczyć bariery rozwojowej



i podjąć realnej walki konkurencyjnej z bogatszymi państwami. W tych warunkach obcy kapitał bez problemów wykorzystuje naszą strukturalną słabość.

KTO TU JEST BENEFICJENTEM?

Słynny francuski ekonomista Thomas Piketty opublikował w 2018 r. dane, z których wynika, że wartość zysków i innych dochodów z własności wyprowadzanych przez zachodni kapitał z Polski, Czech, Węgier i Słowacji jest wyższa niż środki, które te państwa otrzymują z Unii Europejskiej.

Jak twierdzi Piketty, w latach 2010–2016 średnia roczna wartość transferów z Unii do Polski była równa 2,7 proc. naszego PKB. Z kolei wartość środków idących w przeciwną stronę wyniosła aż 4,7 proc. polskiego PKB. Oznacza to, że różnica między tym, co dostajemy z Unii w ramach programów pomocowych, a tym, co oddajemy w postaci zysków z zainwestowanego tu kapitału, wynosi 2 proc. PKB. Jeśli tak podliczymy bilans, to nagle się okaże, że Polska więcej traci, niż zyskuje.

Zdaniem Piketty'ego w jeszcze gorszej sytuacji są Czesi, którzy co roku tracą na rzecz Unii 5 proc. swojego PKB, oraz Węgrzy ze stratą 3,2 proc. Słowacja wypada w tym zestawieniu najlepiej, oddając Unii 2 proc. PKB.

Piketty podsumował swoje ustalenia dosadnie, twierdząc, że unijny kapitał, przejmując kontrolę nad ponad połową aktywów firm, po prostu skolonizował Wschód Europy i wykorzystując niskie płace, czerpie stąd pokaźne zyski, znacznie przewyższające pomoc, jaką państwa naszego regionu otrzymują z Brukseli. Nie da się więc dłużej twierdzić, że te kraje są beneficjentami Unii.

Wyliczenia Piketty'ego wywołały sporo szumu. Niekryjącego się ze swoimi lewicowymi przekonaniami ekonomistę próbowano ośmieszyć, wypominając mu jego fascynację Marksem. Jednak choć przedstawione przez niego dane nie uwzględniały całej złożoności przepływów finansowych między Unią a Europą Środkowo-Wschodnią, trudno było odtąd twierdzić, że problemu nie ma. Wielka zasługa Piketty'ego polegała na tym, że wykorzystując swój autorytet, powiedział głośno

to, o czym w naszej części Europy mówiono jedynie szeptem, aby nie sprowokować oskarżeń o populizm czy eurosceptycyzm.

DRENAŻ MÓZGÓW

Unia jedną ręką daje nam pieniądze, a drugą zabiera. Ale wraz z pieniędzmi odpływają również ludzie – przede wszystkim młodzi, zdolni, a więc najbardziej wartościowi dla gospodarki.

Jak podał w lutym 2020 r. „Financial Times”, kraje Europy Środkowo-Wschodniej są ofiarami drenażu mózgowi na niespotykaną wcześniej skalę, co dodatkowo pogłębia i tak już ostry kryzys demograficzny

Państwa „starej Unii” starannie zadbały o to, aby zrzucić jak najwięcej kosztów poszerzenia wspólnoty na jej nowych członków z Europy Środkowo-Wschodniej i jeszcze na tym zarobić

w naszym regionie. Przykładowo liczba ludności Łotwy spadła od czasu przystąpienia do Unii aż o 27 proc., w przypadku Litwy jest to 22 proc., a Bułgarii – 21 proc.

Dokładniejsze dane przynosi nam indeks drenażu mózgowi (brain drain index), liczony m.in. według poziomu wykształcenia emigrantów w porównaniu z wykształceniem ich rodaków, którzy pozostali w kraju. Jest on mierzony w skali od 0 do 10, przy czym im wyższa liczba, tym większy drenaż mózgowi z danego kraju. W przypadku Polski wynosi 4,6, co sytuuje nas między Kazachstanem a Botswaną. Dla porównania indeks Kanady i Norwegii to 0,7, a Szwecji – 0,6. Z kolei wspomniana Łotwa to 5,8, Litwa – 5,6, a Bułgaria – 5,2. Wyraźnie więc widać, że znacznie bliżej nam do państw wydręnowanych niż do tych, które zyskują.

A zyski z dobrze wykształconych, młodych imigrantów są naprawdę ogromne. Jak podaje „Financial Times”, na imigrantach z Europy Środkowo-Wschodniej Niemcy tylko w 2018 r. zarobili 170 mld euro. Zyski z tego powodu odnotowały też inne kraje „starej Europy”: Wielka Brytania – 141 mld, Francja – 54 mld, Holandia – 24 mld, Szwecja – 15 mld, a Dania 11 mld (wszystkie kwoty liczone w euro). Według gazety sumy uzyskane dzięki imigrantom z naszej części Europy przewyższają składki płacone przez te kraje do budżetu Unii. Te same pieniądze mogłyby zostać w naszej gospodarce, ale zostały wysysane wraz z ludźmi.

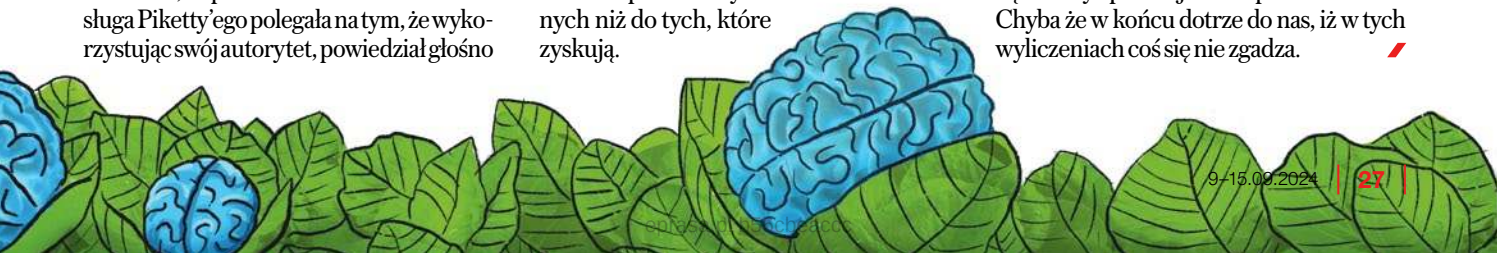
RACHUNEK ZA WARTOŚCI

Państwa „starej Unii” starannie zadbały więc o to, aby zrzucić jak najwięcej kosztów poszerzenia wspólnoty na jej nowych członków z Europy Środkowo-Wschodniej i jeszcze na tym zarobić. Trudno czynić im z tego powodu zarzut – każdy dba przecież o własne interesy. Chodzi raczej o to, że w Polsce i innych krajach naszego regionu, tak łatwo im na to pozwoliliśmy.

Bardzo wiele złego zrobiła tu retoryka środowisk liberalnych rodem z dawnej Unii Wolności i Platformy Obywatelskiej. To one, broniąc własnych przywilejów, żądały od społeczeństwa pełnej uległości wobec europejskich instytucji, doprowadzając tym samym państwo do całkowitego ubezwłasnowolnienia. Udało im się przekonać społeczeństwo, że jakkolwiek krytyka Unii jest niedopuszczalna i sprzeczna z interesem Polski.

Zauważmy jednak, że skoro zdaniem tych środowisk interes Polski jest tożsamy z interesem UE, to znaczy, że nie istnieje. Jest więc tylko interes unijny, za którym kryje się brutalna gra państw „starej Unii” oraz globalnego kapitału.

Tymczasem przez 20 lat wmawiano Polakom, że chodzi tylko o wartości europejskie: demokrację, praworządność i dostatnie życie. Dostaliśmy za nie słony rachunek, który będziemy spłacać jeszcze przez wiele lat. Chyba że w końcu dotrze do nas, iż w tych wyliczeniach coś się nie zgadza.



A close-up portrait of an elderly woman with short, wavy white hair. She is wearing dark-rimmed glasses and has a serious expression. She is wearing a white top with a green floral pattern. The background is blurred, showing green foliage.

MEN celowo niszczy polską oświatę

Dementuję przeświadczenie społeczne, że minister edukacji jest osobą niekompetentną, że nie wie, co robi. To nieprawda. MEN jest podwykonawcą unijnych projektów oświatowych, które mają prowadzić do utworzenia europejskiego obszaru edukacji

Fot. Andrzej Wiktor

Z Hanną Dobrowolską, polonistką, autorką podręczników szkolnych do języka polskiego dla klas 4–6, nauczania początkowego oraz licznych pomocy metodycznych, współzałożycielką Ruchu Ochrony Szkoły, odznaczoną Srebrnym Krzyżem Zasługi, rozmawia Dorota Łosiewicz

Jest pani współzałożycielką Ruchu Ochrony Szkoły. Dlaczego uważa pani, że polska szkoła wymaga dziś obrony?

Hanna Dobrowolska: Ruch Ochrony Szkoły powstał dwa lata temu. W br. rozszerzyliśmy działalność. W tej chwili już ponad 70 organizacji tworzy Koalicję na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły. To jest wielkie przedsięwzięcie obejmujące całą Polskę. Głównym celem tego szerokiego ruchu społecznego jest sprzeciw wobec zagrożenia dla autonomii polskiej oświaty w kontekście zmian, które zachodzą w Unii Europejskiej. Mam na myśli plan utworzenia europejskiego obszaru edukacji. Sprzeciwiamy się też erozji polskiej szkoły, do której prowadzi tzw. inkluzja, czyli edukacja włączająca. Od wielu lat, a otwarcie od 2020 r., stopniowo zamieniamy ona placówki oświatowe w Polsce w świetlice terapeutyczno-opiekuńcze. Ignoruje się wymagania programowe, często sprowadzając nauczycieli przedmiotowych do roli opiekunów dzieci z różnymi niepełnosprawnościami. To zresztą tendencja ogólnooświatowa, której skutkiem jest spadek poziomu kształcenia uczniów.

Jak działacie?

Kierujemy pisma do Ministerstwa Edukacji Narodowej, do prezydenta. Zaczęliśmy od sprzeciwu wobec zmian podstaw programowych i likwidacji prac domowych. Od tego zaczął się zamęt, który wprowadza obecne ministerstwo, a który narasta. Prowadzimy szeroką działalność ekspercką i informacyjną wśród rodziców. Były też pikiety, protesty i konferencje prasowe pod kuratoriami oświaty w Poznaniu, Gdańsku, Katowicach, Krakowie, Wrocławiu, Szczecinie, Bydgoszczy, Rzeszowie oraz Lublinie. W dniu rozpoczęcia roku szkolnego zorganizowaliśmy konferencję prasową pod MEN w powiązaniu mostem solidarnościowym

z Mielcem, który pikietą pod zespołem szkół zawodowych „witał” minister edukacji. Chcemy pokazać naszą determinację wobec galopującej destrukcji oświaty.

Porozmawiajmy o szczegółach zmian. Podstawy programowe ograniczono o 20 proc., zmiany dotyczą aż 18 przedmiotów, część lektur będzie omawiana tylko we fragmentach.

Te zmiany często są komentowane i interpretowane powierzchownie, bez dostrzegania szerokiego kontekstu. Stanowią dowód na to, że MEN jest podwykonawcą unijnych projektów oświatowych, które mają prowadzić do utworzenia europejskiego obszaru edukacji. Nasza koalicja wysłała 33 strony szczegółowych uwag do zmian w zakresie historii, języka polskiego, matematyki, chemii, biologii, geografii. Język polski i historia zostały całkowicie wypłukane z treści narodowych, z chrześcijańskiego kontekstu naszych dziejów. Jeśli chodzi o matematykę, ograniczono rachunek pamięciowy na rzecz stosowania urządzeń cyfrowych. W zakresie chemii, biologii, geografii ograniczono aspekt empiryczny, czyli doświadczenia i prace terenowe. Wyrocznią ma być internet. Celem zmian jest wyeliminowanie krytycznego myślenia młodego człowieka, poszukiwania wiedzy i ciekawości świata.

A język polski, pani domena?

Najbardziej boleję nad fragmentaryzacją tekstów literackich z kanonu lektur. Ten zabieg dotknął „Quo vadis”, „Syzyfowe prace”, „Potop”, „Chłopów”, gdzie fragmenty te nawet nie zostały oznaczone. Jeśli chodzi o „Pana Tadeusza”, ma być omawiana połowa objętości tekstu, do matury uczeń nie pozna całego dzieła Mickiewicza. To wszystko daje pole do manipulacji, relatywizacji tekstów, ich subiektywnej interpretacji przez nauczycieli. Do

tęgo mamy przypis siódmy do załącznika do rozporządzenia MEN, który głosi, że krótkich form literackich bądź utworów we fragmentach z klas 4–6 nie będzie można przywoływać na egzaminie ósmoklasisty. O jakie krótkie teksty i teksty poznawane we fragmentach chodzi? Np. o „Mazurka Dąbrowskiego” Józefa Wybickiego, wybrane „Bajki” Ignacego Krasickiego, mity greckie i fragmenty z Biblii o stworzeniu świata czy przypowieści ewangeliczne. To znaczy, że np. hymn Polski może stać się całkowicie zmarginalizowanym tekstem, niepoddawanym rzetelnej analizie i że nie będzie się do niego wracać w późniejszych latach. Apeluję więc do nauczycieli, by właśnie te teksty oznaczone przypisem przedstawili ze wszystkimi wartościami i walorami, jakie są w nich zawarte. Bez tych treści nie ma mowy o wspólnym kodzie kulturowym. To są antypolskie zabiegi.

Skoro mówi pani o antypolskich działaniach, to do takich chyba należy także akceptacja głośnego podręcznika polsko-niemieckiego.

Pokładam nadzieję w rozsądku nauczycieli. Podręczników do historii do klasy ósmej na rynku jest wiele i to na tyle dobrych, że po prostu powinniśmy zignorować fakt istnienia książki, która powstała pod dyktando niemieckich naukowców i metodyków, przedstawia relatywną wersję historii, zresztą lansowaną w różnych innych miejscach w Europie, jak choćby w Brukseli, w skandalicznym Domu Historii Europejskiej.

Zachęca pani do zignorowania polsko-niemieckiego podręcznika. A czy można zignorować rozporządzenie dotyczące prac domowych?

Tęgo do końca nie można zignorować. Tu mam apel do rodziców, którzy widząc, że zmiany te zmierzają w kierunku obniżenia poziomu kształcenia, powinni mieć kontrolę nad pracą

dziecka w domu. Warto tworzyć atmosferę własnych ambicji. Skoro uczeń nie musi odrabiać pisemnych prac domowych, należy go zachęcać, aby je wykonywał motywowany własną ambicją. Dla poszerzenia wiedzy i formowania charakteru.

A czy można zignorować rozporządzenie dotyczące organizacji lekcji religii? Trybunał Konstytucyjny wydał w tej sprawie zabezpieczenie, ale według MEN nie ma ono mocy wiążącej. Co mają robić dyrektorzy szkół, nauczyciele?

Bez wątpienia obowiązuje zabezpieczenie Trybunału. Na stronie MEN pojawiła się lakoniczna notka, nawet niepodpisana przez panią minister, mówiąca o tym, że nie ma ono skutków prawnych. Otóż ma. Takie są przepisy prawa w Polsce. TK zablokował wprowadzenie w życie tego rozporządzenia i to jest fakt. Dyrektorzy szkół, którzy nie przyjmą do wiadomości tego zabezpieczenia, działają poza granicami prawa. Muszą oni przestrzegać prawa oświatowego, zgodnie z którym lekcje religii powinny być organizowane na starych zasadach. Od 1 września nie wolno więc łączyć klas oraz oddziałów.

Rozmawiamy o zmianach, które już weszły w życie, teraz zapytam jeszcze o te planowane, czyli edukację zdrowotną z elementami edukacji seksualnej, która ma być przedmiotem obowiązkowym od roku szkolnego 2025/2026. Do tej pory WDŻ był nieobowiązkowy, to rodzice decydowali.

W tej sprawie złożyliśmy formalną petycję do MEN. Apelujemy o pozostawienie w podstawie programowej przedmiotu WDŻ, bo tam edukacja seksualna jest postrzegana w kontekście małżeństwa i rodziny, a nie w kontekście zdrowia. Apelujemy o niewprowadzanie do podstawy programowej edukacji zdrowotnej. To jest po prostu wytrych do wprowadzenia permissywnej edukacji seksualnej według standardów WHO, wielokrotnie oprotestowywanych

przez środowiska świadomych rodziców. I jeszcze kwestia dobrowolności oraz obowiązkowości. Pani minister zachowuje się bardzo sprytnie. Próbuje oswajać opinię publiczną z pewnymi propozycjami, jakby były one już przesądzone. Raz mówi, że przedmiot będzie obowiązkowy, raz, że jest to rozważane. Oczywiście naruszeniem praw rodziców byłoby wprowadzenie tego przedmiotu jako obowiązkowego. Ponad 60 organizacji podpisało się pod petycją złożoną w MEN 21 sierpnia. Gdy formalnie

Przypis siódmy do załącznika do rozporządzenia MEN głosi, że krótkich form literackich bądź utworów we fragmentach z klas 4–6 nie będzie można przywoływać na egzaminie ósmoklasisty. To znaczy, że np. hymn Polski może stać się całkowicie zmarginalizowanym tekstem. To są antypolskie zabiegi

zaistnieje ona na stronie ministerstwa, wówczas wszyscy będą mogli się z nią zapoznać. Resort tworzy zasłonę dymną, twierdząc, że zbyt mało jest edukacji zdrowotnej w podstawach programowych. To bzdura. Wszystkie elementy edukacji zdrowotnej od lat istnieją w podstawie programowej wielu przedmiotów, od nauczania początkowego do końca kształcenia w szkołach średnich. Powstała publikacja, która znajduje się na stronie Ośrodka Rozwoju Edukacji, zawierająca wyciąg, gdzie na kilkudziesięciu stronach widnieje wyciąg z wszystkich przedmiotów z konkretnymi punktami podstaw programowych, które zawierają elementy edukacji zdrowotnej. Te elementy są rozsiiane

celowo. To tzw. metoda edukacji okazjonalnej, czyli stykania się z pewnymi treściami przy różnych okazjach, w różnych kontekstach i na różnych przedmiotach po to, by je utrwalić i zobaczyć różne oblicza tematu. To pozwala lepiej wchłonąć tę wiedzę. Czy MEN planuje wycofać wszystkie te treści z tych przedmiotów, by zastąpić je jednym? Z jednej strony uszczupla się podstawy programowe o 20 proc., a z drugiej wprowadza się dwa nowe przedmioty, czyli edukację zdrowotną i edukację obywatelską, także planowaną od roku szkolnego 2025/2026. Zlikwidowany będzie przedmiot historia i te różnice, ograniczona będzie także wiedza o społeczeństwie – znakomity przedmiot funkcjonujący od lat, z bardzo dobrą podstawą programową. Te ruchy są wykonywane pod dyktando UE i Europejskiej Agencji do Spraw Specjalnych Potrzeb i Edukacji Włączającej, która jest agendą europejskiego obszaru edukacji. Tak kropelkowo wprowadza się zmiany, które tworzą nową jakość.

Dlaczego?

Celem jest wychowanie młodego „unijczyka”, czyli budowanie nowej tożsamości europejskiej według obcych nam wartości. Stworzenie sformatowanego młodego człowieka, całkowicie mobilnego, wynarodowionego, łatwo sterowalnego, będącego tanią siłą roboczą. O tym mówi się wprost w unijnych dokumentach. Wszystkie zmiany w edukacji są podporządkowane realizacji tego planu, z którym się głęboko nie zgadzamy. Zresztą europejski obszar edukacji od lat 90. wcieka w polski system, głównie przez erasmusy, także te dla nauczycieli, oraz poprzez eTwinning. Idą na to gigantyczne fundusze. Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji, mało znana powszechnie, od 1993 r. operuje miliardami po to, żeby polski system zmienić na ogólnoeuropejski. Przykładem może być choćby budżet programu Erasmus z 2022 r., który wyniósł 195 655 823 euro. W to jest wliczony eTwinning, gdzie poza podstawą programową realizuje się

w szkołach program teoretycznie integrujący uczniów z różnych klas i krajów. Pod pozorem nauczania języków obcych i integracji zmienia się myślenie młodzieży i kształtuje inne wartości.

Czy jest jeszcze szansa, by zablokować to szeroko zakrojone powstawanie europejskiego obszaru edukacyjnego?

Oczywiście, że tak. Przede wszystkim powinniśmy informować o tym, że taki proces się toczy i sprzeciwić wielu punktom, które na naszych oczach są zmieniane w systemie oświaty. Jednym z nich jest kwestia inkluzji, edukacji włączającej, o czym już wspomniałam. To jest forpoczta tego projektu. W Polsce przedstawiano to pod szyldem edukacji integracyjnej, później włączającej. Jako ilustrację inkluzji pokazuje się dziecko na wózku inwalidzkim, ale tak naprawdę chodzi o coś zupełnie innego. Dzieci z niepełnosprawnością ruchową od zawsze były w polskim systemie oświaty, ale w tej chwili inkluzja rozsadza szkolnictwo. Prawo wprowadzone w poprzednich latach umożliwia rodzicowi dziecka z każdym rodzajem dysfunkcji, łącznie z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu głębokim, jak również dziecka z nieprzystosowaniem społecznym, posłanie takiego ucznia do szkoły rejonowej bez ograniczeń. Nie trzeba nawet informować szkoły o specjalnym orzeczeniu. Kiedyś tymi dziećmi opiekowali się specjaliści, fachowcy w placówkach specjalnych. Teraz ma wystarczyć nauczyciel wspomagający. Sytuacja wygląda tak, że przykładowy nauczyciel chemii w klasach wyższych szkoły podstawowej musi sobie poradzić z dzieckiem, które zatrzymało się w rozwoju na poziomie np. sześciolatka, bo tak wygląda niepełnosprawność intelektualna w stopniu znacznym. Takie rzeczy dzieją się w polskich szkołach. To rozsadziło system edukacji w USA czy w Australii. Mogę przywołać przykład z ub.r., kiedy nauczyciele

przedmiotowi w Szwajcarii protestowali, ponieważ nie nadążali ze zmianą pampersów uczniom z niepełnosprawnościami intelektualnymi, którzy zostali włączeni do ich klas. Jeżeli nie chcemy dopuścić do takiej skrajności, informujmy o tym, czym jest inkluzja. W ostatnich dwóch latach udało się to odrobinę zahamować, m.in. dzięki determinacji Ruchu Ochrony Szkoły, który organizował konferencje i apelował do ministerstwa. I faktycznie, edukacja włączająca, realizowana rękoma wiceminister Marzeny Machalek, została w jakiś sposób powstrzymana, m.in. dzięki prof. Przemysławowi Czarnkowi. Wówczas wreszcie wybrzmiało, że to szkoły specjalne są najlepszymi

Dyrektorzy szkół, którzy nie przyjmą do wiadomości zabezpieczenia Trybunału Konstytucyjnego, działają poza granicami prawa. Muszą oni przestrzegać prawa oświatowego, zgodnie z którym lekcje religii powinny być organizowane na starych zasadach

placówkami włączającymi uczniów z niepełnosprawnościami, z ciężkimi dysfunkcjami. A te placówki były zagrożone likwidacją.

Dlaczego mówi pani o nim w kontekście europejskiego obszaru edukacji?

Bo to był perfidny plan, zresztą powszechnie realizowany na Zachodzie, by za chwilę w ramach inkluzji wprowadzić do szkół niekontrolowaną rzeszę migrantów. W przypadku Polski doszło do napływu do szkół uczniów z Ukrainy, którymi nikt nie opiekował się w należyty sposób, jeśli

chodzi o nauczanie języka polskiego. Fala uczniów napływa do klas, powiększone zostały limity uczniów do 29, każda klasa może przyjąć pięciu uczniów z Ukrainy nieznających języka polskiego. W jakim języku nauczyciele mają ich nauczać? Zostali oni pozostawieni sami z tym problemem. Kwestia uczniów różnych nacji w polskich szkołach jest bardzo promowana w projekcie UNICEF edukacji dostępnej dla wszystkich, skorelowanym z projektem UE. Idą na to wielkie pieniądze, wszystko brzmi pięknie, ale efektem jest rozsadzanie polskiej szkoły. Przy tej okazji następuje niekontrolowany napływ kadr niepedagogicznych do polskich szkół, teraz asystentów międzykulturowych. A nauczyciele przedmiotowi są bezradni. I tak szkoły stopniowo zmieniają swoją formułę i z placówek oświatowych zamieniają się w świetlice opiekuńczo-terapeutyczne. Ten proces zachodził na świecie przez ostatnie ponad 20 lat i zaowocował tym, że rozwinęło się tam bardzo drogie szkolnictwo prywatne, elitarne. Nastąpiła ucieczka ze szkół ogólnodostępnych, które są traktowane jak szkoły dla plebsu. Jednak my w Polsce nie wygenerujemy takiego systemu drogich szkół, więc kuźnia elit będzie poza naszym krajem i to ta niepolska elita będzie zarządzać słabo wykształconą polską młodzieżą, która opuści nasze szkoły.

Z tego, co pani mówi, wynika, że działanie minister edukacji nie jest chaotyczne i pozbawione sensu, tylko nakierowane na konkretny cel.

Dementuję społeczne przeświadczenie, że minister edukacji jest osobą niekompetentną, że nie wie, co robi. To nieprawda. Pani minister realizuje misterny plan dekompozycji polskiej oświaty poprzez generowanie chaosu, tworzenie punktów zapalnych w takiej liczbie, że zaczynamy się w tym gubić. A główny cel jest osiąganie krok po kroku i jest nim pozbawianie suwerenności oświaty w Polsce i w efekcie narodowej tożsamości.

Dziurawe sieci Kosiniaka-Kamysza



STANISŁAW JANECKI

Polskie Stronnictwo Ludowe przedstawia się jako partia zabierająca setki tysięcy wyborców Prawu i Sprawiedliwości. Opowiadać bajki każdy może

Uczestnicy koalicji 13 grudnia mogli zdobyć parlamentarną większość i stworzyć rząd pod wodzą Donalda Tuska tylko dlatego, że Polskie Stronnictwo Ludowe pozyskało część wyborców Prawa i Sprawiedliwości. A pozyskało z tego powodu, że swoim konserwatyzmem stworzyło im wybór. Bez tych zabranych PiS wyborców obecna sejmowa większość nie byłaby możliwa, w skrócie – PiS pozostałby przy władzy. Takie koncepcje snuje jeden z najbardziej gorliwych apologetów i popularyzatorów PSL, mimo że całkiem świeżej daty. Ale ich autor Michał Kamiński to polityk wędrowny, czyli przylatujący i odlatujący, ale nie do ciepłych krajów, lecz do kolejnych partii. A skoro tym razem uwił gniazdo w mateczniku ugrupowania Władysława Kosiniaka-Kamysza, stara się być bardziej peeselowski niż starzy działacze tej partii. Dlatego przypisuje jej nadnaturalne moce i zasługi nawet w sprawach, w których nie istnieją.

Ale sny o potęgze Kamińskiego są podchwytywane przez liderów PSL, np. Władysława Kosiniaka-Kamysza, Marka Sawickiego czy Piotra Zgorzelskiego, gdyż mogą służyć jako ważny argument w przepychankach i wojenkach z koalicjantami oraz samym Donaldem Tuskiem. Z tych snów wyłania się bowiem obraz Polskiego Stronnictwa Ludowego jako partii kluczowej dla koalicji 13 grudnia. W dodatku takiej, która, przynajmniej w wyobrażeniach sporej już grupy ważnych polityków PSL, jest w stanie systematycznie osłabiać PiS, doprowadzać to ugrupowanie do ruiny, a jednocześnie przejmować część jego wyborców. A skoro PSL ma wielką moc, to takie wydarzenia, jak głosowanie przez jego posłów przeciw dekryminalizacji aborcji czy sprzeciw wobec rozwiązań projektu ustawy o związkach partnerskich, mają głęboki sens. W ten sposób bowiem PSL robi dobrą robotę dla koalicji i w żaden sposób nie zasługuje na potępienie, np. przez posłów Nowej Lewicy czy radykalne organizacje kobiece, jak Ogólnopolski Strajk Kobiet.

Opowieści o podbieraniu wyborców głosujących wcześniej na PiS, i to nawet kilku setek tysięcy z nich, mają tę wadę, że na ich potwierdzenie nie ma żadnych dowodów. To propagandowa konstrukcja PSL, z jednej strony mająca pokazać wielki

potencjał tej partii, co powinno się przekładać na większe wpływy w rządzie i więcej ważnych stanowisk do obsadzenia, a z drugiej – chroniąca partię Władysława Kosiniaka-Kamysza przed atakami partnerów z koalicji 13 grudnia i urządzania się w państwie kosztem ludowej partii.

ZYSKI MNIEMANE

Politycy PSL całkiem otwarcie sugerują, że w strategii tego ugrupowania wobec PiS i dla dobra koalicji 13 grudnia nic nie jest przypadkiem czy tylko skutkiem wykorzystania nadarzających się okazji. Oni to wszystko zaplanowali i konsekwentnie realizują program odbierania Prawu i Sprawiedliwości wyborców poprzez przedstawianie im lepszej oferty, w dodatku możliwej do zrealizowania, skoro PSL współrządzi, a PiS jest w opozycji. I tę swego rodzaju dywersję robią tak łagodnymi środkami, że część wyborców Prawa i Sprawiedliwości nawet się nie orientuje, że są elementami jakiegoś planu, więc sądzą, że sami dokonują najbardziej racjonalnych wyborów, czyli w tym przypadku przerzucania głosów z PiS na PSL. A ci, którzy są w pełni świadomi, mogą trwale zmienić swoje wyborcze preferencje, skoro PSL jest tak konsekwentnie konserwatywne i bohaterstwo walczy z atakami koalicjantów na ten swój konserwatyzm. Po prostu ludowcy są alternatywą dla PiS, w dodatku taką, której nie można zarzucić skrajności, nieodpowiedzialności, a tym bardziej koniunkturalizmu.

W czasach wzmożonej polaryzacji i zaostrzającej się wojny wydanej Prawu i Sprawiedliwości przez Platformę Obywatelską partia Kosiniaka-Kamysza chce być oazą spokoju, także w agresywnie nastawionej koalicji 13 grudnia. Dlatego ma moc przyciągania i zmieniania wyborczych preferencji.



Ta wizja wygląda jak bajka z pouczającym morałem, ale niestety (dla Polskiego Stronnictwa Ludowego) pozostaje tylko bajką.

Fakty są takie, że PSL zdobyło w wyborach w 2019 r. 1,58 mln głosów, zaś Trzecia Droga (współtworzona przez PSL i Polskę 2050) w wy-

borach w 2023 r. – 3,11 mln głosów. I w tych liczbach nie widać żadnych większych przepływów wyborców z PiS do PSL. Partia Kosiniaka-Kamysza praktycznie dostała tyle samo głosów co cztery lata wcześniej. Z kolei Polska 2050 startowała w wyborach po raz pierwszy i jako nowość miała wtedy swój szczyt poparcia w sondażach, a później w głosowaniu. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, gdyż podobnie się działo z poprzednimi debiutującymi partiami: Ruchem Palikota, Kukiz'15 czy Nowoczesną.

Fikcyjny jest także obraz PSL jako partii rozumnego środka, bowiem właściwie przez cały okres funkcjonowania w III RP Polskie Stronnictwo Ludowe było zlepką poglądów i idei: od mocno lewicowych i feministycznych po konserwatywne i narodowe ze szczególnym akcentem na wartości chrześcijańskie. Nawet obecnie znane posłanki PSL (Agnieszka Kłopotek, Urszula Pasławska, Magdalena Sroka, Jolanta Zięba-Gzik) głosują w sprawie aborcji tak jak lewica, a jednocześnie Marek Sawicki otwarcie nazywa aborcję zabijaniem i zapewnia, że nigdy nie przyłoży ręki do jej prawnego usankcjonowania. Z kolei prawie w tym samym czasie Władysław Kosiniak-Kamysz jako minister obrony narodowej przedstawia projekt ustawy o wychowaniu patriotycznym.

I zapewnia, że ma to być „zbiór rozwiązań zapobiegający jakiegokolwiek rewolucji – czy to lewackiej, czy prawackiej”, gdyż „jedna i druga szkodzi Polsce. [...] W Polsce jest miejsce dla naszych bohaterów – i dla Witosa, i Piłsudskiego, dla Dmowskiego i Daszyńskiego, Paderewskiego i Korfanteo”. A ustawa o wychowaniu patriotycznym „to będzie konstytucja na lata i pokolenia dla polskich dzieci i polskiej szkoły”. Czyli mamy powtórkę z przeszłości, gdy PSL kluczyło między lewactwem a konserwą, a zdarzało się to jeszcze w czasach PRL, gdy istniało w dużej mierze zwasalizowane przez komunistów Zjednoczone Stronnictwo Ludowe.

ILUZJA I FANTASMAGORIE

Propagandowa iluzja mocy pozyskiwania i odbierania wyborców kolportowana przez polityków PSL ma demotywować wyborców PiS i albo skłonić ich do głosowania na ludowców, albo do pozostania w domach. Tyle tylko, że wśród wyborców Prawa i Sprawiedliwości Polskie Stronnictwo Ludowe nie jest postrzegane jako alternatywa dla partii, na którą dotychczas głosowali. Wielu z nich uważa ugrupowanie Kosiniaka-Kamysza za element układu ciągnącego się jeszcze od czasów istnienia Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, bo to ono było prawdziwym poprzednikiem PSL, a nie Polskie Stronnictwo Ludowe Stanisława Mikołajczyka.

W III RP PSL jest najdłużej współpracującą partią w Polsce, czyli najbardziej establishmentową: w konfiguracji z Sojuszem Lewicy Demokratycznej, Platformą Obywatelską, a obecnie z Koalicją Obywatelską i Nową Lewicą. Sieci zarzucone przez partię Kosiniaka-Kamysza na wyborców i zwolenników ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego są albo bardzo dziurawe, albo po prostu nie istnieją. Wiele wskazuje na to, że stanowią fikcję stworzoną po to, by realnie pomóc samej partii. A dodatkowo to wszystko ma dowodzić, że nie ma żadnych szans na wyjście PSL z koalicji 13 grudnia i stworzenia czegoś razem z PiS (ewentualnie jeszcze z Konfederacją). Jaki to zresztą miałoby sens, skoro PSL jest w stanie przechwytywać setki tysięcy wyborców PiS, a samą tę partię rujnować, w czym ma pomóc ściśle polityczna decyzja o odebraniu PiS dotacji wyborczej i mocne dążenie do całkowitego pozbawienia jej subwencji?

Problemem jest to, że partia Kosiniaka-Kamysza absolutnie nie jest w stanie robić tego wszystkiego, o czym zapewnia i co ma się już dziać. Mimo wielkich wysiłków propagandowych i promocyjnych PSL jest po konserwatywnej stronie polskiej sceny politycznej postrzegane jako łże-prawica. A wiele jej gestów ma wynikać wyłącznie ze strachu przed utratą poparcia wiejskiego, konserwatywnego elektoratu. Tyle tylko, że partnerzy z koalicji 13 grudnia przekonują polityków PSL, że młodzi mieszkańcy wsi są tak samo, a może nawet bardziej wyprani z konserwatywnych wartości jak wielkomiejska młodzież, więc PSL strzela kulą w płot i podtrzymuje fikcję. Tego typu strategia ma sprawić, żeby ludowcy nie mieli nawet cienia szans na zmianę koalicyjnych układów, skoro realnie nie mają żadnego wyboru poza umacnianiem koalicji 13 grudnia. A w takiej sytuacji partia Kosiniaka-Kamysza jeszcze bardziej potrzebuje mitów i snów o potęgze, nawet gdy są tylko fantasmagoriami.

To, co rząd robi w sprawie aborcji, jest barbarzyństwem

Wytyczne resortu zdrowia ewidentnie powstały pod mocną presją lobby proaborcyjnego. Pamiętajmy, że te zabiegi są w dużej mierze dosyć zyskowe dla tych, którzy dokonują aborcji, a także dla biznesu wielkiej farmacji

Z Markiem Grabowskim,
socjologiem i prezesem Fundacji Mamy i Taty,
rozmawia Goran Andrijanić



Po wytycznych Ministerstwa Zdrowia w sprawie procedury aborcji będzie ją można w praktyce wykonywać na życzenie. Jak pan to komentuje?

Marek Grabowski: W tym momencie funkcjonujemy w systemie bezprawia. Z jednej strony aborcja jest zakazana, a z drugiej wystarczy papier od jednego psychologa czy w za-

sadzie dowolnego lekarza, który może zdecydować o uśmierceniu dziecka. To jest kompletnie nieregulowana sytuacja.

Wiemy, że w systemie zdrowotnym działają różne receptomaty, co znaczy, że podczas zdalnej wizyty będzie można podjąć decyzję o aborcji. Jest to ogromnie niepokojące. Jak i to, że w wytycznych mówi się o tym, że nie ma obowiązku zwoływania konsylium do drugiej opinii lekarza. Prof. Andrzej Zoll zwrócił uwagę, że lekarz, który ma dokonać aborcji i posiada jakąś wiedzę, może stwierdzić, że nie jest to dobre rozwiązanie. A mimo to i lekarz, i szpital będą ukarani, jeśli odmówią aborcji.

Te wytyczne ewidentnie powstały pod mocną presją lobby proaborcyjnego. Pamiętajmy, że te zabiegi są w dużej mierze dosyć zyskowe dla tych, którzy aborcji dokonują, a także dla biznesu wielkiej farmacji.

Dlaczego Donald Tusk to robi? Badania pokazują, że aborcja nie jest priorytetem dla wyborców.

Myślę, że to po prostu próba przyjęcia elektoratu partii lewicowych przez Donalda Tuska, którego celem jest polityczne uśmiercenie lewicy. Całe to odium „korzyści” politycznych związanych z aborcją spłynie teraz na premiera, a nie na Waldemara Czarzastego. Myślę, że właśnie to jest głównym powodem. Bardzo nadmuchany balonik obietnic przedwyborczych i skierowanie się do młodych ludzi z ofertą proaborcyjną powoduje, że Tusk być może czuje się zobligowany, aby ciągle podnosić kwestię aborcji. Jak widzimy, obecny rząd nie ma żadnych sukcesów i władza musi coś zaoferować wyborcom.

Premier jednak dużo ryzykuje. Przede wszystkim dalsze napięcia w koalicji, a także w opinii publicznej.

To prawda. Tym bardziej że dużo wskazuje na to, iż za jakiś czas pojawią się problemy z realizacją tych rozporządzeń. Mogą się pojawiać przypadki śmiertelne wśród kobiet dokonujących późnej aborcji i może się okazać, że jest bardzo dużo różnych nieprawidłowości w związku z całą procedurą. Za jakiś czas to się może odbić czkawką, zwłaszcza że tutaj aborcja jest w zasadzie niczym nieregulowana.

W oparciu o ministerialne rozporządzenia można wywnioskować, że aborcja może być dokonana do ostatniego dnia ciąży.

To barbarzyństwo. Trudno znaleźć inne słowa. Jeżeli zabijamy ośmiomiesięczne dziecko, nie ma na to innej kwalifikacji moralnej.

Jak w Polsce doszliśmy do tej sytuacji? Niektórzy twierdzą, że proaborcyjny radykalizm Tuska jest spowodowany decyzją Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r., kiedy zakazana została aborcja eugeniczna. Mnie się wydaje, że to nieprawda, bo ideologia proaborcyjna i tak zaatakowałaby Polskę.

Jestem tego samego zdania. Uważam, że wyjaśnianie wszystkiego efektem wahadła jest mocno przesadzone. Przecież sama Lewica mówiła, że dla niej nie ma żadnego kompromisu aborcyjnego i ona się na niego nie zgadza. Oczywiście orzeczenie TK mogło trochę przyspieszyć pewne procesy. Wydaje mi się, że w Polsce mamy do czynienia z bardzo dużym postępem ateizacji i laicyzacji. Duchowa pustka i brak więzi rodzinnych powodują, że pojawia się bardzo dużo projektów antynatalistycznych. Ja bym wpisywał kwestię aborcji właśnie w ten szeroki nurt antynatalistyczny, który dąży do tego, żeby rodziło się jak najmniej ludzi i aby dochodziło do depopulacji. Chodzi o całą tę ideologię, według której matka Ziemia cierpi, kiedy ludzie ją depczą, więc im będzie ich mniej, tym lepiej. To ideologia, która przestrzega człowieka jako szkodnika i tak się go definiuje w środowiskach ekologicznych oraz antynatalistycznych. Trzeba go anihilować, a najprostszymi metodami są aborcja i eutanazja. Ofensywa dyskursu eutanazyjnego jeszcze jest przed nami.

Jak zareagować na to wszystko?

Wydaje mi się, że musimy wrócić do pewnej pracy u podstaw. Do wskazania piękna życia rodzinnego i pokazywania dróg do tego, jak je osiągać. W ostatnich latach w Fundacji Mamy i Taty prowadziliśmy wiele rozmaitych kursów szkoleń dla rodziców i małżonków, były one bardzo pozytywnie przyjmowane. Mogły się odbywać m.in. dzięki temu, że udawało nam się wygrywać konkursy ze środków publicznych. Była to właśnie realizacja polityki państwa nakreślonej w art. 18 Konstytucji RP mówiącej o tym, że małżeństwo, rodzina i rodzicielstwo są podstawowymi wartościami dla kraju. Uważam, że odejście od myślenia o rodzinie jako o głównym czynniku budującym naród i państwo przynosi katastrofalne skutki. Jeżeli nie będziemy doceniać swoich rodzin, to dlaczego mielibyśmy kochać dzieci? Pani poseł Nowej Lewicy Anna Maria Żukowska bez ogródek pisze w mediach społecznościowych, że jeżeli dziecko przeżyje aborcję, w zasadzie powinno się je zostawić na pewną

śmierć, czyli bez pomocy, aż przestanie oddychać. Dla mnie to też jest przejaw barbarzyństwa.

Czy możliwy jest wniosek do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie tych rozporządzeń?

Na pewno będzie. Tyle że teraz mamy taki problem, że jedni TK uznają, a drudzy nie. Żyjemy w tej filozofii, którą kiedyś wyraził Donald Tusk słowami „prawo, jak my je rozumiemy”. W efekcie o tym, co jest prawem, a co nie, decyduje ten, kto jest silny. Jest to bardzo niebezpieczna sytuacja dla całego kraju. Opinia publiczna trwa w takim napędzie powyborczym i jej duża część tego nie czuje, ale to może się bardzo negatywnie odbić na każdym obywatelu. Nie jestem prawnikiem i nie mogę tutaj wskazać prostej drogi. Wydaje mi się, że rozporządzenie, które jasno stoi w sprzeczności z ustawą i z konstytucją, jest po prostu nieważne, ale to moja opinia.

Po drugie, uważam, że w Polsce niestety od lat nie słychać mocnego głosu Kościoła w tej kwestii. Wygląda to tak, jakby Kościół dał się zamknąć we własnej klatce rozmaitych oskarżeń o pedofilię, nadużyć seksualnych i spraw obyczajowych. To, że takie rzeczy się działy czy dzieją, nie zmienia faktu, że brak mocnego głosu prorodzinnego jest bardzo niepokojący.

Jak na to wszystko reagują konserwatywne organizacje pozarządowe? Mam wrażenie, że w tym momencie są w defensywie.

Niestety rzeczywiście tak jest, że aktualnie jest mało mocnych organizacji po stronie konserwatywnej. Mocnych jeśli chodzi o zasoby ka-

drowe i finansowe, bo te dwa elementy są ze sobą powiązane. Chcę jednak powiedzieć też coś, co może być kontrpunktem do tezy o kryzysie i pokazuje, że jednak następuje pewne jednoczenie sił. Niedawno brałem udział w manifestacji pod Ministerstwem Edukacji Narodowej. Było pięciu czy sześciu mówców, w tym ja, z którymi reprezentowaliśmy ponad 70 organizacji niegodzących się na zaproponowane zmiany w oświacie. Organizacje prorodzinnne, patriotyczne, weteranów i nauczycieli wypracowały wspólne stanowisko i zebrały ponad 70 tys. podpisów pod petycją, w której protestują przeciwko ograniczaniu wychowania patriotycznego w programie, likwidacji praktycznie wszystkich elementów związanych z chrześcijaństwem z języka polskiego i historii. Protestujemy również przeciwko redukcji programów nauczania o ponad 20 proc. oraz likwidacji prac domowych, co na pewno negatywnie odbije się na uczniach. Nie zgadzamy się też z nową organizacją lekcji religii w szkołach oraz z wprowadzeniem *de facto* obowiązkowej edukacji seksualnej.

Telewizja w Polsce24 ruszyła i się rozpędza. Fakt, że jest dziś nadawcą z ogólnopolską koncesją, świadczy o przełamaniu medialnego monopolu. To bardzo boli tych, którzy ciągle żyją w przekonaniu, że „ma być tak, jak było”. Nie będzie!



MACIEJ WALASZCZYK

Sukces już od pierwszego dnia daje nadzieję i zapowiada ciężką pracę na wiele lat. I zapewne niejedne kłopoty, bo jest co poprawiać i uzupełniać. Telewizja na żywo to ciężki kawałek chleba, nieustanna walka z czasem, wymagająca reakcji, profesjonalizmu i nakładów. A drapieżna konkurencja już dała wyraz swojemu niezadowoleniu z faktu



Złamany



pojawienia się stacji wPolsce24 na ósmym multipleksie. Ale widzowie – co najważniejsze – powitali ją z życzliwością, a nawet ulgą. To jednak przede wszystkim dowód na przełamanie monopolu ukształtowanego w czasach III RP na rynku mediów.

POWRÓT „WIADOMOŚCI”

Pierwsze wydanie wieczornego serwisu, a więc odrodzonych „Wiadomości”, które porzuciła neo-TVP, obejrzało 142,4 tys. widzów. Podobnie wywiad z prezesem PiS Jarosławem Kaczyńskim, który pierwszego dnia gościł na antenie w rozmowie na żywo po „Wiadomościach wPolsce24” (taka jest pełna nazwa tego programu). Teraz przed jej twórcami moźna i długa praca na bardzo trudnym rynku.

Często sięgam do historycznych analogii, ale bez nich trudno zrozumieć sprawę



JĄ NA MIGRANTÓW. CZERWIŃSKA: BEZCZELNOŚĆ

monopol

współczesne. Od 1989 r. Polska budowała wolny rynek. Mając dobre pomysły i chęci, można było zakładać firmy, działać w różnych branżach i próbować swych sił, często w warunkach ostrej konkurencji, ale też wolności. Takie realia nie obowiązywały jednak na każdym polu, bo budując rynek mediów elektronicznych, a także prasy codziennej, okrągłostołowy układ od samego początku utrzymywał w nim pakiet kontrolny. W praktyce zagwarantował on sobie totalną dominację, wspierany również przez inwestorów z zagranicy, głównie z Niemiec. Świadczy o tym historia ogólnopolskich koncesji przyznawanych w latach 90. stacjom radiowym i telewizyjnym, które w korzystnych dla siebie warunkach ugruntowały potem swą pozycję, która do dziś jest praktycznie nienaruszalna. Istniejące tylko pozory pluralizmu informacyjnego maskowały faktyczny monopol

opinii jednej opcji. Ten stan został zakwestionowany dopiero w 2016 r. Szkoda, że nie w sposób trwały, ale koniec końców właśnie m.in. ogólnopolska koncesja dla wPolsce24 pozostaje dowodem na to, że powrotu do tego, co było, na razie nie ma. Choć reżim Tuska bardzo się o to stara.

Koleżanki i koledzy z wPolsce24 już w dniu swojego debiutu dali silny sygnał, że istnieją, a ich praca została przeanalizowana i skomentowana. Agnieszka Kublik z „Gazety Wyborczej” nie dość, że zdecydowała się poświęcić cały dzień na jej oglądanie, to, jak sama przyznała, jeszcze się dowiedziała, że za rządów Tuska skończyła się w Polsce demokracja. Jej tekst to zresztą potwierdza, kipiąc ciągłą pretensją o to, że ktokolwiek ma prawo mieć inne zdanie, próbować robić własną telewizję i mówić w niej co innego niż w TVN24 czy neo-TVP. Dokładnie we-



dług takiej filozofii budowano pozorny pluralizm opinii na rynku mediów III RP.

„Najsłabsze pomysły z TVP Kurskiego”? A jednak zadziałały. Debiut stacji miał bardzo dobrą oglądalność, co świadczy o tym, że w Polsce jest zapotrzebowanie na zupełnie inny przekaz, mówienie o rzeczach, o których medialny establishment milczy albo zgodnym chórem wspiera rządzących. A jest on tak silny i wpływowy, że widz, przywykły już przez osiem lat do pewnej medialnej i informacyjnej równowagi, poza nim szuka własnego głosu, prawdziwych informacji, znanych twarzy, które polubił i którym ufa. Zresztą Onet ciekawie zauważył, że w telewizji wPolsce24 „poszli o krok dalej” niż w konkurencyjnej stacji Republika, zapraszając do współpracy szerokie grono dziennikarzy jeszcze kilka miesięcy temu pracujących w TVP. To przecież poza Magdaleną Ogórek i Michałem Adamczykiem także Marta Kielczyk, Marcin Tulicki, Magdalena Gałka, Marta Piasecka, Bartłomiej Łyżwiński, Magdalena Wierchowaska, Rafał Porzeziński, Jacek Łęski i Małgorzata Opczowska oraz wielkie grono wydawców, researcherów, realizatorów, kierowników produkcji, montażyistów, których „nowa demokratyczna władza” potraktowała naprawdę brutalnie, wyrzucając z pracy. O ile pamiętam, wielu z nich w ogóle nie miała nic wspólnego z żadną „prawicą”, z PiS tym bardziej.

DEBIUT POD LUPĄ

Swoją drogą ciekawe, z jaką łatwością słyszącemu – jak wiemy – z „wyważonych” i „obiektywnych” opinii, stonowanych tytułów i belek Onetowi przychodzi klarowanie swoim czytelnikom, co mają myśleć o reanimowanych w nowym miejscu „Wiadomościach”, swego czasu



największym przecież serwisie informacyjnym w Polsce. Jak chce autor, prowadzącym „kampanię strachu i nienawiści”, pełnym „negatywnych emocji”, „krzykliwych i wskazujących kolejnych wrogów” pasków z „silnie polaryzującym przekazem”. Niemiecki portal nie omieszczał również zwrócić uwagi na to, że „zwieńczeniem wieczoru okazały się, a jakże, ataki na Niemców”, choć niewdzięcznicy biorą przecież reklamy od niemieckich marek. Ten komentarz jest kapitalny i przebija nawet uroki rzucane przez reaktor Kublik. Spostrzeżenie Arystotelesa, że niewolnik to taki człowiek, który swój rozum i wolę ma poza sobą, jest, jak widać, aktualne. Nowy kanał istnieje i nadaje właśnie dlatego, by polski widz nie był zmuszony przebiegać między niczym nieróżniącymi się przekaznikami i dawać do myślenia.

Co ciekawe, w nieco innym tonie na temat „Wiadomości” napisał Michał Tomasiak z „Polityki”, którego premiera tego programu zaskoczyła „brakiem topornej propagandy”. Podobnie serwis medialny „Press”, który, odnotowując ich pierwszą emisję, przyznał, że choć przypominały, także wizualnie, te dawne, były jednak od nich łagodniejsze. Jan Pawlicki zarzucił im

Debiut stacji miał bardzo dobrą oglądalność, co świadczy o tym, że w Polsce jest zapotrzebowanie na zupełnie inny przekaz, mówienie o rzeczach, o których medialny establishment milczy

nadmiar publicystki, która zdominowała przekaz newsowy, ale przyznał, że prowadzący Michał Adamczyk wrócił do widzów z radością i głodem pokazywania się, a materiały utrzymały niezły poziom techniczny. To miła ocena, tym bardziej że w poniedziałek 2 września, w dniu startu stacji, na własne oczy widziałem, jak skromny newsroom znajdował się jeszcze w powijakach, a zespół naprawdę doświadczonych ludzi, ale w zupełnie nowych realiach, stawiał w nim swoje pierwsze niepewne kroki. Redaktor Kublik bardzo czujnie, niczym

we wzorcowym raporcie, sporządziła nie tylko listę językowych i emisyjnych wpadek, które przytrafiły się tego dnia, lecz także wykaz reklamodawców. Załączyła do niego też skrupulatnie odnotowany fakt, że emisję „Wiadomości” poprzedziło „aż” sześć minut reklam.

Swoją recenzję w gazecie.pl zamieściła też Katarzyna Rochowicz, która zwróciła uwagę, że wPolsce24 jest konkurencją dla Republiki. Bo i istamtąd również dotarł komentarz świadczący o tym, że jej istnienie musiało zostać dostrzeżone. „Życzymy każdemu, kto próbuje, nawet jeżeli ma niedużą szansę sukcesu” – powiedział Tomasz Sa-

kiewicz, sugerując, że dla niego konkurencją jest w tej chwili TVN24, a wyzwaniem zdobycie pozycji największej stacji informacyjnej w kraju. Niech próbuje – można powiedzieć.

Na debiut w zupełnie innym tonie zareagował Jarosław Kaczyński „To jest bardzo dobry dzień dla obozu patriotów. I gratuluję!” – przyznał z optymizmem. Prezes PiS zwrócił uwagę, że grupa widzów osieroconych przez TVP jest bardzo zróżnicowana, bo tworzą ją osoby o różnej wrażliwości, różnego rodzaju poziomach odbioru, różnych poziomach intelektualnych, co, jak zauważył, „też trzeba brać pod uwagę”. Dokładnie tak! Przecież nikt nie ma monopolu na przekaz, także na prawicy. Konserwatywna wizja świata i wolności zakłada pluralizm punktów widzenia. Choć w warunkach totalnej wojny na informacje i polaryzacji utrzymanie takiego kursu to duże wyzwanie. Telewizja wPolsce24 jest przecież również głosem wielkiej rzeszy tych Polaków, których pozbawiono telewizji mówiącej w ich imieniu.



Nic się nie stało, Germanie nic się nie stało

Ponad 70 proc. Niemców uważa, że rozliczyli się oni z Polską za zbrodnie popełnione w czasie II wojny światowej. Ta ignorancja ma swą wartość – ponad 6 bln zł

Zlecony przez berliński oddział Instytutu Pileckiego sondaż wśród Niemców potwierdza ich nikłą wiedzę o II wojnie światowej, o postawie ich nacji w tamtych czasach i o tym, kim byli zbrodniarze, a kim ofiary.

DZIELENIE SIĘ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ

I tak wedle 59 proc. Niemców głównymi ofiarami Holokaustu byli Żydzi mieszkający w ich kraju. „Tylko 28 proc. wskazało polskich Żydów jako największą grupę ofiar, a Polskę jako kraj pochodzenia większości ofiar Zagłady. W rzeczywistości liczba zamordowanych niemieckich Żydów wyniosła ok. 165 tys. (ze społeczności żydowskiej, która w Niemczech przed 1933 r. liczyła ok. 0,5 mln osób) – w porównaniu do ok. 3 mln zamordowanych polskich Żydów” – podaje Instytut. Niemcy uważają też, że to w ich kraju były najsurowsze



DARIUSZ MATUSZAK

kary za pomoc Żydom. 46 proc. twierdzi, że w III Rzeszy groziła za to kara śmierci, a ledwie 31 proc. sądzi, że tak było w okupowanej Polsce.

Niemcy tradycyjnie już „dzielą się” swoją odpowiedzialnością za zbrodnie II wojny światowej. I tak aż 57 proc. z nich uważa, że były winne Holokaustu w takim samym stopniu jak podbite przez nie narody. Inaczej mówiąc, wedle nich Polacy ponoszą taką samą odpowiedzialność jak Niemcy za Auschwitz i inne obozy, za getta, za masowe egzekucje, za zgładzonych Żydów z całej Europy. Nawet jeśli poszczególne nacje kolaborowały z Niemcami, jak choćby w części Francja, Belgia czy kraje bałtyckie, to w żadnym z tych państw machina zbrodni nie uruchomiła się samorzutnie, zawsze był to efekt niemieckiej okupacji.

Ponad trzy czwarte Niemców uważa, że ich kraj rozliczył się z Polską za zbrodnie. Częściowo – tak twierdzi 53 proc., a 25 proc., że w pełni.

Takie wyniki badań przeprowadzonych na zlecenie Instytutu Pileckiego mogą się wydawać szokujące, ale nie powinny dziwić. Niemcy od lat świadomie prowadzą politykę historyczną, której celem jest utopienie w niepamięci prawdy o własnych zbrodniach, rozpuszczenie odpowiedzialności za nie czy przerzucenie jej na ofiary, jak np. na Polskę. Chodzi nie tylko o samopoczucie, lecz także politykę *sensu stricto*, o gospodarkę. Państwo tak obciążone zbrodniczą przeszłością ma ograniczoną soft power – z taką kartoteką ciężko uchodzić za autorytet w sprawach demokracji, praworządności, wolności słowa. A jednak im się to udaje.

8 MAJA – DZIEŃ WYZWOLENIA NIEMIEC

„Brak świadomości, wiedzy o naturze własnych zbrodni nie może dziwić, bo obecne Niemcy niemal wprost dziedziczą politykę historyczną po dawnym NRD” – uważa mieszkający w Niemczech historyk prof. Bogdan Musiał.

Z sondaży przeprowadzanych przez samych Niemców wynika, że ich kraj znajdował się pod okupacją nazistów, a 8 maja 1945 r. nie był dniem klęski i kapitulacji, tylko wyzwolenia. Taka narracja pojawiła się w Niemczech Zachodnich jeszcze w latach 80. XX w. i do jej propagowania walnie przyczynił się prezydent Richard von Weizsäcker, człowiek, który 1 września 1939 r. ze swym 9. Poczdamskim Pułkiem Piechoty wkroczył do Polski. Okupantem w Niemczech był wtedy m.in. jego ojciec – Erich von Weizsäcker, wiceminister spraw zagranicznych III Rzeszy, pierwszy zastępca Ribbentropa.

W tradycji nazistowskiej okupacji Niemiec została wychowana komunistyczna działaczka z NRD Angela Merkel, toteż nie dziwią jej słowa o wyzwoleniu wygłoszone w 2019 r. w czasie obchodów rocznicy lądowania aliantów w Normandii. Alianci nieśli Niemcom wyzwolenie. Co rusz więc w nad Łabą i Renem pojawia się pomysł, aby 8 maja ustanowić święto narodowe i obchodzić jako dzień oswobodzenia spod nazistowskiej okupacji. Taką formułę tego dnia – wyzwolenia spod faszyzmu – miał dla NRD wymyślić sam Stalin. 8 maja uczcił także kanclerz Olaf Scholz, który w mediach społecznościowych pisał, że tego dnia Niemcy „zostały wyzwolone spod tyranii narodowego socjalizmu”.

Hanna Radziejowska, szefowa berlińskiego oddziału Instytutu Pileckiego przejrzała niemieckie podręczniki. Jako przykład podaje jedno z kompendiów przygotowujących do matury z historii, obejmujące lata 1815–1945. „W 335-stronicowej książce polskiej tematyce poświęcono 54 linijki tekstu, które w skrócie przedstawiają historię Polski od XVIII w. do 1939 r. 20 stron przeznaczono na historię Holokaustu, 13 na szczegółowe omówienie niemieckich grup oporu przeciwko III Rzeszy. Nic o okupacji Polski, zbrodniach na ludności cywilnej czy powstaniu warszawskim” – opisuje Radziejowska. Wśród ofiar wymienia się kolejno: Żydów, Sinti, Romów, poddanych eutanazji, homoseksualistów i jeńców wojennych. Polacy właściwie nie istnieli. Pojawiają się nagle w 1945 r. w kontekście ziem, z których wypędzono Niemców i które zajęli, co miałyby być rekompensatą za zbrodnie wojenne.

Kiedy mowa o ratowaniu Żydów, opisany jest tylko jeden przykład – niemieckiego fabrykanta Oscara Schindlera. Niemiecka historyk Beate Kosmala z berlińskiego instytutu Miejsce Pamięci Cichych Bohaterów, powołanego do badania i upamiętniania pomocy niesionej Żydom, wskazuje, że w Niemczech jest to temat właściwie nieznany. W jednym ze swych wystąpień przywołała statystyki, jakie w latach 80. sporządziła Nechama Tec, profesor socjologii z amerykańskiego Uniwersytetu Columbia, która przeżyła wojnę ukrywana przez polską katolicką rodzinę. Na podstawie wywiadów z ponad 300 Żydami ocalonymi przez Polaków profesor oceniła, że jedynie 16 proc. z nich – ludzi skrajnie ubogich – ratując Żydów, kierowało się wyłącznie motywem finansowym.

Hanna Radziejowska stwierdziła w rozmowie z PAP, że w niemieckich podręcznikach pojawia się liczba 6 mln wymordowanych Żydów, ale nie ma jakiegokolwiek wyodrębnienia naszych rodaków narodowości żydowskiej, których zginęło 3 mln. Radziejowska konstatuje, że niemiecki uczeń nie dowiaduje się o tym, że Polska straciła aż 6 mln swych obywateli. Podręczniki odnotowują zbrodnie przeciwko ludności cywilnej w okupowanej Europie na przykładzie francuskiego Oradour-sur-Glane czy czeskich Lidic. Mowa o miejscach, w których zginęło po kilkaset osób, a nie ma nawet wzmianki o spaleniu i wymordowaniu kilkuset polskich wsi, tragicznych losach Zamojszczyzny czy rzezi warszawskiej Woli, gdzie w ciągu trzech dni zgładzono 30–40 tys. osób – zwraca uwagę Radziejowska.

Pojęcie wojny totalnej (Vernichtungskrieg), a więc prowadzonej zbrodniczo także przeciwko bezbronnej ludności cywilnej, zaczyna funkcjonować dopiero, gdy mowa o 22 czerwca 1941 r., kiedy Niemcy napadły na swego największego do tego dnia sojusznika – Związek Radziecki. Z badań przeprowadzonych przez dziennik „Die Zeit” w 75. rocznicę zakończenia wojny wynika, iż 30 proc. młodych Niemców uważa, że ich dziadkowie działali w ruchu oporu, a ledwie 2 proc., że budowali zbrodniczą III Rzeszę.

W sondażu przeprowadzonym na zlecenie Instytutu Pileckiego przez Ipsos GmbH udział wzięło 2 tys. respondentów z Niemiec. Wśród nich zapewne nie było członków rządu Scholza, ale wiemy, jakie jest ich zdanie. Polakom nic się nie należy. Ewentualnie jakaś reńcina czy zapomoga dla żyjących jeszcze 100-latków. Mogą też łaskawie postawić w Berlinie jakiś dom pojednania czy czegoś takiego. Tyle miał do powiedzenia w sprawie reparacji kanclerz Niemiec w czasie swej lipcowej wizyty w Polsce. Powołany po wyborach niemiecki rząd jest emanacją niemieckiego społeczeństwa. Być może jego poszczególni członkowie mają jakąś świadomość ogromu popełnionych zbrodni przez tych, których są dziedzicami. Oficjele odbywają przecież podróże po Europie i składają rytualne pokłony i przeprosiny. Z tego jednak nie wynika nic praktycznego czy w jakikolwiek sposób pożytecznego. Ze strony Niemiec nie ma np. żadnej wstrzemięźliwości w ocenianiu Polski. Umiaru w narzucaniu swej hegemonii w Unii Europejskiej. Przeciwnie. Aż gęby mają opuchnięte od tej buty, od tego bezwstydu w pouczeniu nas, czym jest praworządność, prawa obywatelskie, demokracja. Jeśli się to udaje w stosunku do

Polski, to tylko dzięki obecnej ekipie rządzącej, dzięki takim postaciom, jak Adam Bodnar, który, odbierając od Niemców nagrodę, mówił, że powinni oni tresować Polaków jak nieoswojone zwierzątka. O poddańczej, samoupadającej postawie obecnego rządu wobec Niemiec pisaliśmy w poprzednim wydaniu tygodnika „Sieci”.

W tym najbardziej praktycznym wymiarze wyparcie win, niewiedza, ignorancja mają swą konkretną wartość – ponad 6 bln zł. Jakikolwiek rząd niemiecki, który przymierzałby się do wypłacania odszkodowań za mordy i grabieże, musi skonfrontować się z własnym społeczeństwem, które w części uważa, że same Niemcy były ofiarą, a w swej dojmującej większości uznaje, że rachunki krzywd zostały zamknięte. Nie wyrze więc ono żadnej presji na swe władze, odrzuci też moralne i polityczne imperatywy choćby częściowego zadośćuczynienia. Powtórzmy: to może szokować, ale nie powinno dziwić. Skąd ów nakaz miałby się brać u ludzi niewinnych, takich, którzy sami uznają się za ofiary. Władcy Niemiec wykonali perfekcyjną robotę. Tak jak blisko 100 lat temu zrobili z Niemców rasę panów, tak teraz udało im się wyhodować niewinne, nieświadome niczego ofiary jakichś tam nazistów czy faszystów. W tym kontekście szczególnie żenująco wygląda zachwalanie wspólnego niemiecko-polskiego podręcznika do historii.

PANIE, Z JAKIEJ PAKI REPARACJE?

Nie możemy mieć nawet do Niemców pretensji, skoro ich punkt widzenia podziela tak duża część naszych rodaków. O taką niepamięć, bezwstydną ignorancję dba choćby Onet, który należy traktować jako ekspozyturę niemieckich pralni mózgów. Ot, choćby taki fragment recenzji pierwszego wydania Wiadomości w Polsce 24: „Zwieńczeniem wieczoru okazały się, a jakże, ataki na Niemców. – Nigdy nie zapłacili za straty wojenne – grzmiał Adamczyk [prowadzący Wiadomości – przyp. red.], prezentując dokładne [6 bln 220 mld 609 mln zł], choć nie wiadomo, na jakiej podstawie stworzono wyliczenia rzekomo należnych Polsce od zachodniego sąsiada pieniędzy. A to wszystko, o ironio, również dzięki wsparciu niemieckiej sieci hipermarketów, reklamującej się na łamach kanału braci Karnowskich” – pisze Dawid Dudko, specjalista od kultury w Onecie. Może ten człowiek nawet nie wie, że II wojna światowa była. Nie da się zgadnąć, w jakich umysłowych wnękach lęgła się takie myśli. Oto za niemieckie pieniądze z sieci spożywczków telewizja wPolsce24 domaga się nie wiadomo za co, nie wiadomo na jakiej podstawie, nie wiadomo jak wyliczonych pieniędzy od Niemiec.

Jak może nas dziwić postawa Niemców, skoro nawet premier Rzeczypospolitej wmawia Polakom, że reparacje się nam nie należą, że się ich rzekliśmy, że w imię jakichś politycznych racji, budowania dobrosąsiedzkich relacji nie powinniśmy się ich domagać

Dudko przekazał tylko to, co w równie żenujący sposób wyraził na przedwyborczym wiecu w Bytomiu wówczas jeszcze tylko szef PO Donald Tusk. Jeden z uczestników imprezy powiedział, że jego rodzina we Francji dostała reparacje, a ta w Polsce nie. Na to Tusk: „Pan w ogóle z jakiej paki miałby dostać reparacje wojenne”. Taką odpowiedź mógłby usłyszeć każdy z 38 mln Polaków. Co z tego, że nie ma w Polsce rodziny, która nie złożyłaby ofiary, nie została obrabowana, nie musiała po wojnie żyć pod sowieckim i komunistycznym butem – panie, nic się panu nie należy od sprawców tych wszystkich nieszczęść.

Jak może nas dziwić postawa Niemców, skoro nawet premier Rzeczypospolitej, rząd tego kraju, wmawia Polakom, że reparacje się nie należą, że rzekliśmy się ich, że w imię jakichś politycznych racji, budowania dobrosąsiedzkich relacji nie powinniśmy się ich domagać. Niemcy to przecież nasi dobrodzieje – za junty Jaruzelskiego slali nam paczki, załatwili nam przystąpienie do Unii Europejskiej, więc czego jeszcze, Polaku, chcesz? Wiceminister nauki Maciej Gdula

to nawet ma w domu jakieś łyżeczki po Niemcach. Wiemy też, że Donald Tusk rozumie Niemców, może nawet im współczuje, bo przecież może być im przykro, jak się ciągle przypomina ich zbrodnie. W takim duchu o reparacjach mówił w lipcu, gdy Scholz wystąpił ze swą nędną propozycją zapomogi dla 100-latków. „Czy to w jakiś sposób zadośćuczyni stratom, jakie Polska poniosła w wyniku II wojny światowej? Oczywiście nie. Bardzo chcę i mam wrażenie, że pan kanclerz stoi po tej samej stronie, by rozmowa o naprawie krzywd, o upamiętnieniu i naszej współpracy militarnej, by to budowało dobre relacje między Polską a Niemcami. Szukamy z kanclerzem odpowiednich metod i słów, bo wiemy, jak wrażliwych kwestii dotykamy. Tutaj nikt nikogo nie chce ograć w tej sprawie” – stwierdził Tusk. I dalej: „Kancelarz Scholz mówi otwarcie, że w sensie formalnym i prawnym reparacje w punkcie widzenia Niemiec są zamknięte. Ma argumenty na rzecz tej tezy”. Naszych argumentów o konieczności zapłacenia reparacji Tusk jednak Niemcowi nie przedstawił.

Donald Tusk wraz z całym swym rządem mógłby stanąć pod niemiecką ambasadą i Niemcom ku pocieszeniu, by nie było im tak smutno, że mordowali, gwałcili, niszczyli i rabowali, zaśpiewać pod oknami najgłupszą kibicowską przyspiewkę:

„Nic się nie stało,
Germanie nic się nie stało.
Jesteśmy razem,
Germanie jesteśmy razem.
Jesteśmy z wami,
Germanie jesteśmy z wami”.

A man with grey hair, wearing a white long-sleeved shirt, is clapping his hands. He is looking upwards and to the right. The background is a blue wall with a white grid pattern. Large, bold, black text with a white outline is overlaid on the bottom half of the image.

Migracja, głupcze!

Björn Höcke, lider AfD w Turynii

Alternatywa dla Niemiec wygrała wybory do parlamentu w Turyngii, a w Saksonii zajęła drugie miejsce, tuż za CDU. Głosy, które zdobyła, nie były bynajmniej głosami protestu. Ludzie wybrali partię Höckego, bo popierają jej program. Było to także wyraźne wotum nieufności dla rządu Scholza, z którego najwyraźniej nie zamierza on wyciągnąć żadnych wniosków



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Wśród członków i zwolenników Alternatywy dla Niemiec (AfD) stoi pod-ekscytowany i radosny Björn Höcke, lider partii w Turyngii. Prawie wszyscy wokół niego nucą melodię piosenki „L'Amour Toujours” Gigi D'Agostino. „Dop, do, do, do” – wybrzmiewa na sali włoskiej restauracji Hopfenberg w Erfurcie. Höcke nie nuci wraz z nimi. W pewnym momencie krzyczy: „Cicho!”. Najwyraźniej dlatego, że chce usłyszeć treść komunikatu o prognozach powyborczych. A nie gdyż brzydzi się piosenką, która stała się w Niemczech symbolem rasizmu i ksenofobii, po tym jak w Zielone Świątki w klubie Pony w Kampen na wyspie Sylt grupa młodych ludzi nagrała film, na którym śpiewa: „Niemcy dla Niemców, obco-krajowcy won!” właśnie do melodii hitu z początku XXI w. W Erfurcie nikt nie śpiewa o wyrzucaniu cudzoziemców. Nie musi. I tak wszyscy wiedzą, o co chodzi.

Reakcja medialnego mainstreamu jest taka jak zwykle: oburzenie, histeria. Höckemu to odpowiada. Każdy skandal wokół kontrowersyjnego szefa AfD w Turyngii wydaje się go bowiem wzmacniać. A zaostrzenie polityki migracyjnej było jednym z głównych postulatów jego partii podczas wyborów 1 września do parlamentów krajowych Turyngii oraz Saksonii. „Deportować!” – krzyczą zebrani w restauracji Hopfenberg, gdy na roztawionych ekrana-

nach pojawia się wynik partii należących do koalicji rządzącej w Berlinie. A nie jest on dobry.

HISTORYCZNY SUKCES

Tymczasem AfD uzyskała najwyższe poparcie dla („skrajnie”) prawicowej partii w wyborach landowych w historii Republiki Federalnej Niemiec. Dokładnie 32, 8 proc. „Historyczny sukces” – podkreśla Höcke i mówi o „przeciwnie skutecznym nagonce” na AfD, która jest jego zdaniem „partią ludową numer jeden”, może nawet ostatnią prawdziwą, w każdym razie na wschodzie Niemiec. Może się to wydawać przesadzone, jednak gdy powstawała AfD, mało kto zakładał, że w ciągu dekady stanie się ona najsilniejszą partią w jednym z krajów związkowych. Zieloni potrzebowali na to 36 lat.

Tuż za nią na drugim miejscu wyładowała chadecja (CDU) z 23,6 proc. głosów. Kolejnym jest antyimigracyjny Sojusz Sahry Wagenknecht (BSW), który po raz pierwszy startował w wyborach i uzyskał 15,6 proc. Tuż za nim uplasowała się postkomunistyczna i równie prorosyjska Die Linke, uzyskując 13,1 proc. Dalej jest już tylko gorzej. SPD, najstarsza partia polityczna Niemiec, mająca dziś kanclerza, zdobyła 6,1 proc. Zieloni jeszcze mniej – 3,2 proc. Natomiast FDP, która także współrządzi w Berlinie, wyładowała pod hasłem „pozostałe partie”, relegowana do roli politycznego planktonu. Ani Zieloni, ani FDP nie wejdą do parlamentu Turyngii.

W Saksonii to CDU zwyciężyła, zdobywając 31,5 proc. głosów, plasując się przed AfD, która uzyskała 30,6. Na SPD głosowało 7,3 proc. wyborców, a na Zielonych – 5,5 proc. Partia Die Linke zdobyła tylko 4,5 proc. głosów, czyli

mniej niż wynosi 5-proc. próg wyborczy. Partia Sahry Wagenknecht, która pod koniec ub.r. odłączyła się od Die Linke, by praktykować coś, co nazwała „lewicowym konserwatyzmem”, także i tu uzyskała dobry wynik – 11,8 proc. głosów.

CZERWONA KARTKA DLA SCHOLZA

Polityczny i medialny mainstream jest oczywiście zachwycony faktem, że CDU zwyciężyło chociaż w Saksonii i przedstawia partię Wagenknecht jako lepszą alternatywę dla AfD – taką, z którą można współpracować. Ale nie jest to w stanie przykryć mizernego wyniku partii koalicji „sygnalizacji świetlnej”, złożonej z SPD, Zielonych i FDP. Dla nich taki wynik to „katastrofa” – podkreślają media za Odrą. Zarówno w Saksonii, jak i w Turyngii AfD otrzymała ponad dwa razy więcej głosów niż partie tworzące rząd Olafa Scholza razem wzięte. Głosowało na nią także więcej młodych niż na Zielonych czy SPD. Czterech na pięciu Niemców jest niezadowolonych z pracy rządu, i to nie tylko w ciągu ostatnich kilku miesięcy. W sondażu ARD Deutschlandtrend ankietowani regularnie wystawiają marne oceny socjaldemokratycznemu kanclerzowi i jego ministrom.

Nie pomogła nawet deportacja 28 Afgańczyków, wśród nich gwałcicieli i recydywistów, do ich ojczyzny, zorganizowana tuż przed wyborami. Niemcy chcą deportacji, ale cały czas, a nie tylko z okazji wyborów, gdy partiom lewicowo-liberalnym grozi porażka. Dodatkowy niesmak wzbudził fakt, że każdy deportowany otrzymał na drogę 1 tys. euro kieszonkowego, odpowiadające rocznej pensji w Afganistanie.

Reinhard Erös, były pułkownik Bundeswehry, który prowadzi działalność charytatywną w Afganistanie, rozmawiał z wysokimi rangą przedstawicielami talibów na temat tej akcji deportacyjnej. Według niego fakt, że mężczyzna, który zgwałcił 11-letnią dziewczynkę został odwieziony do ojczyzny najlepszymi liniami lotniczymi i otrzymał tyle pieniędzy, to dla nich „sensacja równa lądowaniu człowieka na Księżycu”. Talibowie śmieją się więc z Niemców, a obywatele i tak nie kupili medialnej ustawki. A wyborcy, jak wiadomo, zawsze mają rację. Niestety polityczno-medialny mainstream za Odrą tego nie rozumie.

Na wieczorne wyborczym Zielonych w Turyngii popłynęły łzy – lokalna szefowa partii Madeleine Henfling popłakała się i zadeklarowała, że „nie odda faszystom kraju i ulicy”. Politycy SPD zaś mówili o „niedemokratycznym” wyniku wyborów, uznając siebie samych za inkarnację demokracji. Zamiast o tym, co oferują wyborcom, dywagowali o „błędach w komunikacji”. Faktem jest, że ponad 30 lat po upadku muru berlińskiego SPD nadal jest ciałem obcym w wielu regionach Niemiec Wschodnich. To w końcu Joachim Gauck, prezydent wywodzący się z socjaldemokracji, nazwał byłe NRD „ponurymi Niemcami”. Jak pisze dziennik „Die Welt”: „dzieli się nas i wmawia się nam, że są głosy wyborców demokratyczne i niedemokratyczne. Tymczasem elektorat, suweren, udzielił politykom informację zwrotną na temat ich pracy. Krótko i zwięźle: kciuk w dół” – czytamy.

Należałoby wyciągnąć z tego wnioski. Ale tak się zapewne nie stanie. Już rozpoczęły się starania o utworzenie zarówno w Turyngii, jak i Saksonii koalicji z wykluczeniem AfD. Chadecy są nawet gotowi złamać własne postanowienie przyjęte na ostatnim zjeździe partyjnym, że nie będą współpracowali z Die Linke.

I nietrudno sobie wyobrazić konsekwencje, gdyby CDU faktycznie poparła w Turyngii lewicowy rząd lub go współtworzyła. Obywatele wybrali pra-

wicę, a dostaliby to, co zwykle, czyli to, czego ewidentnie nie chcą. Na dłuższą metę to tylko wzmocni AfD, aż kordonu sanitarnego nie będzie się dawało dłużej utrzymać, nawet korygując wynik wyborów, jak w Saksonii, żeby Alternatywa nie miała w lokalnym parlamencie mniejszości blokującej. Może i rzeczywiście doszło do błędów podczas przeliczenia głosów, ale i tak nikt w to nie uwierzy.

W jednym z politycznych talk show w telewizji szefowa SPD Saskia Esken powiedziała, że „nie da się wyciągnąć żadnych wniosków z ataku nożownika w Solingen”. Z wyniku wyborów w Saksonii i Turyngii najwyraźniej też nie. A kolejne spotkanie przy urnach tuż za rogiem. 22 września odbędą się wybory

Nie pomogła deportacja 28 Afgańczyków, wśród nich gwałcicieli i recydywistów, do ich ojczyzny, zorganizowana tuż przed wyborami. Niemcy chcą deportacji, ale cały czas, a nie tylko z okazji wyborów, gdy partiom lewicowo-liberalnym grozi porażka

do parlamentu regionalnego w Brandenburgii. AfD prowadzi również tam, ale tuż za nią plasuje się SPD, która rządzi w tym landzie od 1990 r. Kampania idzie pełną parą i widać, jakiego tematu partie rządzące wołałyby unikać: migracji. W ub. tygodniu w urzędzie kanclerskim odbył się kolejny już szczyt migracyjny z udziałem premierów landów, na którym Zieloni powtarzali, że nie zgodzą się na jakiegokolwiek zaostrezenie polityki migracyjnej.

AUSLÄNDER RAUS!

To, co myślą o tym Niemcy, wiadomo nie od dziś. Jest to widoczne choćby

na podstawie popularności hitu Gigi D'Agostino. Tego, którego nucono na imprezie wyborczej AfD. Był Sylt i okrzyki: „Cudzoziemcy won!”, a potem setki innych, podobnych incydentów. W samej Dolnej Saksonii na koniec maja br. policja naliczyła 28 przypadków, według portalu „Redaktionsnetzwerk Deutschland” w całym kraju było ich ponad 650. „Dop, do, do, do” – wybrzmiało na festynie strzeleckim w Kleinburgwedel koło Hanoweru, podczas wigilii młodzieżówki CDU w Mönchengladbach, na festynie jeździeckim w Hirsum w Dolnej Saksonii, podczas karnawału w Landsberg am Lech, gdzie ludzie przebrani za postacie Lego głośno domagali się deportacji migrantów.

Za każdym razem prokuratura ścigała sprawców, ale większość śledztw zostaje umorzona, mimo apeli polityków SPD, CDU czy Zielonych o wysoką karę dla delikwentów. Hasło bowiem, śpiewane do popularnej w dyskotekach melodii, podlega wolności słowa, chyba że „zaistnieją określone okoliczności”, np. pójdzie to w parze z rzeczywistym atakiem na cudzoziemców lub ekspozycją nazistowskich symboli.

Podobnie orzekł Federalny Trybunał Konstytucyjny w 2010 r. w odniesieniu do hasła: „Cudzoziemcy precz!” (Ausländer raus!), używanego przez NPD. Na domiar złego na Amazonie można teraz kupić koszulki z napisem: „Sylt Vibes” albo „Dop, do, do, do” na tle mapy wyspy Sylt. Wydaje się, że im bardziej władze chcą zabronić piosenki Gigi D'Agostino (na dużych festiwalach, festynach i na Oktoberfeście już jej nie usłyszymy), tym staje się popularniejsza. Jako coś w rodzaju protest songu, za pomocą którego można wyrazić swoją frustrację z powodu polityki migracyjnej. Nie trzeba już nawet skandować skandalizującego hasła. Melodia wystarczy. Oburzeni eksperci mówią o „instrumentalizacji popkultury”. W skrócie: skrajna prawica sięgnęła po narzędzia, którymi lewica posługuje się już od dawna. I jest w tym równie skuteczna. 



BSW została założona w tym roku przez dysydentkę z Die Linke – partii starych komunistów, Sahrę Wagenknecht

Komuniści, czyli niemieckie „demokratyczne centrum”

Z centrali CDU idzie kategoryczny zakaz wszelkich kontaktów z AfD, co wobec obecnych wyników wyborów we wschodnich Niemczech jest równoznaczne z perspektywą sojuszu chadeków z komunistami

C ofnijmy się o niemal pięć lat, do 5 lutego 2020 r. Trzy miesiące po ówczesnych wyborach do landtagu Turyngii, które co prawda wygrali socjaliści, nadal nie było perspektywy sklecenia jakiegokolwiek spójnej większości. Tego dnia w Erfurcie miała być podjęta któraś już z kolei próba wyboru premiera.



JAN ROKITA

Zgłoszono dwóch kandydatów: komunistę Bodo Ramelową (Die Linke) i liberała Thomasa Kemmericha (FDP). I nieoczekiwanie wygrał Kemmerich, gdyż trzy partie centrum i prawicy – CDU, FDP i AfD nie chciały premiera komunisty. W konsekwencji w CDU rozgorzał wielki spór o to, czy

chadek może głosować razem z prawicowcem z AfD przeciw komuniście. Tamtego dnia kanclerz Angela Merkel była gdzieś w Afryce, a gdy podczas konferencji prasowej zapytali ją, co sądzi o głosowaniu turyńskich posłów swojej partii, zareagowała zdumiewająco ostro. Nie tylko odrzuciła wybór Kemmericha, lecz także zdyskwalifikowała zachowanie turyńskiej chadecji, żądając powtórzenia wyborów. Ponownych wyborów jednak nie było, gdyż wystraszony Kemmerich podał się do dymisji, a Merkel pomogła w sformowaniu lewicowego mniejszościowego rządu, na którego czele stanął komunistą Ramelow.

„DEMOKRATYCZNE CENTRUM”

Pięć lat później w kolejnych turyńskich wyborach 1 września 2024 r. prawicowa AfD otrzymała 33 proc. głosów, czyli o niemal 10 proc. więcej niżli jesienią 2019 r. Liberalowie zdołali do tego czasu zniknąć z turyńskiej sceny politycznej, podobnie zresztą jak w sąsiedniej Saksonii, graniczącej z Polską. Ale tamtejsi chadecy, pomni zdarzeń sprzed pięciu lat, tym razem przyjęli całkiem odmienną strategię. Dobrze wyczuwają bowiem, iż w centrali CDU, choć od tamtego czasu zmieniło się wszystko (bo Merkel poszła na emeryturę, a na jej partyjnym krześle zasiadł Friedrich Merz, jej śmiertelny wróg), to gdy idzie o wybór między współpracą z komunistami lub prawicą, nie zmieniło się nic.

Dlatego Mario Voigt, erfurcki szef chadeków, który w istocie sromotnie przegrał wybory, zyskując 24 proc. głosów (czyli prawie 10 proc. poniżej wyniku AfD), ogłosił się zwycięzcą i zapowiedział w imieniu swojej partii rozmowy o utworzeniu rządu „ze wszystkimi partiami demokratycznego centrum”. Jednak zdziwić się musi każdy, kto patrząc na wyniki wyborów w Turyngii, zrozumie, co kryje się pod owym eufemizmem „demokratycznego centrum” w rozumieniu lidera tamtejszych chadeków.

Socjaliści (czyli partia kanclerza Olafa Scholza) zostali w Turyngii rozgromieni, otrzymując 6 proc. głosów i cudem tylko przeciskając się ponad progiem wyborczym. Prawdę mówiąc,

można się było tylko z ironią uśmiechnąć, gdy Scholz komentował ten wynik słowami, że „nie jest tak tragicznie”, uzmysławiając swoim słuchaczom, iż sam zapewne musiał się spodziewać eliminacji SPD z turyńskiego krajobrazu politycznego. Skądinąd zresztą socjaliści nie lepiej wypadli w Saksonii, gdzie partię kanclerza Niemiec poparło 7 proc. wyborców.

Partnerami dla chadeków, z tego co nazywają oni „demokratycznym centrum”, są więc naprawdę dwie partie komunistyczne. Jedna to Die Linke, czyli mocno już wyliniała partia starych komunistów, z reguły jeszcze zaczynających kariery jako agenci enerdownskiej bezpieki. Druga to BSW, czyli partia młodych wojujących komunistów, założona w tym roku przez dysydkentkę ze starej partii komunistycznej, popularną dziś w Niemczech Sahrę Wagenknecht.

W tej mierze sytuacja w obu landach, w których 1 września odbyły się wybory do ich parlamentów, jest w istocie niemal identyczna. Co prawda w Saksonii CDU udało się wygrać jednym punktem procentowym nad AfD (32:31), ale w Dreźnie tak samo jak w Erfurcie chadecy odrzucają koalicję centroprawicy, otwierając się na komunistów. Strategia saksońskiego lidera CDU Michaela Kretschmera nie różni się od tej turyńskiej Maria Voigta. Kretschmer stał do tej pory na czele rządu w Dreźnie, mając jako koalicjantów SPD i Zielonych. Teraz jednak wyborczy pogrom obu partnerów najwyraźniej skłania szefa chadeków do szukania nowatorskiej w warunkach demokratycznych Niemiec współpracy chadecji z komunistami.

W każdym razie jedno jest pewne: zarówno w Erfurcie, jak i w Dreźnie chadecy mogą dojść do władzy albo wspólnie z prawicową AfD, albo z jedną, czy nawet obiema (jak w Turyngii) partiami komunistycznymi. Ich wybór wygląda dość jasno.

JAK RÓŻA LUKSEMBURG

Obaj przywódcy siostrzanych CDU i CSU jasno deklarują swój pogląd w tej sprawie, choć próbują maskować swój wybór jego rzekomą „lokalnością”. Szef CDU Merz, którego poglądy są z reguły

o wiele bardziej konserwatywne niżli jego poprzedniczki kanclerz Merkel, tym razem udaje polityka przejętego ideał samorządności niemieckich regionów. Mówi: „To są sprawy, które muszą zostać rozstrzygnięte w Erfurcie i Dreźnie, a nie w Berlinie”.

Ale to oczywiście fikcja, skoro to właśnie z centrali CDU idzie kategoryczny zakaz wszelkich kontaktów z AfD, co wobec obecnych wyników wyborów jest równoznaczne z perspektywą sojuszu chadeków z komunistami.

Trochę bardziej szczerzy jest lider bawarskiej CSU Markus Söder, który zarzeka się, iż „całkowicie niewyobrażalny” jest w przyszłości wspólny rząd Niemiec tworzony przez chadeków i komunistów, ale by wykluczyć prawicę z życia politycznego, dopuszcza taką możliwość w rządach poszczególnych landów. Naiwność Soedera polega jednak na tym, iż zakłada on, że wyborcze sukcesy nowej twardej prawicy oraz nowych twardych komunistów w Saksonii i Turyngii mogą się nigdy nie powtórzyć w wyborach ogólnoniemieckich.

Tymczasem Wagenknecht, która sama pochodzi z Turyngii, zbudowała swoją popularność na zachodzie Niemiec, gdzie mieszka i wygrywa wybory do Bundestagu w uprzemysłowanym regionie Północnej Nadrenii-Westfalii.

Ta niewątpliwie utalentowana 55-letnia liderka skrajnej lewicy często jest porównywana w Niemczech do Róży Luksemburg, „politycznej matki” rewolucyjnego ruchu komunistycznego, a słynie także ze swoich wysiłków o przywrócenie dobrego imienia Stalinowi. Doktrynalny melanż, któremu zawdzięcza swój sukces, polega na tym, iż zachowując wierność historycznym sztandarom komunistów, ukształtowanym jeszcze w czasach sowieckich (walka z kapitalizmem, sojusz z Moskwą, obrzydzenie do burżujów, NATO i Ameryki oraz sławetna „walka o pokój”) w jednym punkcie o 180 stopni odwróciła ideologię nowoczesnej lewicy kulturowej.

Zakwestionowała mianowicie doktrynę multi-kulti, żądając, aby do Niemiec nie wpuszczać obcych, a dotychczasowych imigrantów deportować. Kampania 2024 r., którą prowadziła w landach wschodnich, skoncentrowana

została właśnie wokół dwóch bardzo wziętych w Niemczech haseł: przywrócenia normalnych stosunków z Moskwą i deportacji imigrantów.

Widać jak na dłoni, że w obu tych kluczowych dziś dla niemieckiej sceny politycznej kwestiach plany polityczne nowych komunistów z BSW nie różnią się istotnie od prawicowych postulatów AfD.

Przyglądając się dokładnie programom wyborczym, można odnieść wrażenie, iż jeśli chodzi o imigrantów, to retoryka prawicy z jej programem „re-emigracji 2029” jest mocniejsza i bardziej skonkretyzowana niżli slogany o „wypowiedzeniu gościnności”, używane przez Wagenknecht. Natomiast gdy idzie o Moskwę, to miłość ze strony nowych komunistów jest autentyczna i ugruntowana sentymentem względem ZSSR jako „ojczyzny socjalizmu”, toteż wrogość Wagenknecht wobec Ukrainy jest otwarta i zdecydowana. Tymczasem AfD, skłonna rozpamiętywać niemiecką historię i klęskę zadaną Niemcom przez Stalina w II wojnie światowej, woli mówić o „gospodarczej i historycznej współzależności Niemiec i Rosji”, koncentrując się na zakończeniu wojny na Ukrainie i zniesieniu europejskich sankcji nałożonych na Moskwę.

KORDON SANITARNY WOKÓŁ PRAWICY

Jak widać, w tych dwóch kwestiach są to raczej odmienności akcentów języka i propagandy, ale dla zwykłego konsumenta życia politycznego różnice pomiędzy AfD i BSW są tu w istocie drugorzędne.

Trudno zatem nie postawić pytania: dlaczego z perspektywy niemieckiej chadecji komuniści, nawet ci retorycznie pro Stalinowscy, są z trudem, bo z trudem, ale jednak akceptowalni, natomiast prawica absolutnie nie? Dlaczego prawdziwy zwycięzca wyborów w Turynii, tamtejszy lider AfD Björn Höcke, ma zostać otoczony „zaporą ogniową wokół ekstremistów” (jak z uznaniem pisze kluczowy niemiecki dziennik „Politico”), a Sahra Wagenknecht pewnie za chwilę stanie się częścią niemieckiego establishmentu?

Myślę, że są dwie odpowiedzi na tak postawione pytanie. Choć uczciwie trzeba jeszcze odnotować, iż w ciągu ostatnich dni w szeregach co bardziej ideowych chadeków wychowanych na ideologicznej wrogości wobec komunizmu zaczął pojawiać się oddolny bunt przeciw linii, którą kiedyś partii narzuciła Merkel, a dziś próbują ją kontynuować zarówno Merz, jak i Söder. W niemieckiej prasie czytam nawet takie odważne głosy, jak ten posła CDU Matthiasa Hauera, określającego współpracę z Wagenknecht „trucizną dla chadecji”, albo członka zarządu CSU i znanego rzecznika wysiedlonych Niemców sudeckich Bernda Posselta, który przyrównuje perspektywę takich umów koalicyjnych do „umowy Hitlera ze Stalinem”.

Partnerami dla chadeków są dwie partie komunistyczne. Jedna to Die Linke, czyli mocno już wyliniała partia starych komunistów. A druga to BSW, czyli partia młodych wojujących komunistów, założona przez Sahrę Wagenknecht

Odpowiedź pierwsza dotyczy reguł panujących dotąd na wewnątrzniemieckiej scenie politycznej. AfD jest partią, która podobnie jak Bracia Włosi, polski PiS czy francuskie Zjednoczenie Narodowe dąży do odbudowy narodowego poczucia dumy i jedności, co przez lewicowo-liberalnych wrogów takich dążeń jest zazwyczaj traktowane jako dowód nacjonalizmu, jeśli nie faszyzmu.

Jak dobrze wiemy z własnego podwórka, wysiłek odbudowy więzi narodowej jest w dzisiejszych warunkach kulturowych skazany na nieuchronny konflikt i najgorsze oskarżenia. A to wszystko z oczywistych powodów na-

biera jeszcze wyjątkowego znaczenia w Niemczech, obciążonych dziedzictwem nazizmu. To w Polsce trudne do wyobrażenia, ale w u naszych zachodnich sąsiadów typowy i poprawny do tej pory stosunek do tej kwestii być może najlepiej oddaje sławne wyznanie dokonane niegdyś przez lidera niemieckich Zielonych, a dzisiejszego wicekanclerza Roberta Habecka. Brzmi ono tak: „Nigdy nie mogłem dojść do ładu z Niemcami, a ile razy słyszałem o miłości ojczyzny, to chciało mi się rzygać”. Proponuję czytelnikom coś na kształt eksperymentu myślowego i wyobrażenia sobie, że takie zdanie o Polsce i w Polsce wypowiada polski wicepremier. I co dalej by się z nim stało?

Powód drugi, dla którego komuniści są bliżsi chadecji niżli prawica, wiąże się z europejską sceną polityczną. Politycy AfD to twardzi krytycy obecnej ideologii panującej w Unii, a przede wszystkim jej rzekomo postępowego niszczenia obyczajów, programowego libertynizmu i skłonności do centralizacji władzy w Brukseli nad całą Europą. I jako tacy zostali zakwalifikowani do obozu śmiertelnych wrogów obecnego unijnego establishmentu, dla którego najważniejszym wyzwaniem politycznym jest dziś niedopuszczenie do władzy, a najlepiej zniszczenie nowej alternatywnej prawicy. Rozbudowany program represji wobec działaczy AfD, z jakim nie kryje się socjalistyczna szefowa niemieckiego MSW Nancy Faeser, jest bardziej uporządkowaną i metodyczną wersją tego samego, co premier Tusk wraz z ministrem Bodnarem chaotycznie usiłują zrobić w Polsce względem PiS. Podobne programy są dziś przedsiębrane w wielu krajach, może najbardziej wyraziście w Ameryce, Francji, a ostatnio – po zmianie władzy – niestety także w Wielkiej Brytanii.

Przypadek niemieckiej chadecji jest o tyle ciekawy, że po wyborach w Turynii i Saksonii, a także w Brandenburgii (gdzie odbędą się one jeszcze w tym miesiącu), będziemy wiedzieć, czy dla zniszczenia prawicy establishment europejski odważy się na wejście w sojusz z apologetyzującą Stalina, antykapitalistyczną i antyamerykańską odmianą współczesnego komunizmu.

KTO ucieka z Ukrainy?

Czasem jakiemuś Polakowi wymysknie się w stronę Ukraińca: „A czemu nie jesteś na froncie?”. Jeśli jednak ktoś naprawdę uciekł z Ukrainy przed wojną, to nie znajdziemy go w otaczającej nas codzienności. Uciekinier żyje inaczej



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

W trzecim roku wojny każdy mieszkaniec Ukrainy jest zmęczony, ale reakcje są trojaki: mobilizacja, apatia lub ucieczka. To będzie opowieść o tej trzeciej postawie. O tym jak część ukraińskich mężczyzn zaangażowała wszystko, dosłownie, by uciec z kraju.

Nie zgubmy jednak proporcji – nadal 1 mln ludzi jest pod bronią, nadal miliony mężczyzn pracują w fabrykach, usługach, na roli, a prywatne strzelnice są wypełnione tymi, którzy chcą się nauczyć strzelać, zanim otrzymają wezwanie do wojska. To nadal jest naprawdę dzielny kraj, a przyjrzenie się tej słabszej części społeczeństwa pozwoli zadać pytanie o Polskę – na ile jesteśmy zdeterminowani, by bronić własnego kraju?

NA LEWYCH PAPIERACH

Choć prezydent Zelenski już 24 lutego 2022 r. wprowadził dekret dotyczący

mobilizacji narodowej i zabraniający mężczyznom w wieku 18–60 lat wyjeżdżać z kraju, to jednak strach przed wojną i panika niejednemu człowiekowi dodała skrzydeł i pchnęła do szukania nielegalnych dróg ucieczki.

Wysoki poziom korupcji już przed wojną przetrzął ku temu ścieżki. Granicę mogą przekraczać mężczyźni ze średnim lub ciężkim stopniem niepełnosprawności. Zwiększyła się więc liczba łapówek dla lekarzy wydających zaświadczenia o niepełnosprawności. Rząd kilkakrotnie nakazywał już weryfikację stopnia takich schorzeń, w czym pomagają lekarze wojenkomatów, czyli wojskowych komisji uzupelnień. Nadal jednak „zielona bumażka” (od koloru papieru, na którym otrzymuje się takie pismo) jest bardzo pożądana – potem trzeba już tylko przetrwać wizytę u lekarza wojskowego.

Granicę może przekroczyć bliski krewny będący jedynym opiekunem dziecka, osoby starszej lub niepełnosprawnej – niejeden mężczyzna w wieku poborowym naciskał swoją babcię, by pojechała do Polski czy Niemiec.

Okiénko pojawiło się też dla młodych. W kwietniu Rada Ministrów wprowadziła rozporządzenie w sprawie zmiany

zasad przekraczania granicy państwowej przez obywateli Ukrainy, w którym pozwala się studentom w wieku 18–22 lat wyjechać za granicę w ramach jednosemestrowej wymiany z innym uniwersytetem. Wszyscy studenci podpisują przy tym specjalne zobowiązanie do powrotu na Ukrainę po upływie jednego semestru. – Z jednej strony to prawo jest zrozumiałe – komentuje dla tygodnika „Sieci” Irina, pracownica dziekanatu jednego z dużych uniwersytetów. – Chcemy, by nasi studenci osiągnęli wysoki poziom wykształcenia, a i tak trzy lata wojny i dwa lata pandemii pozbawiły nas normalnej nauki w szkołach. A jednak w tym prawie jest coś dziwnego. – Młodzi zazwyczaj nie wracają. Widać to już na etapie, gdy taki dzieciak [studia zaczyna się tam w wieku 17 lat – red.] podpisuje zobowiązanie – czasem drży z podniecenia na myśl, że udaje mu się uciec – dodaje Irina.

Aby załatwić sobie taki wyjazd, trzeba zatem zgody wysokich władz uniwersyteckich, które zatwierdzają zasady współpracy międzynarodowej. Nie jest to jednak grono słynące z praworządności i uczciwości. Zdawanie egzaminów na studiach za pieniądze nie było na Ukrainie rzadkością, a kadry akademickie po cichu to akceptowały.

Raczej nie stały się uczciwsze z powodu wojny. Ukraińskie władze o tym wiedzą, więc sama zgoda na tak dziurawe prawo jest bardziej furtką dla uciekinierów niż troską o wysoki poziom nauczania podczas zagranicznego pobytu.

PRZEZ ZIELONĄ GRANICĘ

Bardziej ekstremalnym środkiem ucieczki jest nielegalne przejście przez granicę w niedozwolonym miejscu. Tego się nie robi samemu – ryzyko złapania jest zbyt wielkie. Zajmują się tym „przewodnicy”, którzy we wskazanym miejscu odbierają małe grupki uciekinierów i prowadzą przez lasy polsko-ukraińskiej lub ukraińsko-rumuńskiej granicy. Tygodnik „Sieci” dotarł do człowieka, który przekroczył zieloną granicę. Jak zapewnia, kosztowało go to 10 tys. euro, to jednak było w początkach 2024 r., teraz podobno przerzucenie na Zachód jest jeszcze droższe. Problemem są jednak nie tylko pieniądze, choć kwota 410 tys. hrywien, czyli dwa lata przeciętnych zarobków na Ukrainie, to bardzo poważne pieniądze. Jak jednak znaleźć człowieka, który wskaże „przewodnika”?

Nasz rozmówca długo mówi o swoim sprycie i zaradności, ale wkrótce w jego opowieści pojawiają się dziwne historie wyjaśniające dostęp do nielegalnego procederu. To narkotyki. Mafia, która w czasach pokoju zajmowała się handlem tymi środkami, zwiększyła zarobek przy organizowaniu nielegalnego przekraczania granic – sieć informatorów i „pracowników” pozostała ta sama. Diler często staje się więc pośrednikiem między uciekającym a organizującymi „pragulke przez kordon”. Ale to raczej nieodstępne dla przeciętnego Ukraińca, który w czasach pokoju próbował związać koniec z końcem. To także nie dla ludzi, którzy nie wiedzą, jak odróżnić prawdziwą nielegalną usługę od zwykłego oszustwa. Mafia jednak nie działa na rympał. Kto z nimi współpracuje po ukraińskiej, a kto po polskiej stronie? Tego na razie nie wiemy.

Jeszcze bardziej ryzykowna jest ucieczka przez linię frontu. Ale i z takim przypadkiem spotkał się tygodnik „Sieci”. W Donbasie, którego część jest okupowana już od dekady, istnieje wąski strumyczek wymiany ludności. Dawni mieszkańcy Doniecka czy Ługańska, choć od lat żyli już np. w Kijowie czy Charkowie, podczas wojny uznali, że na podstawie starych dokumentów spróbują się dostać na tereny okupowane. Czasem podstawą prawną dla okupanta jest akt własności mieszkania albo stare zameldowanie po rosyjskiej stronie Donbasu. W okolicach Kramatorska funkcjonują kierowcy, którzy za odpowiednią zapłatą pomogą ominąć ukraińskie pozycje, a odpowiednie

Bardziej ekstremalnym środkiem ucieczki jest nielegalne przejście przez granicę w niedozwolonym miejscu. Tego nie robi się samemu – ryzyko złapania jest zbyt wielkie. Zajmują się tym „przewodnicy”, którzy we wskazanym miejscu odbierają małe grupki uciekinierów i prowadzą przez lasy polsko-ukraińskiej lub ukraińsko-rumuńskiej granicy. Ale to bardzo wiele kosztuje

dokumenty pozwolą już przejść przez pozycje rosyjskie. Po tamtej stronie można próbować wyjechać przez Gruzję albo Białoruś. Jest to trudne ze względu na nieufnych urzędników Federacji, jednak takie brawurowe przypadki się zdarzają. To ciekawe, że są ludzie, którzy ryzykują życie podczas ucieczki, by nie ryzykować

życia w obronie własnego kraju. I tu pojawia się pytanie – kto decyduje się na taki krok?

DEGENERUJĄCA KRYJÓWKA

Ci, którzy nie chcą walczyć za wszelką cenę, ale nie potrafią załatwić sobie nielegalnych dokumentów czy zdecydować się na „spacer przez granicę”, uciekają do wewnątrzukraińskich kryjówek – do babci na wieś, do znajomych na zachodniej Ukrainie. Nie ma szacunków liczbowych takich „uchylantów”, ale w jednej wiosce obwodu iwanofrankowskiego, która liczy 300 mieszkańców, poznałem 6 takich przypadków. Żyją w domach, w pokojach, nie wychodzą do sklepu ani na spacer, bojąc się donosu, policjanta, żandarma. Taki żywot jest degenerujący. I tutaj najbardziej ujawniają się całe pokłady racjonalizowania takiego wyboru. – To Amerykanie wywołali tę wojnę razem z Żydami – słyszę od trzydziestoletniego mężczyzny, który od dwóch lat żyje w opuszczonym domu na wsi. – Chłopaki giną, bo im nie dają broni, wszystko dowódcy sprzedają – pada w dłuższej rozmowie. – Ten kraj niczego mi nie dał, dlaczego mam za niego ginąć? – słyszę znajomą śpiewkę, która pada też w Polsce, zwłaszcza w dyskusjach lewicowych aktywistów na portalach społecznościowych. Miks użalania się nad swoją dolą z dawaniem wiary w każdą, choćby największą bzdurę, to tylko próba jeszcze innej ucieczki – przed świadomością, że wybrało się drogę niezgodną z prawem, niezgodną z obywatelskim i męskim etosem, że wpadło się w otchłań życia wykluczenia, który w życiu będzie myślał już tylko o tym, jak przetrwać każdy dzień. Bo w kraju zawsze będą pogardzani, zwłaszcza przez setki tysięcy mężczyzn, którzy poszli na wojnę, tak jak nasi przodkowie w 1939 r. Ale warto samych siebie zapytać, ilu dzisiaj mężczyzn w naszym kraju okazałoby się bohaterami, a ilu tchórzami.

POBÓR, który jest lubiany

plut. Tomasz BORSUK

19

Jak przełamać niechęć wśród młodych do służby wojskowej?

Tu wiele możemy się nauczyć od Skandynawów i Baltów. W Szwecji każdy młody poborowy sam decyduje, w jakich jednostkach chce odbyć służbę, a powołanych do wojska zaczęto przedstawiać jako szczególnie utalentowanych, godnych zatrudnienia i wyjątkowo przydatnych obywateli



MAREK BUDZISZ

Elisabeth Brow, pisząc dla RUSI, najstarszego europejskiego think tanku strategicznego z siedzibą w Londynie, raport poświęcony obowiązkowej służbie wojskowej w krajach skandynawskich, zauważyła dziwne zjawisko. Otóż jeden z oficerów norweskiej armii odpowiadający za selekcję poborowych powiedział jej, że wojsko ma duży problem z rodzicami kandydatów do służby, którzy używają

swych koneksji, wpływów, a zdarzają się też przypadki posuwania się do próby przekupstwa tylko po to, aby ich dzieci mogły założyć mundur. Nie chodzi w tym przypadku o chęć zdyscyplinowania młodych, lecz zupełnie inne zjawisko. W Norwegii służba jest obowiązkowa w sensie prawnym i obejmuje zarówno kobiety, jak i mężczyzn, ale faktycznie mamy do czynienia z systemem selektywnym. Siły zbrojne wybierają i wcielają do służby ok. 15 proc. osób z każdego rocznika, co powoduje, że ci, którzy zostali wskazani, są uznawani za elitę swojego pokolenia, najlepszych z generacji. Ten mechanizm uruchomił zabiegi rodziców chcących, aby ich dzieci znalazły się w ten sposób w gronie wybranych, mimo że służba

nie jest krótka, bo trwa od 12 do nawet 18 miesięcy.

W Szwecji, gdzie system jest skonstruowany w podobny sposób, bo służba w siłach zbrojnych jest z prawnego punktu widzenia obowiązkowa, ale faktycznie do armii trafia ok. 5 proc. poborowych z danego rocznika, dziennikarze „The Guardian”, opisujący funkcjonowanie systemu, również zauważyli, że wśród młodzieży służbę w wojsku uważa się za coś w rodzaju „przepustki do elity”.

Ciekawy jest też przykład Łotwy, państwa, które w związku z zagrożeniami w 2023 r. wróciło do powszechnej, obowiązkowej służby w siłach zbrojnych, choć faktyczny obowiązek, bo pierwsza fala naboru była ochotnicza, wszedł

Fot. plut. Tomasz Borsuk

w życie w br. Jak przypomniał Māris Andžāns, dyrektor Centrum Studiów Geopolitycznych w Rydze, jeszcze w 2022 r., czyli przed przywróceniem poboru, mniejszość, bo 45 proc. obywateli, popierała taki krok. Jednak już w czerwcu 2023 r., czyli po tym, jak Sejmas przegłosował ustawę, liczba zwolenników poboru powszechnego wzrosła do 61 proc. Nawet wśród młodych ludzi, którzy wcześniej byli zdecydowanymi przeciwnikami obowiązkowej służby, poparcie dla jej przywrócenia ustabilizowało się na poziomie 50 proc. Również na Łotwie nie jest ona krótka, bo trwa 11, a w praktyce 12 miesięcy. Ta różnica wynika z faktu, że każdy wcielony do armii ma prawo do miesięcznego urlopu, co wydłuża okres szkolenia do roku.

PRAWO DO WYBORU

A zatem można zbudować system powszechnej w sensie prawnym służby w wojsku, która jest akceptowana społecznie, a wśród ludzi, którzy podlegają poborowi, pojawia się nawet moda na to, aby trafić do armii. Pytanie tylko, jak tego dokonać. Tu również wiele możemy nauczyć się od Skandynawów i Bałtów. Szwedzi, którzy ostatecznie zrezygnowali z poboru powszechnego w 2010 r., a pięć lat później, po aneksji Krymu, podjęli decyzję o jego przywróceniu, wybrali ciekawą strategię komunikacyjną. Otóż nie mówili, tak jak robimy to w Polsce, o przywróceniu poboru. Uznali, że kiedy deklaruje się „powrót”, to nie można uniknąć skojarzeń ze starym, porzuconym systemem. W Szwecji już na początku tysiąclecia upowszechnił się pogląd, że ówczesne rozwiązania są niesłychanie przestarzałe i nie odpowiadają potrzebom nowych czasów, w tym wrażliwości młodych ludzi, i właśnie to przekonanie doprowadziło ostatecznie do rezygnacji z poboru. Jak napisała Sanna Strand, szwedzka badaczka analizująca to zagadnienie, zamiast deklarować powrót do poboru władze w Sztokholmie zaczęły mówić o konstrukcji nowoczesnego, na miarę XXI w., ale całkowicie nowego systemu. Rozmawiając z oficerami sił zbrojnych, zauważyła, że armia postawiła na nowoczesność, przede wszystkim wolność wyboru i konieczność podejmowania przez młodych ludzi wielu

decyzji. W ten sposób w dużej mierze samodzielnie, w zgodzie ze swymi preferencjami i umiejętnościami, planują służbę w wojsku. Jak powiedział jej jeden z oficerów, „w przeszłości poborowi nigdy nie byli pytani o zdanie”, a w nowym systemie ich opinie są traktowane poważnie i brane pod uwagę.

Jak to wygląda w praktyce? Ankieta, którą wypełniają młodzi Szwedzi, daje im wiele opcji wyboru. Na specjalnej stronie internetowej szczegółowo opisano kilkadziesiąt specjalizacji wojskowych, z których każdy może wybrać coś dla siebie. W związku z tym nowy model służby w armii jest znacznie bardziej zindywidualizowany niż w przeszłości. Jak zauważył jeden z oficerów, w dawnym systemie młodzi ludzie „byli traktowani jak masa, nigdy nie byli pytani o zdanie”, a ich jedynym zadaniem było „stawić się i wykonywać rozkazy”. Teraz postawiono na indywidualne preferencje, zmuszając nawet poborowych do dokonywania wyboru.

System służby w siłach zbrojnych został przebudowany, zyskał nowe oblicze, a na poziomie komunikacji społecznej zaczął być on przedstawiany, zresztą w zgodzie z prawdą, jako sposób odróżnienia się jednostek od siebie. Powołanych do wojska zaczęto przedstawiać jako szczególnie utalentowanych, godnych zatrudnienia i produktywnych obywateli.

Próbę zindywidualizowania poboru powszechnego, dania obywatelom prawa do współdecydowania, w jaki sposób będzie on wyglądał, podjęto też w państwach bałtyckich. W Estonii, która nigdy nie zrezygnowała z powszechnej służby wojskowej, młodzi obywatele między 18. a 26. rokiem życia mają obowiązek odbycia 11-miesięcznego szkolenia (wcześniej było to 8 miesięcy, ale w ub.r. zostało ono wydłużone), ale sami decydują, kiedy przywdzieją mundur. Na Litwie możliwość współdecydowania obywateli o kształcie sił zbrojnych obejmuje też inne decyzje, nie tylko związane z przebiegiem służby w wojsku. I tak jeszcze przed wybuchem wojny na Ukrainie litewskie Ministerstwo Obrony przedstawiło do wyboru dwie drogi dojścia do celu, którym jest sformowanie dywizji sił lądowych. W tym niewielkim, bo zamieszkany

przez 2,7 mln obywateli państwie zbudowanie dywizji jest zadaniem nielatawym ze względu na koszty i konieczność rozbudowania kadrowego armii. Dla porównania – gdyby Polska poszła w ślady Litwy, która w 2030 r. chce mieć ukompletowaną dywizję, to biorąc pod uwagę nasz potencjał demograficzny, musielibyśmy zbudować 12 tego rodzaju związków taktycznych, a naszym celem, i to dopiero w 2035 r., jest stworzenie sześciu dywizji. Litewski MON zaproponował rodakom dwa rozwiązania – ambitne, zakładające przeszkolenie w każdym roku 11,9 tys. rekrutów, i mniej wymagające – przewidujące szkolenie 9,1 tys. osób. Ostatecznie Litwini wybrali tę drugą opcję, ale w całej sprawie nie mniej ważne jest to, że ludzie mieli możliwość wyboru, zostali potraktowani jak dojrzały i świadomy obywatele, a nie jak dzieci, którym władza wszystko narzuca.

W POSZUKIWANIU OPTIMALNEGO MODELU

Państwa, które zmieniają zasady rekrutacji do swych sił zbrojnych i wprowadzają pobór powszechny, tak jak Chorwacja od stycznia przyszłego roku czy Dania rok później, mają też możliwość dokonania wyboru najlepszego modelu. Ogólnie istnieją dwa systemy. Tam, gdzie szkoli się wszystkich z danego rocznika – tak jest np. w Szwajcarii i będzie w Chorwacji – okres służby jest relatywnie krótki, trwa 5 miesięcy w tym pierwszym i 4 miesiące w drugim kraju. Dłuższemu przeszkoleniu podlegają rekruci w systemach selektywnych, czyli takich, w których armia ma możliwość wyboru najlepszych z jej punktu widzenia poborowych z danego rocznika. Ci mają stać się wysokiej klasy specjalistami, a to oznacza dłuższy okres szkolenia.

Jeszcze inny model wdrożono na Tajwanie, gdzie również od stycznia br. wydłużono okres przeszkolenia rekrutów do 12 z wcześniejszych 4 miesięcy. Tam w gruncie rzeczy państwo będzie miało dwie armie. Siły liczące ok. 180 tys. żołnierzy zawodowych (na Tajwanie mieszka 23,5 mln ludzi), których zadaniem jest realizacja misji bojowych (innymi słowy walka z wrogiem) oraz

drugą, złożoną z poborowych, wykonującą głównie zadania na tyłach. Są one nie mniej ważne, bo źle funkcjonująca logistyka często jest powodem przegranych wojen, ale przeszkolenie do tego rodzaju zadań nie musi być tak długotrwałe jak w przypadku komponentu bojowego. Armia obywatelska, pochodząca na Tajwanie z poboru powszechnego, ma odgrywać też inną rolę, o której raczej nie mówi się dużo publicznie. Otóż w realiach przedłużającej się wojny na pełną skalę, a taki konflikt obserwujemy na Ukrainie, po pewnym czasie zaczyna pojawiać się problem rezerw operacyjnych. Walczący niestety giną i odnoszą rany, muszą być luzowani, mieć czas na odpoczynek, uzupełnienie i odbudowę swojego potencjału. Kiedy mówimy, że Rosjanie rzucili na ukraiński front ponad 600-tys. armię, to trzeba pamiętać, że ok. jednak trzecia, może 40 proc., walczy, pozostała część odpoczywa, przegrupowuje się i czeka na swoją kolej. Bez sił rezerwowych nasz opór, nawet jeśli będziemy mieć 250-tys. armię, może nie być długi. Dlaczego?

NIEUNIKNIONE STRATY

Wystarczy zwrócić uwagę na szacunki strat, jeśli wybuchnie wojna na wschodniej flance NATO, dokonywane przez amerykańskich ekspertów wojskowych. Jeszcze w 2015 r. Michael E. O'Hanlon, ekspert Brookings, autor kilkunastu książek poświęconych tej tematyce, obliczał, że w przypadku pełnoskalowej wojny na wschodniej flance NATO przy dobrze zorganizowanym systemie naszej obrony w wariantcie optymistycznym, czyli kiedy możemy mówić, że wygrywamy, dzienne straty sił państw Sojuszu Północnoatlantyckiego mogą wynieść 1,2 tys. zabitych i rannych żołnierzy. W scenariuszu mniej optymistycznym, jeśli Rosjanom uda się zaskoczyć państwa wschodniej flanki i uzyskać przewagę, wówczas musimy liczyć się ze stratami na poziomie 2,66 tys. zabitych i rannych dziennie. Inne szacunki amerykańskich wojskowych i ekspertów na temat naszych strat w razie konfliktu kinetycznego z Federacją Rosyjską są

jeszcze mniej optymistyczne. Obowiązująca w amerykańskich siłach lądowych doktryna zakłada zdolności do radzenia sobie z dziennymi stratami na poziomie 800 osób na jednym teatrze działań operacyjnych (tzw. Large Scale Combat Operations), co w przypadku dużych operacji oznacza straty na poziomie 26 tys. miesięcznie. Ten „jeden teatr” to np. obrona polskiej granicy na wscho-

Bez poczucia wspólnoty, odrodzenia uczuć patriotycznych i chęci obrony naszych wartości nie ma mowy o skutecznej obronie i sprawnej armii

dzie, realizowana głównie siłami naszej armii. Symulacje przeprowadzane w ramach Army's Mission Command Training Program zakładają straty własne na poziomie 50–55 tys. zabitych i rannych w przypadku walk, w których zaangażowane są korpusy i dywizje. Łatwo obliczyć, że po 100 dniach takiej wojny skończą się nam żołnierze i bez przeszkolonej rezerwy, nawet jeśli będziemy skutecznie się bronić, nie mamy wielkich szans na zwycięstwo w wojnie. To dlatego gen. Carsten Breuer, generalny inspektor niemieckich sił zbrojnych, powiedział w wywiadzie na początku lipca br., że „pilnie potrzebujemy powszechnej służby wojskowej, ponieważ szkoli ona przyszłych rezerwistów, na których musimy być w stanie polegać”.

ODRODZENIE UCZUĆ PATRIOTYCZNYCH

Jeśli chcemy się uczyć od innych, warto zwrócić też uwagę na propozycje Borisa Pistoriusa, niemieckiego ministra obrony. Jego zdaniem najlepszym rozwiązaniem jest przyjęcie „modelu szwedzkiego”, gdzie do sił zbrojnych trafiają chętni i starannie wyselekcjono-

wani przedstawiciele każdego rocznika, ale inni młodzi Niemcy, niewidzący siebie w armii, winni w tym czasie pracować w ramach „roku społecznego”. Chodzi o to, że obowiązek służby na rzecz wspólnoty musi być powszechny ze względu na konstytucyjną zasadę równości. Ale to nie oznacza, że każdy trafi do wojska. Ci, którzy nie będą chcieli albo nie spełniają kryteriów, będą pracować na rzecz seniorów, w domach opieki, szpitalach, hospicjach czy realizować się w innych społecznie użytecznych rolach (na Łotwie np. służba w muzeach, oczywiście nie wszystkich, ale wyselekcjonowanych, też wchodzi do katalogu obowiązkowej służby wojskowej). W swej propozycji Pistorius zwraca uwagę na wagę działań państwa na rzecz przywrócenia jedności społeczeństwa dziś silnie zatowizowanego. O podobnych rozwiązaniach w Wielkiej Brytanii mówił konserwatywny rząd Sunaka. Zbliżoną rolę odgrywają francuskie programy Narodowej Służby Publicznej dla młodych. Chodzi o to, że bez poczucia wspólnoty, odrodzenia uczuć patriotycznych i chęci obrony naszych wartości nie ma mowy o skutecznej obronie oraz sprawnej armii.

W tym przypadku przed rządzącymi stoi jeszcze jedno ważne zadanie. Warto, abyśmy skorzystali z doświadczeń Litwy, której liderzy przed przywróceniem w 2015 r. powszechnej służby w wojsku doprowadzili do „zgody narodowej”. Chodzi o porozumienie podpisywane raz na cztery lata, w którym uczestniczą wszystkie partie polityczne. W jego ramach określa się działania związane z obronnością i polityką zagraniczną, a potem nie toczy się gorszących, a cieszących wrogów, sporów na temat każdej decyzji w tych obszarach. Jeśli chcemy, aby młodzi obywatele Rzeczypospolitej z większą sympatią postrzegali obowiązek służby w siłach zbrojnych, musimy nie tylko zbudować nowoczesny i elastyczny system szkolenia, lecz także pokazać, że dla polityków i opiniotwórczych elit chęć obrony naszej wspólnoty jest tym, co łączy i skłania do zawieszenia sporów oraz zasypywania podziałów.



Tu jest Polska!

wPolsce 24

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52
telewizja
naziemna

192
netia 

32


825
 vectra

196
polsat box 

339 dekoder
Mediabox
PLAY

121 dekodery
KAON i Horizon
dawniej UPC

eprasa.pl/b56cbeaccc

Pokaż mi swój tatuaż, a powiem ci, w jakim gangu jesteś



Z roku na rok populacja ludzi wytatuowanych przyrasta w tempie geometrycznym, a lato staje się pretekstem już nie tyle do odkrywania ciał, ile epatorwania pomysłowością w pokrywaniu ich wzorami. Kultura obrazkowa z impetem wkroczyła na skórę, a popularność tej mody zdaje się kneblować usta wszystkim tym, którym tatuaż kojarzy się raczej z więziennym półświatkiem lub z wytatuowanymi od stóp do głów latynoskimi gangami i rosyjską mafią

Czy mogą się państwo pochwalić jakąś solidną „dziarą”? Nie? To zdaje się, że razem należymy już do mniejszości, która wciąż chodzi po świecie w stroju Adama lub Ewy, a bez tak modnych dziś malunków na skórze.

Jeszcze całkiem niedawno, bo w 2006 r., oglądaliśmy „Apocalpto” Mela Gibsona i z przestachem patrzyliśmy na osobników prymitywnych plemion prekolumbijskich, którzy wymyślnie tatuowali sobie ciała, przekłuwali nosy,



MAŁGORZATA WOŁCZYK

perforowali wargi, aby nadrobić wyglądem braki w uzbrojeniu odstraszającym wroga. Dziś, by użyć nieco ryzykownej metafory, „Apocalpto” oglądamy na

ulicach naszych miast, na plażach i basenach. Zniesmaczeni modą na eksperymentowanie z ciałem powtarzamy sobie w duchu za Hugh Grantem, który zapytany w wywiadzie, czy ma jakiś tatuaż, odpowiedział mniej więcej tak: „A czy gdybyś ty miał bentleya, to przylepiałbyś do niego naklejki?”. Oczywiście gustowny lub dyskretny tatuaż może czasem rzeczywiście pokryć nieestetyczne blizny lub przypominać o kimś ważnym, kto naznaczył nasze życie. Czy aby jednak ci, którzy ślepo podążają za modą i tatuują sobie coraz większe partie ciała, są świadomi konsekwencji?

CZYM TO GROZI?

Zanim jednak dokonamy przeglądu tatuaży, aby uświadomić co niektórym, do jakiego gangu nie chcący się zapisali, pora przypomnieć, że nie jest to obojętne dla zdrowia. Oczywiście odkąd arabski na skórze stały się pożądanym towarem, bohaterem festiwalu, pokazów i symbolem nowoczesnego stylu niespecjalnie ochoczo mówi się o ich fatalnym wpły-



łagodny stan zapalny, który z kolei może prowadzić do nowotworu. Takie podejzenia pojawiły się już blisko dekadę temu w niemieckich i francuskich ośrodkach badawczych, ale mówienie o tym nie jest mile widziane.

Wiadomo też, że skład chemiczny tuszu jest zróżnicowany i może obejmować wszystko: od pigmentów organicznych po zanieczyszczenia zawierające metale ciężkie (nikiel, chrom, mangan czy kobalt), stąd częste reakcje uczuleniowe i swędzenie. Podejrzewa się, że aż 40 proc. barwników używanych w Europie nie ma certyfikatu, a salony niespecjalnie kwapią się do podawania wiarygodnych informacji. Najmniej ryzykowny jest barwnik czarny, najbardziej czerwony ze względu na domieszkę rtęci.

Tataże mogą utrudniać diagnostykę chorób i nie chodzi tylko o ocenę jakiegoś podejrzanego znamienia, ale o bardziej złożone przypadki. Czy młodociani klienci salonów są świadomi konsekwencji na całe życie? Czy raczej dali sobie wmówić, że zrobienie „dziary” to przejaw oryginalnej osobowości (osobowości stadnie „wydzieranej”).

wie. Szwedzi zajmują drugą pozycję na świecie (tuż po Włochach, u których aż 48 proc. obywateli szczyci się choć jednym tatuażem), dlatego skorzystali z obfitej grupy badawczej, aby ujawnić przykrą prawdę.

Naukowcy z Uniwersytetu w Lundzie opublikowali w „eClinicalMedicine” dane na temat związku między tatuażem a chłoniakiem, nowotworem rozpoczynającym się w komórkach układu limfatycznego. Christel Nielsen, kierownik badań, wyjaśniła w oświadczeniu: „Gdy tusz jest wstrzykiwany w skórę, organizm interpretuje go jako niepożądane ciało obce i jego spora część jest transportowana ze skóry do węzłów chłonnych, gdzie się odkłada”. W badaniu wzięło udział 11 905 osób, 2938 spośród nich cierpiało na chłoniaka, bo ryzyko zachorowania na ten nowotwór jest aż o 21 proc. wyższe wśród osób wytatuowanych. Co ciekawe, zapadalność na nowotwór nie ma związku z wielkością wytatuowanej powierzchni. Niezależnie od tego, czy to biedronka, czy cała dżungla na plecach, każde wprowadzenie tuszu powoduje w organizmie

Nauczmy się czytać dzisiejsze przesłania tak obficie płynące do nas z barków, ramion, karków, łydek, a czasem nawet z zapisanych głów

„TATUUAJĄ SIĘ TYLKO DZIKUSY LUB ZBRÓDNIARZE”

Historia malunków na skórze mogłaby być rozpisana na tomy, ale nie mamy tu miejsca, aby pochylać się nad tatuażami od czasu prehistorycznych mumii po schwytych i wystawianych w obwoźnych cyrkach wytatuowanych osobników z zamorskich krain.

Pierwszym antropologiem, który dość niedwuznacznie wyraził się na ten temat, był Cesare Lombroso (1835–1905), profesor i jeden z twórców włoskiej szkoły

kryminologii, który stwierdził, że „kto się tatuuje, ten musi przynależać albo do dzikusów, albo do zbrodniarzy”. Takie hasło raczej nie przysporzyłoby dziś popularności salonom tatuażu i obraziłoby uczucia osób „wydzieranych”. Nauczmy się więc czytać dzisiejsze przesłania tak obficie płynące do nas z barków, ramion, karków, łydek, a czasem nawet z zapisanych głów.

Ktokolwiek widzi np. posła Koalicji Obywatelskiej Marcina Józefaciuka, a nie jest już młodzieniaszkiem ani sympatykiem lewicy, ten mimowolnie ulega skojarzeniom z rosyjską mafią lub najokrutniejszym latynoskim gangiem MS-13. Nie trzeba się kajać za takie skojarzenia, skoro nawet FBI uznało oczywistość relacji między tatuowanym ciałem a kryminalistami i już w 2016 r. rozpoczęło opracowywanie „technologii rozpoznawania tatuaży”, aby łapać przestępców. Larum szybko jednak podniosły organizacje chroniące prawa i wolności człowieka, np. Electronic Frontier Foundation (EFF), według której „tatuaże reprezentują wolność słowa, którą nosimy na skórze”, a próby śledzenia czy identyfikowania ludzi za pomocą analizy ich ekspresji na

skórze powinny budzić obawy dotyczące wolności słowa na mocy pierwszej poprawki do konstytucji Stanów Zjednoczonych. Oficjalnie zatem słuch o tym projekcie, który finalnie miał zebrać bazę 100 tys. tatuaży osób aresztowanych i który tak zdenerwował mainstream, zaginął. A przecież wiadomo, że tatuaż podejrzanego nie raz ułatwił pracę organom ścigania.

JAK CV PRZESTĘPCY

Donald Trump był prezydentem, który wydał wojnę gangom Latynosów. Oprócz okrutnych praktyk wsławiły się one tatuowaniem ciał od stóp do głów, co pozwoliło ich łatwo wyłapywać i deportować. Właściwie USA już od lat 90. XX w. starały się pozbyć pochodzących z Salwadoru i Hondurasu brutalnych organizacji przestępczych zwanych Mara Salvatrucha (MS-13) i Barrio 18, stworzonych w Kalifornii, a dokładnie w Los Angeles. Po dojściu do władzy prezydenta Salwadoru



Nayiba Bukele deportowani do swych ojczyzn przestępcy siedzą już w kłatkach lub nowoczesnych więzieniach bez kontaktu ze światem.

Najciekawszy jest jednak fakt, że to właśnie te gangi spopularyzowały w obu Amerykach pewne kody i symbole umieszczane na ciałach, które przyjęły się szerzej i nieświadomie bywają powielane nawet u nas. Te tatuaże są kwestią tożsamości i lojalności wobec gangów, informują o randze osobnika, „zasługach” (czytaj: zbrodniach, gwałtach, wymuszeniach), mogą być czynnikiem decydującym o aresztowaniu, a także służą przetrwaniu w więzieniu, aby dostać się pod kuratelę swoich. Tatuaż na całym ciele (czasem tylko z wyjątkiem białek oczu) to swoisty uniform i alfabet, w którym spisano najważniejsze informacje o swoim kryminalnym CV. Nieoczekiwanie dla nas, „normalsów”, motywy religijne są na porządku dziennym w wymienionych dwóch najsłynniejszych organizacjach przestępczych. Oto przykładowe symbole, którymi ci gangsterzy zdobia swoje ciała.

- Dłonie związane do modlitwy – wyrażenie gestu skrucy: „Wybacz mi, moja matko, moje przestępcze życie”. Jest to ponoć manifestacja żalu za obrany styl życia, a także informacja, że delikwent

musi trwać w gangu, bo inaczej matka stanie się ofiarą zemsty.

- Drut kolczasty lub ciernie na przedramieniu – pełne, niewolnicze oddanie sprawom gangu i jego kodeksowi.
- Dziewica z Guadalupe – szczególnie popularna wśród członków gangu Barrio 18, którego założyciele są pochodzenia meksykańskiego. Jest apelem do Maryi o ochronę przed wrogami, czyli rywalami z innych gangów.
- Twarz Jezusa Chrystusa z długą brodą i koroną cierniową – jest typowa dla najgroźniejszego gangu MS-13, przy czym jego członkowie dbają o to, by mała litera „M” była widoczna na czubku korony, a litera „S” – na brodzie.

Oczywiście popularność motywów religijnych w niczym nie przeszkadza im w praktykowaniu satanizmu i okultyzmu, a prowizoryczne ołtarze dla szatana pozwalają śledczym tym łatwiej identyfikować członków obu gangów.

Idźmy jednak dalej, aby tropić symbole, które z Kalifornii rozpowszechniły się na cały świat. Łza pod okiem świadczy, że mamy do czynienia z mordercą lub skazanym na dożywocie. Pajęcza sieć oznacza uzależnienie od narkotyków albo długą odsiadkę w więzieniu. Trzy punkty tworzące trójkąt – życie związane z przestępczością. Koniczyna symbolizuje przynależność do nazistów. Gra karciana lub karty to symbol hazardzisty i ryzykanta. Warcząca bestia ma wyrażać silną osobowość, życie na krawędzi i dumę z powodu uwikłania w przestępcze życie. Kłauz lub pajac to znak, że zabiło się policjanta. Diabeł tasmański w charakterystycznej postaci z kreskówki oznacza powiązanie z kradzieżami lub rozbójami. Kreskówkowy Speedy González lub Struś Pędziwiatr wskazują na udział w gangu motocyklowym.

Indianie, czarodzieje, czarownice, czaszki, węże, ośmiornice, pajaki, ryby, anioły, święci i demony to częste obrazy na ciałach więźniów, i to niezależnie od tego, czy mowa o członkach organizacji przestępczych w Kalifornii, czy w Moskwie.

Niestety, więźniowie nie chcą „sypać” nawet odnośnie do znaczenia pewnych tatuaży, dlatego wiedzę o tym odkrywa się po przeanalizowaniu kartotek zbrodniarzy. W ten sposób dowiedziano się, że tatuaż jokera to pogarda dla życia i duma z bycia szaleńcem lub kryminalistą. Co ważne, ludzie wytatuowani a wybierający

się do Kalifornii lub Ameryki Środkowej powinni zachować ostrożność, aby nie stać się przypadkiem zwierzyną łowną dla gangów, które identyfikują człowieka na podstawie tatuażu.

TATUAŻ NA SALONACH

Mimo że policjanci na całym świecie starają się poznać kody, które stoją za pewnymi powtarzalnymi tatuażami w półświatku, to gwałtownie zaprzeczają, aby dyskryminowali lub uznawali „dziarę” jako dowód w sprawie. Tatuaż jest tylko wskazówką mogącą naprowadzić na identyfikację podejrzanych, ale nigdy nie stanowi o rozstrzygnięciu winy.

Ponieważ tatuaż triumfalnie wkroczył na salony świata, w tym nadwiślańskiego, dziś usiłuje się zdjąć z niego więziennokryminalne odium, tak popularne również w ZSRR. Powstała nawet trzytomowa „Encyklopedia tatuażu rosyjskich kryminalistów” wykorzystująca materiały etnografa amatora Danziga Baldajewa, strażnika więziennego zafascynowanego subkulturą więzienną.

Tatuaż przestał być też domeną „silnych mężczyzn”, u nas być może za sprawą Martyny Wojciechowskiej czy Agnieszki Chylińskiej. Obie były pionierkami w tej nietuzinkowej chęci przedstawienia się jako „babki z jajami”. Nam, wstrzemięźliwym w tym zakresie, pozostaje zachodzić w głowę, jakim cudem kobiety znoszą monotonię „dziary”, gdy jednocześnie brzydzą się powtarzaniem „stylówki”? Bywają jednak mody pozarozumowe, których konsekwencje poznamy dopiero na starość. Kogo nie będzie stać na drogi zabieg usunięcia tatuażu, ten zapewne rozmiłuje się w swetrach typu golf (z pomocą przyjdą też burki i hidżaby). Algorytm w wyszukiwarce podpowiada, że wiele osób ma dylemat moralny i sprawdza, czy tatuaż aby nie jest grzechem, bo biblijne zdanie: „Nie będziecie się tatuować” (Kpł 19,28) brzmi jednoznacznie dla każdego, kto czuje się stworzony „na obraz i podobieństwo” samego Boga.

Złośliwie dodam, że jeśli za 30 lat trafi mi się pobyt w sanatorium, to ufam, że rozszyfrowywanie ślaczalnych tygrysków, utuczonych fałdą brzucha kotków lub zwiedniętych różyczek na pomarszczonej skórze kuracjuszy będzie tam dla mnie największą rozrywką.

K

ULTURY

„Myszę, że Kate Winslet nie wystarczyło już bycie aktorką. Chciała mieć większy wpływ na tworzone projekty” – mówi Paweł Edelman. „Widziałem osobę, która dojrzewa do tworzenia własnej wizji. Podobnie jak Lee Miller, bohaterka filmu »Lee. Na własne oczy«”

Po drugiej stronie obiektywu

Fot. Monolith Films



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Miałem okazję obserwować Kate Winslet na planach trzech filmów, które z nią robiłem – wspomina Paweł Edelman. „Widziałem osobę, która ze ślicznej, utalentowanej aktorki dojrzewa do bycia współtwórczynią filmu jako pewnej idei”. Podobną transycję przeszła bohaterka filmu, którego Winslet jest producentką i w którym zagrała główną rolę. Lee Miller przeszła drogę od obiektu fotografowanego do pozycji osoby, która sama sięga po aparat i wybiera temat zdjęć.

WSZYSCY LUDZIE KRÓLA

Znakomity operator mówi, że pierwszy raz pracował z Kate Winslet 20 lat temu przy filmie „All The King’s Men”. Potem spotkali się ok. 2010 r., gdy Roman Polański realizował „Rzeź”. Za trzecim razem połączył ich film „Lee. Na własne oczy”, którego reżyserii podjęła się ceniona amerykańska operatorka o polskich korzeniach Ellen Kuras.

Kate Winslet była inicjatorem ostatniego projektu, znalazła niezwykłą bohaterkę i postanowiła nakręcić film o fascynującej historii Lee Miller – Amerykanki, muzy surrealistów (portretowanej m.in. przez Picassa) zadowolonej w świecie paryskiej bohemy, a także modelki „Vogue’a”, która najpierw postanowiła stanąć po drugiej stronie obiektywu, a potem kreacje od Chanel zamieniła na żołnierski helm. Z aparatem fotograficznym wyruszyła na wojnę.

„Nie będę pierwszą dziennikarką w Paryżu” – pisała w przeddzień wkroczenia aliantów do stolicy Francji – lecz myślę, że będę tam pierwszą fotoreporterką, jeśli ktoś inny nie zeskoczy na spadochronie”.

WOJENNE POŃCZOCHY

Jako korespondentka brytyjskiej edycji „Vogue’a”, próbowała relacjonować światu tragiczną prawdę o kulisach II wojny światowej. Docierała do miejsc, do których



nie mógł wejść mężczyzna, a że potrafiła dostrzegać znaczące detale, uwieczniała ślady normalności w wojennej poźodze.

Tak powstały zdjęcia z suszącą się w kwaterze żołnerek bielizną i pończochami. Przede wszystkim jednak dokumentowała z bliska życie i ofiarę żołnierzy, cierpienie cywilów i koszmar niemieckich obozów koncentracyjnych. Ówczesne media nie były jednak gotowe na aż tak drastyczne relacje. Jeśli już, to publikowały słynne dziś zdjęcie 38-letniej Miller pozującej w wannie w łazience Adolfa Hitlera.

UKRYTE NA STRYCHU

Lee Miller przypłaciła wojenne przeżycia depresją, uzależnieniem od leków i alkoholu. Kiedy nastał pokój, na długie lata odcięła się od fotografii. Wyszła za mąż za angielskiego artystę i arystokratę Rolanda Penrose’a, z którym doczekała się syna. Zmarła w 1977 r.

Gdyby jej syn nie odnalazł na strychu tysięcy klisz i stykówek z czasów wojny, świat mógłby zapamiętać Lee jedynie jako ekscentryczną mużę i piękną modelkę „Vogue’a”. Ale i tak nie od razu fotoreporterski dorobek Miller dotarł do ludzi. Minęło trochę lat, nim rodzina uporządkowała i udostępniła odkryte materiały. Z czasem niezwykle barwne życie Lee – jak nazywali ją przyjaciele – stało się inspiracją do różnego rodzaju publikacji, zaczęło też inspirować twórców. Dla Kate Winslet opowieść o Lee Miller stała się przepustką do producenckiego świata.

ROMANTYCZNA I RÓŻNORODNA

Kate Winslet, urodzona 5 października 1975 r. w brytyjskim mieście Reading, od dzieciństwa miała kontakt ze światem filmu. Jej rodzice są aktorami. Jako

15-latką zadebiutowała w serialu „Dark Season”, cztery lata później trafiła na duży ekran, ale popularność (i pierwszą nominację do Oscara) przyniósł jej film „Rozważna i romantyczna” (1995) Anga Lee, gdzie partnerowała Emmie Thompson (nominowanej za rolę i nagrodzonej Oscarem za scenariusz).

Na gwiazdorską orbitę wypłynęła dzięki najdroższemu i najbardziej reklamowanemu filmowi w historii kina – „Titanicowi” (1997) Jamesa Camerona.

Z powodzeniem występowała w bardzo różnych gatunkowo obrazach. Była Ofelią w filmowej wersji „Hamleta” Kennetha Branagha, zagrała m.in. w komediadramacie „Zakochany bez pamięci” (2004), w nagrodzonym za muzykę Jana A.P. Kaczmarka „Marzycielu” czy wciąż przypominanej w czasie świąt komedii romantycznej „Holiday” (2006).

NA KARUZELI ŻYCIA

Oscara za rolę pierwszoplanową zdobyła dzięki filmowi „Lektor” (2009). Doceniano jej udział m.in. w takich produkcjach, jak wspomniana „Rzeź” (2011) Romana Polańskiego, „Steve Jobs” (2015) Danny’ego Boyle’a czy „Na karuzeli życia” Woody’ego Allena (2017). W 2022 r. użyczyła wizerunku jednej z głównych postaci filmu „Avatar: Istoty wody”.

Nie boi się wcielać w postaci mało atrakcyjne fizycznie. Miniserial „Mary z Easttown” (2021), którego była też producentem wykonawczym, przyniósł jej nagrodę Złotego Globu i Emmy za główną rolę. W tym roku jest gwiazdą miniserialu „Reżim”, w którym stworzyła postać autorytarnej przywódczyni fikcyjnego narodu.

Trzy razy wychodziła za mąż. Jest mamą 24-letniej córki i dwóch synów: 21-letniego i 11-letniego.



Melpomena w uścisku lewicy

Repertuary kilku warszawskich scen pokazują, że uprawia się w nich wyłącznie lewicową agitację. Polityka od dawna próbuje zawładnąć polskim teatrem. Potwierdza to zapowiedź wymiany dyrekcji Teatru Narodowego



MACIEJ WALASZCZYK

Zespół Teatru Narodowego w Warszawie nieoczekiwanie skierował list do minister kultury Hanny Wróblewskiej. Mimo jej wcześniejszych zapewnień, tak przynajmniej wynika z jego treści, rząd podobnie jak w kilkunastu innych instytucjach kultury planuje wymianę dyrekcji. Teatr Narodowy to faktycznie placówka strategiczna. Chodzi o dyrektora naczelnego Krzysztofa Torończyka, który pełni tę funkcję już od 1998 r., oraz dyrektora artystycznego Jana Englerta, który jest nim od ponad 20 lat.

Artyści napisali wprost, że decyzja rządu jest dla nich „niezrozumiała” i „niepokojąca”. Co więcej, są nawet przekonani, że doprowadzi ona do destabilizacji teatru. List opublikował portal e-teatr, a potem informację

Fot. Wojciech Olkusz/Real News

na ten temat powieliło kilka innych. Szokiem dla aktorów okazał się jednak fakt, że list, pod którym nie ma ani jednego nazwiska, nie został opublikowany w depeszach PAP, do której również został przekazany. Zresztą zdaje się, że przestraszyli się konsekwencji, jakie może mieć awantura, wciąż licząc na „konstruktywny dialog” z władzą. Tą samą, która z drzwiami weszła do TVP, PAP i Polskiego Radia, podeptała konstytucję i ustawy tylko po to, by zaprowadzić własne porządki.

NARODOWY Z SUKCESEM

Faktycznie, bilans Teatru Narodowego pod obecnym kierownictwem jest pasmem sukcesów, co miała także przyznawać sama minister. Nie zostały one okupione obniżeniem poziomu artystycznego i wystawianiem łatwej oraz przyjemnej chałtury. Choćby teraz czeka nas premiera „Fausta”, z afisza nie schodzą „Maria Stuart”, „Czekając na Godot’a”, „Król Lear” czy „Kordian”. Repertuarowa polityka dawała pierwszeństwo klasyce narodowej i europejskiej, a także możliwość szerszego wychodzenia poza nią. Wejściówki są zazwyczaj wyprzedane kilka tygodni przed terminem, a spektakle cieszą się 100-proc. frekwencją. Zespół teatru wskazuje też na bardzo dobre relacje z kierownictwem, stabilizację finansową, komfort pracy. Ich utrata to pewnie główny motyw wyrażonego w liście niepokoju. Na tak kruchym gruncie można żywić obawy przed gwałtownymi zmianami.

Jednym z głównych argumentów podnoszonych w liście do minister Wróblewskiej jest programowa apolityczność sceny narodowej. „Nasz teatr nigdy za Jego dykcji nie stał się trybuną polityczną” – podkreślono. Być może artyści nie rozumieją albo nie chcą uwierzyć, że owa apolityczność, a więc skupienie się na pracy, niewchodzenie na pole rewolucji teatralnej, która przetacza się przez krajowe sceny, omijanie szerokim łukiem nie tyle inscenizacji mogących zostać odczytane jako „prawicowe”, ile po prostu pokojowa koegzystencja z rzą-

dami prawicy oraz wyciąganie z tego tytułu pewnych profitów zostały zapamiętane przez tzw. środowisko jako kolaboracja. Oczekiwano przecież wypowiedzenia posłuszeństwa poprzedniej władzy, a nawet scenicznego „aktywizmu”. Może tylko ja mam takie szczęście, ale w każdym z odwiedzanych przeze mnie teatrów do różnego rodzaju sztuk wplatane są polityczne „antypisowskie” aluzje i parodystyczne gagi. Teraz żadne odwetu i władzy „środowisko” wystawia rachunek za normalność.

„MAFIA TEATRALNA”

Teatr to fascynująca instytucja. Na jego deskach śledzimy starcie racji, konflikty i odwieczne dylematy, które pozwalają nam z dystansem się w nich rozpoznać. Za teatralnymi kulisami mają też miejsce wzloty i upadki karier, a także coraz częściej konflikty wybuchające po próbach zmian dyrektorów. Od wielu lat toczy się prawdziwa wojna o przejęcie teatrów w ogóle, szczególnie tych utrzymywanych przez państwo i samorządy. Prywatne muszą zarabiać i grać rzeczy sprzedające się, a więc raczej lekkie i dla rozrywki. Nie wchodzi w lewicującą, postdramatyczną sztukę zaangażowaną politycznie czy wymagającą klasykę. Co najmniej połowę widowni teatrów w ogóle stanowią bowiem ludzie chcący od czasu do czasu pobyć przez dwie, trzy godziny w innym świecie, zobaczyć znane twarze, najczęściej telewizyjno-filmowe gwiazdy przyciągające ich uwagę.

Batalia o przyszłość tej sztuki toczy się jednak od dawna, a marginalne jeszcze kilkanaście lat temu środowisko urosło w destrukcyjną siłę. Często w swoich tekstach uczulali na to m.in. Bronisław Wildstein, Wojciech Tomczyk czy Mateusz Werner. To chyba kluczowe pole rozpętanego przez lewicę konfliktu kulturowego. W jej wizji wszystko ma być jak w teatrze – role można dowolnie zmieniać, zasady są płynne, hierarchie obalone, religia zdemistyfikowana, a oni sami poza sporem.

Przed rokiem na łamach pisma „Dialog Puzyny. Przejęte”, utrzymanego przez Radę m.st. Warszawy, zresztą

za sprawą kandydującej wówczas do Sejmu z ramienia Nowej Lewicy radnej Agaty Diduszek-Zyglewskiej, został opublikowany tekst pt. „Instytut Ambiwalencji” Joanny Krakowskiej. Celem publikacji było wykazanie dewastacji dokonanych w „przejętych” instytucjach kultury w czasach rządów PiS. Na tekst odpowiedział Rafał Węgrzyniak, niestety dziś już nieżyjący, który trafnie ironizował, że w czasie „jakoby totalitarnych” rządów prawicy w kulturze niemal wszystkie nagrody teatralne, nie tylko w konkursach rozpisywanych przez ministerstwo, otrzymywali twórcy lewicowi, na dodatek często pozostający w konflikcie z rządzącą partią. Celnie rozpoznawał strategię tego środowiska i fakt, że kolonizujący teatr lewicowo-liberalny establishment „tylko sobie przyznaje prawo do pracy na etatach i to kilku, a następnie do pobierania wysokiej emerytury”. Ale problem zaczyna się, gdy to mianowani przez prawicę dyrektorzy zatrudniają w instytucjach kultury osoby z właściwym wykształceniem, lecz – co najistotniejsze – z nieodpowiednimi poglądami politycznymi.

Węgrzyniak w wielu świetnych tekstach, w tym opublikowanym już w 2007 r. pt. „Nowa lewica w teatrze”, przestrzegał przed ekspansją radykalnej lewicy i jej marszem przez instytucje kultury. „Jesteśmy świadkami próby zaanektowania młodego teatru przez nową lewicę, uczynienia z niego instrumentu walki politycznej i perswazji ideologicznej” – pisał. Miał oczywiście rację, którą niewiele mu ją wówczas przyznawało. Przestrzegał, że środowisko to zamierza kontrolować teatr całościowo, m.in. pod względem teoretycznym, choćby radykalnie rewidując jego historię poprzez, jak podkreślał, pozbawienie go narodowego i niepodległościowego charakteru oraz odesłanie jego tradycji do lamusa. Także poprzez narzucenie temu współczesnemu teatrowi zupełnie nowego dyskursu, czego jesteśmy dziś świadkami, zmonopolizowania recenzji pojawiających się w mediach, również debaty o jego zaangażowaniu politycznym i społecznym. Przypo-

mniał wówczas rolę, jaką w tej rewolucji odegrał Maciej Nowak, założyciel Instytutu Teatralnego.

To ten związany ze środowiskiem „Gazety Wyborczej” krytyk i kreowany na celebrytę zadeklarowany homoseksualista szczepił idee rewolucji w teatrze na gruncie ogólnopolskim. Wcześniej testował je w Teatrze Wybrzeże, będącym, jak pisał Węgrzyniak, „poligonem doświadczalnym teatru antykapitalistycznego”. 20 lat temu były to spektakle o żonach polskich żołnierzy uczestniczących w agresji na Irak („Padnij”), „zagrożeniu” neonazizmem („Nasi”), podziemiu aborcyjnym („Przebitka”) czy ciężkim losie prostytutki z krajów postsowieckich („Kobiety zza wschodniej”). Potem przyszedł czas na „Mszę” Żmijewskiego, a następnie „Kłątwe”.

AGITACJA NA SCENIE

Dzisiaj tego rodzaju rewolucyjna twórczość to chleb powszedni wielu stolicznych scen. Jeśli Krakowska ironizowała z ostrzeżeń Węgrzyniaka widzącego w nich „gejowski klub, do którego wpuszcza się tylko egzegetów Lenina”, to faktycznie tak się stało.

Teatr Studio wystawia np. „Panie władzo, to są tylko tańce” na podstawie tekstu feministycznej aktywistki Klementyny Suchanow, „wydobyciającej z mroku struktury chrześcijańskiego fundamentalizmu”, sposoby jego wnikania „w tkanki rządów i instytucji, w nasze codzienne życie i w nasze ciała”. Sztuka ta jest podobno pokłosiem proaborcyjnych protestów z 2020 r. Mamy też „Berlin Alexanderplatz” na podstawie prozy Alfreda Döblina, mający być w dzisiejszych realiach zaktualizowanym „ostrzeżeniem” przed odradzającym się faszyzmem i nacjonalizmem. Oczywiście w Polsce. „Hamer” to znów historia „mistrzyni pływania i biseksualnej kobiety z niepełnosprawnością” i pytaniem o „miejsce, w którym jesteśmy jako społeczeństwo, o miejsce w nim kobiet i osób nienormatywnych”. Albo „Koniec z Eddym” Anny Smolar o „doświadczeniu systemowego ucisku”,

czyli historia młodego geja z robotniczej rodziny, upokarzanego przez kolegów i własną rodzinę. Reżyserka jest córką Aleksandra Smolara, prezesa Fundacji Batorego, by nie sięgać głębiej do KPP-owskich korzeni tej rodziny. „Krasz” to znów dystopijna przypowieść mająca być „krytyką cyfrowego kapitalizmu” i zniewalających nas wirtualnych fikcji. Faktycznie to jednak quasi-pornograficzna opowieść o piracie drogowym, który onanizuje się, oglądając symulacje wypadków samochodowych, a potem „estetyzuje je w dzieła sztuki”.

Artyści Teatru Narodowego napisali wprost, że decyzja rządu jest dla nich „niezrozumiała” i „niepokojąca”. Co więcej, są nawet przekonani, że doprowadzi ona do destabilizacji teatru

W sąsiadującym ze Studiem Teatrze Dramatycznym mamy to samo. Jak wiadomo, w spadku po byłej już dyrektorce Monice Strzępce grają tam „Kinky Botoks”, będącą rodzajem współczesnej socrealistycznej przypowieści o „zbawczej” roli LGTB+, gdzie spadkobierca bankrutującej fabryki butów znajduje w Loli, „wystrzałowej drag queen o zabójczym głosie”, ratunek dla firmy i miejsc pracy, tworząc seksowne damskie obuwie dla mężczyzn. Dla równowagi można też pójść na spektakl o patologicznej naturze relacji damsko-męskich. Np. „Miłość od ostatniego wejrzenia” Vedraly Rudan o życiu w „przemocowym związku” albo „I że cię nie opuszczę” na temat „wprawionego w ruch mechanizmu przemocy jako narzędziu kontroli i wyrazie despotycznej miłości”. Jak wiadomo, w teatrze agita-cyjnym należy odpowiednio przetwo-

rzyć najwybitniejszą nawet klasykę, by wyzyskać jej siłę dla celów rewolucyjnych. By tego doświadczyć, możemy wybrać się na dramaty o „niedofinansowanej, przeludnionej przestrzeni” leżącej nieopodal Brukseli. „Antygona z Molenbeek” to bowiem opowieść o Arabce, współczesnej Antygonie, która nie może wydobyć z kostnicy ciała swojego brata, muzułmańskiego terrorysty.

A na koniec emblematyczny przykład oferty repertuarowej Teatru Powszechnego i kierowanej chyba dla najtwardszych amatorów mocnych wrażeń. Chodzi o sztukę pt. „Radio Mariia” Rozy Sarkisian, uznawanej za „najoryginalniejszą i najbardziej przewrotną twórczynię teatralną Ukrainy”. Jej fragmentaryczna fabuła to zdaje się wysokoprocentowy destylat o zabarwieniu orwellowskim, uzyskany z politycznych fantazji czytelników „Gazety Wyborczej” i całego lewicowego półświatka. To wizja Polski bez katolicyzmu, w której o Rydzyk jest ścigany przez państwo, na plebaniach mieszkają uchodźcy, kościoły zmieniły się w sale koncertowe lub sklepy, katolików wysyła się na terapie do psychuszek, w czasie Bożego Ciała czczone jest „boskie ciało” obnażających się kobiet, a wszyscy wyznają religię praw człowieka.

Dla naszej prawicy, „bohatersko” skrwawionej walką z pandemią, „Piątką dla zwierząt”, rozrzucającej ludowi forsy z helikopterów, lecz godzącej się na Zielony Ład i wbrew własnemu powołaniu potrafiącej być silną wobec słabych, ale już słabą wobec silnych, wizyta na tym spektaklu byłaby dobrym „ćwiczeniem z radykalnej wyobraźni”.

W świecie artystycznych nowatorów prowokatorów nie ma miejsca dla Boga, piękna czy prawdy, jest tylko chaos. Lewica dąży do zniszczenia zastanego porządku i ustanowienia własnej arbitralnej władzy. Jej zwycięstwo w kulturze, także w niszczeniu z pozoru teatrze, o szkole i mediach nie mówiąc, pociąga za sobą ogromne konsekwencje polityczne.

Niech zdycha

Dziecko urodziło się żywe mimo aborcji. Przez ponad godzinę płakało, krzychało. Świadkowie mówią, że tego krzyku nie da się zapomnieć. Zespół medyczny nie podjął żadnych działań mogących uratować dziecku życie. Niewinny maluch skonał po godzinie płaczu. To wydarzenie miało miejsce kilka lat temu w szpitalu im. Świętej Rodziny w Warszawie.

Anna Maria Żukowska: „W Szwecji płodów z oznakami życia się nie ratuje, tylko czeka, aż przestaną oddychać”. Oznacza to, że lekarze i pielęgniarki patrzą na wyjęte z matki dziecko, widzą, jak się dusi, płacze, kwili i umiera w męczarniach. Gdyby przedwczesny poród nastąpił samoistnie, takie dziecko byłoby ratowane.

W Polsce za niezdolne do życia uważa się dziecko do 24 tygodnia ciąży. Nawet gdy istnieje szansa na uratowanie życia dziecka urodzonego w trakcie aborcji, według polskich procedur pozostawia się je, by umarło. Szpital Serca Jezusowego w Środzie Wielkopolskiej tak opisuje tę procedurę: „W sytuacji żywych urodzeń będących skutkiem dokonanego przerwania ciąży, poronienie odbywa się w osobnym pomieszczeniu, płód niezdolny do życia jest zabezpieczony pod względem komfortu cieplnego do samoistnego ustania funkcji życiowych”.

Badania „British Journal of Obstetrics and Gynaecology” wskazują, że każdego roku co najmniej 10 proc. dzieci w wieku powyżej 23 tygodnia od poczęcia przeżywa aborcję. Najmłodszy uratowany wcześniak urodził się w USA w 22 tygodniu ciąży. W Stanach Zjednoczonych żyje co najmniej 44 tys. osób, które przeżyły swoją aborcję.

Kilkanaście dni temu Ministerstwo Zdrowia przygotowało nowe wytyczne dla lekarzy w sprawie aborcji. Zgodnie z nimi można jej dokonać, jeśli kobieta twierdzi, że ciąża zagraża jej zdrowiu psychicznemu i ma zaświadczenie o tym

od psychiatry. Oznacza to aborcję na życzenie. Czy do 9 miesiąca ciąży?

Kilka tygodni temu w polskim Sejmie głosowano nad projektem ustawy, zgodnie z którą osoby przerywające ciążę za zgodą matki, ale wbrew prawu, nie byłyby zagrożone karą więzienia do trzech lat. Ustawa nie przeszła trzema głosami. Od 31 lat Polska jest krajem chroniącym życie dzieci poczętych, jednak wiele środowisk politycznych i społecznych chce powrotu do piekła kobiet sprzed 1993 r., gdy co roku zabijano 100 tys. dzieci w wyniku aborcji na życzenie.

W Niemczech każdego roku ginie 100 tys. dzieci nienarodzonych, we Francji 200 tys., w całej Unii Europejskiej zabija się ich 1,2 mln. Na całym świecie ok. 50 mln. Oznacza to, że w XXI w. zamordowano 1 mld osób.

Przyzwycailiśmy się, że co roku ponad 350 mln chrześcijan na całym świecie jest narażonych na skrajne prześladowania i dyskryminację ze względu na swą wiarę. Przyzwycailiśmy się też do rzeki niewinnej krwi, śmierci, którą zadają dzieciom lekarze, mający przecież ratować życie. Aborcja jest krwawym wyrzutem sumienia współczesnego świata.

Naela Rose była wiedźmą uprawiającą rytuały z użyciem krwi. „Uprawiałam magię i rzucałam zaklęcia, posługując się krwią dzień w dzień. Moja obsesja na punkcie krwi brała się stąd, że czułam jej siłę. Krew rzeczywiście posiada moc, tak stworzył ją Bóg – aby była nośnikiem życia. Demon nakłania nas do używania tego, co stworzył Bóg, niezgodnie z przeznaczeniem. Magia rzeczywiście działała, stałam się dzięki niej silna, dostawałam to, czego chciałam – mojego chłopaka, dom, pieniądze – wszystko za sprawą zaklęć magicznych przy użyciu krwi. Byłam w to zaangażowana naprawdę głęboko, jednak Jezus mnie uratował i dał mi zrozumienie tego, czym jest Krew



ROBERT TEKIELI

Chrystusa. To w niej jest prawdziwa siła i nie ma niczego potężniejszego. Jeśli posługujesz się krwią podczas rytuałów magicznych, możesz otrzymać to, czego w danym momencie chcesz, ale zapłacisz za to własną duszą” – ostrzega Naela Rose podczas rozmowy pt. „Dlaczego porzuciłam magię i społeczność LGBTQ”, prowadzonej przez pastora Marka Signorellego i opublikowanej na jego kanale na YouTube.

Punktem zwrotnym w jej życiu był moment, kiedy w wieku 19 lat dokonała aborcji. „To właśnie ten moment otworzył mnie na działanie złego ducha, które poskutkowało moją obsesją na punkcie krwi i rytuałów z jej użyciem. Aborcja była moją pierwszą krwawą ofiarą złożoną demonowi, choć wówczas tego nie dostrzegałam” – przyznaje Rose.

Propagowanie aborcji jest częścią kultu szatana. Wezwaniem do krwawej ofiary. By czcić zło, nie trzeba wierzyć w jego osobowe istnienie. Kult aborcyjny jest sercem współczesnej ateistycznej świeckiej religii, nienawidzącej lub lekceważącej Boga. Większość osób przyczyniających się do aborcji nie ma świadomości, że składają krwawą ofiarę ojcu kłamstwa.

Ilu aborcji dokonała odarta z wrażliwości posłanka, która ze spokojem i akceptacją mówi o dzieciach pozostawionych samym sobie, by się udusiły? 



„Skrytka”

Może być Polski kryminał w reżyserii Adriana Panka „*Kolory zła: Czerwień*” odniósł duży komercyjny sukces. W sumie zasłużenie. Młody prokurator, któremu jeszcze się chce, dostaje sprawę, która po jakimś czasie wydaje się poszukiwaniem seryjnego zabójcy. Świetne role Jakuba Gierszala i Mai Ostaszewskiej ratują ten film, ponieważ szwankuje narracja – zbyt wcześnie byłem w stanie przewidzieć zakończenie. Całość jedynie na czwórkę z minusem, tym bardziej że nawiązanie do krwawej sprawy Zatoki Sztuki okazuje się powierzchowne.

POPKULTURA

Ewentualnie Henry Cavill, Alan Ritchson, Til Schweiger, Cary Elwes – z tego combo dobry reżyser mógłby wykreślać jakąś frapującą historię. Jednak „*Ministerstwo Niebezpiecznych Drani*” jest produkcją równie pretensjonalną jak jej tytuł. Zabijanie Niemców jako rozrywka sama w sobie nudzi się już przy drugim podejściu, a niewiele tu więcej atrakcji. Postaci są wycięte z papieru, w intrydze pieprzu tyle co w solniczce, femme fatale trzeciej jakości, na szczęście niektóre sceny akcji robią wrażenie. Może też z raz udało mi się uśmiechnąć. Więc: ewentualnie.

POPKULTURA

Warte „*Skrytka*” to kameralny i wciągający thriller, którego intryga jest prowadzona pewną ręką. Do samego finału nie znamy wszystkich skrywanych przez bohaterów tajemnic.

W Chicago połowy lat 50. XX w. brytyjski krawiec, artysta, szyje wspaniałe i drogie garnitury. Stać na nie głównie bossów miejscowych rodzin mafijnych, więc przy okazji lokal stał się dyskretnym miejscem służącym do komunikacji mafiosów. Do tytułowej skrytki trafia trefna korespondencja, ale właściciel lokalu funkcjonuje całkowicie na marginesie przestępczych interesów. Tak się przynajmniej wydaje. Historia jest misterna, rozgrywka w miarę ujawniania się kolejnych aktorów i reżyserów wydarzeń coraz bardziej przypomina symultaniczne szachy w 5D. Film stoi dobrym aktorstwem – Mark Rylance i Zoey Deutch tworzą świetne kreacje. Jednak najwięcej atutów wniósł do tej produkcji Graham Moore, reżyser i scenarzysta, zdobywca Oscara za scenariusz do „*Gry tajemnic*”. Zapraszam na emocjonujący, choć nie spektakularny seans.



„Ministerstwo Niebezpiecznych Drani”



„Flash”

Warte „*Flash*” to bardzo dziwny film. Komiks z rozważaniami na temat paradoksu czasu, w dodatku momentami zabawny. Punkt wyjścia historii jest solidny, każdy z nas nie zastanawiałby się długo, czy nie zaryzykować podziurawienia czasoprzestrzeni, by uratować swoją mamę od śmierci. I zacień przetrzebiona jest Liga Sprawiedliwości: Batman się postarzał, Supergirl nie w pełni sił po wieloletnim zamknięciu w rosyjskim superwięzieniu, nie ma ani Supermana, ani Aquamana, ani Wonder Woman. Co prawda Flash ma do pomocy swoją osiemnastoletnią wersję, co zresztą pozwala, by Ezra Miller pokazał cały potencjał swojego świetnego aktorstwa. Neurotyczny superbohater z silną traumą – trzeba przyznać, że postać niebłaha do zagrania. Ale Millerowi udaje się to doskonale. Być może jest to film jedynie dla fanów komiksowych uniwersów, jednak angażuje emocje, co jest nie do przecenienia. A scena, w której główny bohater ratuje spadające z wysokości ciociową noworodki, zapadła mi w pamięć i jest w dodatku naprawdę śmieszna, więc można rzecz obeerzeć, choć za nami już czas wakacyjnego lenistwa. **Robert Tekieli, Polskie Radio**

POPKULTURA



„Niewidzialna zemsta”

Może być „*Niewidzialna zemsta*” z Orlandem Bloomem i Andie MacDowell to trochę westernowy kryminał, trochę dramat. Uzależnienie od narkotyków, śmierć żony, alkoholowa ucieczka ojca nastolatki i współwiny śmierci siostry główny bohater, bandyta, który wyrwał się z łap mafii i próbuje prowadzić normalne życie. Fabuła jest najprostszą z możliwych. Gang narkotykowy chce przejąć farmę, spotyka się z odmową, więc zaczyna się zabijanie. Wszystko zmierza ku finałowej konfrontacji, wszyscy wiedzą, jak się skończy, ale czy wymagamy więcej od kina klasy B?

POPKULTURA

Ból łagodzony miłością

Pozornie groźny meteor punkowej rewolty szybko okazał się tylko fajerwerkiem wypalonym przez maszynę show-biznesu. Jednak część odłupanych z niego odłamków zawierała wiele szlachetnych metali, np. Joy Division, The Cure, Bauhaus czy The Birthday Party. Jego podporą był Nick Cave, jeden z najbardziej intrygujących artystów ostatnich dekad. Kreowany przez media na rockowego intelektualistę (wiemy, jak żałośnie skończyło się to w przypadku Bono z U2), rzeczywiście coś z niego ma. To w końcu od dziecka czytający na potęgę syn wykładowcy literatury angielskiej i matki bibliotekarki, co musiało przynieść nieobliczalne skutki. Bo poza nagrywaniem muzyki Cave pisał też wiersze i powieści, scenariusze, a za sprawą niezwykle udanych duetów, m.in. z Kylie Minogue, zaistniał w popkulturze, nie tracąc nic ze swojej scenicznej tożsamości. Nagrywał po prostu bardzo dobre płyty, nie stając się zakładnikiem producentów i kreatorów mód.

„Wild God” to kolejny etap jego fascynującej wędrówki między liryczną i nieco ponurą rockową konwencją a poetyckimi opowieściami prowadzonymi przez labirynt zaskakujących tropów. Jak mówił, świat, o którym opowiada w swoich tekstach, zaludniają różne postacie, często groteskowe, a nawet odrażające, szalone czy naiwnie śmieszne, ale zawsze będące wykoślawionymi wersjami niego samego. Mamy tutaj wyłącznie dobre piosenki – misteryjne, wzruszające, zdawałoby się – mroczne, ale po prostu piękne i porywające („Final Rescue Attempt”, „Conversion”). Co jednak słysząc, pewnie wszystkie powstały według podobnego przepisu – przy fortepianie Cave’a. Będący ich osi akompaniament uzupełniają dyskretne gitary, trochę ambientu, sporo orkiestracji z akcentami czasem nazbyt monumentalnych waltorni. A całość tych niewyszukanych, ale ujmujących melodii została utopiona we wszechobecnych kobiecych wokalach i chórkach. Sam Cave śpiewający i recytujący, co jest jego znakiem firmowym, nigdzie nie traci swojego rockowego pazura. W „O Wow O Wow (How Wonderful She Is)” słyszymy nieżyjącą już Anitę Lane, jego dawną miłość i muzę, która zmarła w 2021 r. Jej głos pojawia się tutaj w formie telefonicznej poczty głosowej, gdzie wspomina ich wspólną... młodość. W ciągu siedmiu lat Cave utracił przede wszystkim dwójkę swoich synów. Tę muzykę przeszywa ból, który Bóg zdaje się łagodzić blaskiem swej miłości.

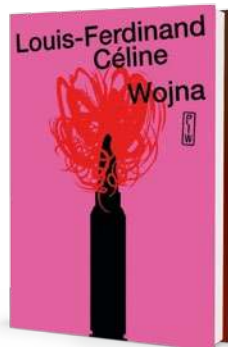
Nick Cave & The Bad Seeds, „Wild God”, 2024



Maciej Walaszczyk

W 1914 r. Céline trafia na front belgijski, już po kilku tygodniach zostaje ranny w głowę i ramię, trafia do szpitala. Tak zaczyna się ta opowieść, będąca – o czym należy pamiętać – jedynie „autobiograficzną fantasmagorią” o dusznym i pełnym okropieństw lazarecie na tyłach frontu. Jest krótka, drastyczna i zupełnie nieznaną. Jej manuskrypt przez prawie 90 lat znajdował się w jednej z dwóch dużych walizek porzuconych, a potem wykradzionych z jego domu w 1944 r., kiedy w pośpiechu uciekał z Paryża w obawie przed konsekwencjami swojej działalności w czasie okupacji. Tak naprawdę zanim wybuchła wojna zgrzeszył w oczach wielu pisaniem jadowitych antysemickich pamfletów i dezercją z obozu komunistycznego, przeobrażając się w zwolennika rewolucji narodowej i współpracy z Niemcami. Za co ponosił konsekwencje do końca życia.

Nieoczekiwanie trzy lata temu na łamach „Le Monde” ujawniono istnienie tysięcy niepublikowanych stron. W ich posiadanie wszedł, a potem ukrywał przed wdową



Plugawa wojna

po pisarzu, dziennikarzu Jean-Pierre Thibaudat. Jedni utrzymują, że „Wojna”, będąca rodzajem szkicu zawierającego wiele obscenicznych fragmentów, została usunięta z „Podróży do kresu nocy”, inni – jak „célineista” François Gibault – że to zupełnie odrębna powieść będąca fragmentem trylogii „Enfance” („Dzieciństwo”). Na pewno łączy ona „Podróż...” ze „Śmiercią na kredyt” – te same postacie, wątki i styl. Ekspresjonistyczny, z elementami potoczystego żargonu wzbudzającego w czytającym grozę wobec rozpadu porządku, moralności, kultury i wszechobecności wojny wraz z nieodłącznym smrodem siarki i trupiego rozkładu. Autorka przekładu Anna Wasilewska wspomina o fascynacji jazzem, nadaniu temu słowotokowi synkopowanego rytmu i jazgotliwej muzyczności, choć właśnie z powodu odniesionej rany pisarz do końca życia cierpiał na okropne bóle głowy. „Spokój pół jest śmieszny dla kogoś, komu huczy w uszach” – wyznaje Ferdinand, książkowe alter ego autora. Céline ma wielu zwolenników, a także wrogów. Jeszcze w 1944 r. Otto Abetz, ambasador przy rządzie Vichy i generał SS, zaprosił go na kolację. W jej trakcie pisarz z całą powagą przekonywał osłupiałego ambasadora, że Hitler nie żyje i został zastąpiony żydowskim sobowtorem. Swą reputację niszczył bowiem z rozmysłem i w każdych okolicznościach politycznych.

Louis-Ferdinand Céline, „Wojna”, PIW 2024

Psychodeliczna podróż

Dajmy się porwać hipnotycznej wibracji sufitowego wentylatora, zabrać w podróż w głąb dżungli i człowieka. Wkroczmy w strefę wojny, ona znów jest blisko

Francis Ford Coppola ma w Kalifornii kilkusethektarową winnicę. Nie wiem, jakiej jakości wina wytwarza, ale jego słynny film, kończący w tym roku 45 lat, dojrzał jak beczka porządny merlot. Nie uległ banalizacji, pozostając mocnym, psychodelicznym eposem o wojnie – w końcu pierwotnie miał nosić tytuł „The Psychedelic Soldier”. Jest tyleż inspirowany „Jądem ciemności” Conrada, co opowieściami wojennych weteranów z Wietnamu. Film trafia więc do polskich kin jako reżyserska wersja obrazu, który już w momencie wejścia na ekrany stał się dziełem klasycznym. Ta wersja różni się nie tylko od kinowej, lecz także od tej z podtytułem „Redux”. To trzy godziny (183 min) wirtuozerkiego kina łączącego pełne intensywności obrazy z dźwiękami wywołującymi efekt bliski halucynacjom. Potęguje go jakość w rozdzielczości 4K odrestaurowanej z oryginalnego negatywu.

Film powstał zaraz po apokaliptycznym odwróceniu armii amerykańskiej z Wietnamu i jest nawiązaniem do wojny, która wpłynęła na sytuację polityczną w USA oraz stała się katalizatorem społecznych i kulturowych przeobrażeń, które do dziś odczuwamy nawet w Polsce. Nie pokazuje wprost jej przebiegu i politycznego kontekstu. Jako dzieło filmowe nie musi i nawet nie powinno być aż tak realistyczne. Choć zawsze zastanawiało mnie, dlaczego tworzący w warunkach wolności filmowcy, sięgając do tego tematu, omijali totalitarne pandemonium maoizmu Chin i Kambodży oraz sowieckiej perfidii rozsiewającej zarazki komunizmu w Azji. Ale to tylko luźna uwaga, bo „Czas Apokalipsy” to pełna arcyzmu uniwersalna opowieść o nowoczesnej wojnie, studium ludzkiej natury oraz drzemającego w niej nihilistycznego potencjału. Jest ponadczasowa i nawet mocno surrealistyczna, co ilustruje choćby „balet” kawalerii powietrznej pułkownika Kilgore’a z „Cwałem Walkirii” Wagnera w tle, desant i pacyfikacja wioski nad rzeką Nung oraz palenie wzgórz napalmem w pogoni za falami do surfowania. Ci, którzy widzieli trwający prawie 300 min roboczy materiał zdjęciowy, zgodnie przyznają, że Coppola wyrzucił jednak wszystkie wątki krytykujące amerykańskie zaangażowanie w tę

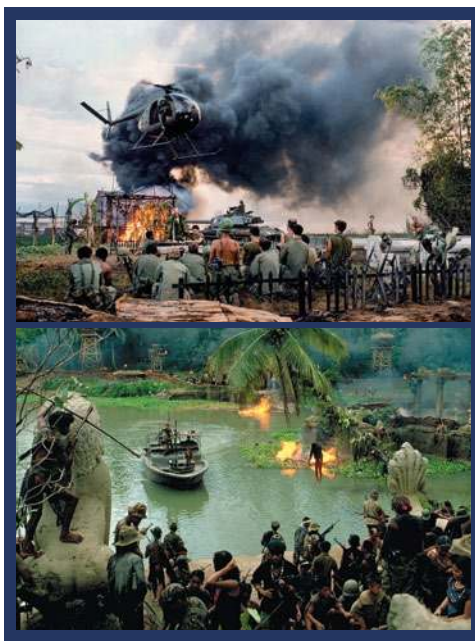
wojnę, a porzucając pokusę politycznej publicystyki, skupił się na metafizycznej podróży w głąb dżungli, w głąb człowieka. W tej kinowej wersji nie brak jednak czytelnych politycznych symboli, będących, jak się zdaje, kluczem do tej historii.

Kpt. Willard, przeglądając dossier zebrane przez wywiad na temat Kurtza, dowiadyuje się, że bezwzględnie oddany armii mistrz sztuki wojennej z West Point, teraz skryty w dżungli i przeznaczony przez dowódców do likwidacji szaleniec, już na początku wojny w napisanym przez siebie i odrzuconym przez

dowództwo memorandum meldował, że oficerowie i żołnierze pełniący służbę najwyżej przez rok na zawsze pozostaną dyletantami i „turystami w Wietnamie”. „Jak długo zimne piwo, gorące jedzenie, rock’n’roll i wszystkie inne udogodnienia pozostają oczekiwaną normą” nie mają szans w starciu ze zmotywowanymi do walki bojownikami Wietkongu. Twierdził, że do zwycięstwa Amerykanom wystarczyła najwyżej jedna czwarta użytych tam sił, ale składających się z mężczyzn wojowników o wysokim moralne. Zresztą podobną wymowę ma też scena rozmowy, którą Willard prowadzi na francuskiej plantacji. Bo podróż w górę rzeki staje się też podróżą w czasie, podczas której natyka się na zagubionych w środku dżungli i historii francuskich kolonistów. Trwając na straconym posterunku do końca, reprezentują w niej skrawek chylący się ku upadkowi europejskiej cywilizacji. „Wy, Amerykanie, walczyście o największe nic w historii”

– rzuca podczas kolacji przywódca francuskiej rodziny, nie kryjąc, że stali się oni ofiarami zarówno komunistycznej rebelii, jak i wyrachowanej gry prowadzonej w latach 50. przez Waszyngton. W końcu łódź dopływa tam, gdzie dżungla cofa wszystkich do czasów pierwotnych. By być skutecznym, zdesperowany Kurz operujący na pograniczu wietnamsko-kambodżańskim nie może prowadzić wojny półśrodkami, wspiera się wojskiem z górskich plemion, co prowadzi do brutalizacji działań i całkowitego zatarcia granic dobra i zła. W końcu wypowiada posłuszeństwo dowództwu, dociera do jądra ciemności. „The horror... zgroza...”

„Czas Apokalipsy: Final Cut”, reż. Francis Ford Coppola, USA 1979



„Dom” - kolejne życie serialu

Na kanale TVP Seriale trafiłem na pierwsze odcinki „Domu”. Widziałem ten rozciągnięty między kilka epok tasemiec Jana Łomnickiego wiele razy. Byłem ciekaw, jak się go ogląda dziś.

„Dom” został zlecony przez ekipę Gierka na rocznicę Polski Ludowej. Dostał najlepszych scenarzystów: Andrzeja Mularczyka i Jerzego Janickiego. Jan Łomnicki dopiero co nakręcił piękny film kinowy „Akcja pod Arsenałem”, składający hold AK-owskiej młodzieży. PZPR chciała afirmacji socjalizmu. Powstała pulsująca życiem saga kilku rodzin z jednej warszawskiej kamienicy przy ul. Złotej 25. Film, który tworzył własny świat. Choćby powiedzonkami. „Koniec świata” (dozorca Popiołek), „Mówi wam to coś?” (komunista Jasiński), „Tu się zgina dziób pingwina” (syn Popiołka) itp.

Autorzy scenariusza byli wyczuleni na rytm zwykłego życia, bezbłędnie operowali dygresjami. Łomnicki zapewnił, że świetne dialogi mówili najlepsi aktorzy, wciąż dobrze czujący nieodległą epokę. Rzecz zaczynała się w 1945 r. Do kamienicy wracali dawni lokatorzy, pojawiali się też przybysze. Stare zderzało się z nowym.

To poczucie dotykania życia zapewniło serialowi tkliwe przywiązanie widzów. Wybaczano nawet to, że stary warszawski dozorca w wersji Wacława Kowalskiego zaciągał tu po wschodniemu. Ale mnie nie wszystko się podobało. Pierwsze odcinki pokazywano w 1980 r., jeszcze przed sierpniową rewolucją. I duch romantyzmu odbudowy stawał się miejscami duchem rzekomego romantyzmu początków „nowej Polski”. Fenomen PSL, naprawdę popieranego masowo przez Polaków, jest tu wprowadzony do gładzenia kilku starych inteligentów. Wyznacznikiem „rewolucyjnych” racji jest Andrzej Talar, chłopak ze wsi, który przyjeżdża do stolicy na studia inżynierskie, ale wcześniej służy w milicji. Staje się on ilustracją skądinąd prawdziwego zjawiska awansu „ludzi nowych”. Wszystko to razem było jednak bardziej bolesne.

Zabawne, jak serial ewoluował. Druga seria, nakręcona po sierpniu 1980, odważniej tropiła

absurdy realnego socjalizmu, stalinowskiego i gomulkowski. Zbyt odważnie. Serial miał się skończyć w 1980 r. powstaniem Solidarności. Ale po stanie wojennym zdecydowano, że koniec tego dobrego. Kamienica miała zostać wyburzona w połowie lat 60. Mały ludzki kosmos ulegał scenariuszowej zagładzie.

Pod koniec lat 90., w nowej Polsce, Mularczyk, Janicki i Łomnicki wrócili do tematu. Decyzję o rozbiórce „Domu” unieważniano. Czwarty sezon naprawdę kończył się w 1980 r. Był już mocno antykomunistyczny. Zachował zarazem empatyczność i uroczą wielowątkowość epopei codzienności.

We mnie wciąż kołatała się niechęć do prokomunistycznej mitologii z samego początku. Zauważyłem jednak, że zatarła się ona w głowach widzów. Tak jak „Polskie drogi” Janusza Morgensterna przestały być apologią racji Armii Ludowej, szuka się w nich ludzkiej prawdy o czasach okupacji. Jeden i drugi serial kręcili mistrzowie, choć było to mistrzostwo politycznie nieco zdradliwe.

Fenomen „Domu” polega na tym, że najgłośniejszy bohater, Andrzej (gra go aktor jednej polskiej roli Tomasz Borkowy – potem na emigracji), pozostaje naiwniakiem wierzącym w dobre



intencje komunistów mimo rozczarowań. W 1980 r. za mocno narzucano mi jego perspektywę. Dziś jest ona nawet ciekawa. Podobnie jak różne obserwacje. Klęska jego brata Bronka (Krzysztof Pieczyński, wielka kreacja w dwóch odcinkach) to traktacik o pułapkach zbyt szybkiego awansu. W tle mamy, nawet w pierwszej serii, i donosicielstwo, i absurdy rytuałów ZMP,

i dystans wobec komunizmu zwykłych warszawiaków. O postaciach i rolach można napisać cały traktat. Tak oto „Dom” dostał w mojej głowie kolejne życie.

Piotr Zaremba

Brytyjczycy odwołują polskiego naczelnego wodza

Pod koniec II wojny światowej Polska coraz bardziej traciła podmiotowość na arenie międzynarodowej. Jedną z osób, która sprzeciwiała się rozgrywaniu nas przez Sowietów, Brytyjczyków i Amerykanów, był gen. Kazimierz Sosnkowski, Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych. Dlatego musiał zostać usunięty



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Wdrodze do odzyskania przez Polskę niepodległości Kazimierz Sosnkowski był założycielem Związku Walki Czynnej, szefem sztabu I Brygady Legionów, jednym z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego i w końcu generałem Wojska Polskiego. W dwudziestoleciu międzywojennym pełnił wiele bardzo ważnych funkcji państwowych i wojskowych. Po klęsce we wrześniu 1939 r. przedostał się do Francji, gdzie ponownie zaangażował się w walkę o niepodległość Polski.

Po tragicznej śmierci gen. Sikorskiego 4 lipca 1943 r. Sosnkowski został wysunięty jako kandydat do objęcia stanowiska Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych. Zgodził się pod warunkiem utworzenia rządu jedności narodowej oraz powołania na premiera osoby, która nie będzie wroga wobec niego. Prezydent Raczkiewicz zgodził się, ale już wkrótce okazało się, że nie dotrzyma słowa.

KONFLIKTY W LONDYNIE

Piłsudczycy i tak nie mieli szans wejść w skład rządu, a premierem został Stanisław Mikołajczyk, który nie przepadał za Sosnkowskim. Z czasem ta niechęć tylko się pogłębiała. Kazimierz Sosnkowski był mocno zaangażowany w bieżącą działalność Armii Krajowej, starał się usprawnić jej działanie oraz komunikację z Londynem. Po aresztowaniu przez Niemców gen. Stefana Grot-Roweckiego na nowego komendanta AK mianował gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, co wzbudziło krytykę. Sosnkowski był atakowany przez wielu polityków, którzy zarzucali mu m.in. podżeganie do buntu wewnątrz AK czy skupianie w swoim ręku zbyt wielu kompetencji.

Dla gen. Sosnkowskiego jako naczelnego wodza priorytetem było, aby bezmyślnie i niepotrzebnie



nie szafować krwią polskiego żołnierza. Ostrzegał przed przedwczesnymi i nieprzygotowanymi zrywami. Wytrwale próbował przekonywać prezydenta i rząd do niewchodzenia na zgubną drogę ustępstw wobec Sowietów. Głoszenie takich poglądów budziło coraz większą krytykę generała ze strony anglojęzycznej prasy. W Londynie już w kwietniu 1944 r. oskarżano go o denerwowanie Rosjan i przeszkadzanie w porozumieniu ze Stalinem, który po ujawnieniu zbrodni katyńskiej zerwał stosunki dyplomatyczne z polskim rządem. Sam Winston Churchill doradzał emigracyjnemu gabinetowi usunięcie Sosnkowskiego.

ZACISKAJĄCA SIĘ PĘTLA

Tymczasem sytuacja Polski na arenie międzynarodowej stale się pogarszała. Moskwa traktowała nas jako obiekt swojej przyszłej dominacji i oczekiwała coraz dalej idących ustępstw. Wiosną 1944 r. ZSRS oficjalnie zażądał od rządu RP w Londynie bezwarunkowego uznania linii Curzona jako przyszłej granicy i wstępnego warunku podjęcia jakichkolwiek rozmów w sprawie normalizacji stosunków polsko-sowieckich. Po raz pierwszy pojawiła się też sprawa utworzenia wspólnego rządu z polskimi komunistami. W lipcu 1944 r. powstał kontrolowany przez Stalina Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który na zajmowanych przez Armię Czerwoną terenach na zachód od linii Curzona zaczął organizować nowe struktury państwowe.

Mimo licznych sprzeciwów rząd Mikołajczyka w uchwałach podjętych w lipcu 1944 r. dopuścił możliwość korekty granicy wschodniej. Polska Rada Ministrów już wtedy pod naciskiem Churchilla poszukiwała pewnych dróg porozumienia z Moskwą. Gen. Sosnkowski był temu zdecydowanie przeciwny. Z kolei Mikołajczyk dążył do wyeliminowania go z życia politycznego, likwidując stanowisko naczelnego wodza. Oprócz tego usiłował zmniejszyć kompetencje prezydenta RP. Zapowiadało to kryzys personalny w szeregach rządu londyńskiego.

Przed podróżą do Moskwy zaplanowaną na koniec lipca Mikołajczyk upo-

ważnił delegata rządu na kraj do podjęcia wspólnie z dowódcą AK decyzji o zorganizowaniu powstania w Warszawie. Była to jawna ingerencja w kompetencje naczelnego wodza, któremu bezpośrednio podlegał dowódca AK.

PRZECIWNIK POWSTANIA

W lipcu 1944 r. Sosnkowski wizytował 2. Korpus Polski we Włoszech, a 28 lipca uczestniczył w audyencji u papieża Piusa XII. Podczas nieobecności naczelnego wodza w Londynie zintensyfikowano przygotowania do przeprowadzenia akcji „Burza” w Warszawie. Gen. Sosnkowski

Z rozkazu gen. Sosnkowskiego: „Warszawa czeka. Nie na czcze słowa pochwały, nie na wyrazy uznania, nie na zapewnianie litości i współczucia. Czekają na broń i amunicję. Nie prosi ona, niby ubogi krewny, o okruchy ze stołu pańskiego, lecz żąda środków walki, znając zobowiązania i umowy sojusznicze”

dowiedział się o tych działaniach dopiero 28 lipca, kiedy po kilku dniach otrzymał depezę od gen. Bora-Komorowskiego. Natychmiast postanowił zareagować, wysyłając przez Londyn depezę zwrotną wskazującą, że w obliczu sowieckich gwałtów „powstanie zbrojne byłoby aktem pozabawionym politycznego sensu, mogącym pociągnąć za sobą niepotrzebne ofiary”. Nigdy nie dotarła ona do Warszawy.

29 lipca gen. Sosnkowski wysłał do gen. Bora-Komorowskiego rozkaz, w którym przedstawiał „swoją zdecydowaną, negatywną, umotywowany pogląd na kwestie uruchomienia akcji powstańczej, jak i to, że walka z Niemcami musi być kontynuowana w formie »Burzy«”. Rozkaz ten został

przekazany z Londynu dopiero 5 sierpnia 1944 r. Skutkiem działalności rządu Mikołajczyka, a także innych osób nieprzychylnych Sosnkowskiemu, było izolowanie naczelnego wodza, który w kluczowym momencie wojny stracił możliwość wpływania na rozwój wydarzeń.

WSZYSTKIE RĘCE NA POKŁAD

Po wybuchu powstania warszawskiego naczelnny wódz wrócił do Londynu i całą energię skupił na zabiegach o pomoc aliantów w doposażeniu powstańców w broń i amunicję. Domagał się m.in. oddania pod jego rozkazy Samodzielnej Brygady

Spadochronowej w celu jej wykorzystania w akcji pomocy dla Warszawy. Rozmawiał z takimi osobami, jak marsz. Alan Brooke, szef Sztabu Obrony Imperialnej, gen. Hastings Lionel Ismay, szef Sztabu Wojskowego Gabinetu Wojennego czy marsz. RAF Charles Portal.

Niestety prezydent Stanów Zjednoczonych Roosevelt i premier Wielkiej Brytanii Churchill już wcześniej przystali na propozycję Stalina zaliczenia Polski do strefy operacyjnej frontu sowieckiego, co było równoznaczne z wejściem w strefę politycznych wpływów ZSRS. Miało to bezpośredni wpływ na stosunek aliantów do powstania warszawskiego. Niemożność pomocy tłumaczono względami politycznymi, warunkami operacyjnymi, a nawet warunkami atmosferycznymi.

Mimo niepowodzenia wysiłków na rzecz materialnego wsparcia powstańców gen. Sosnkowski nie zmienił stanowiska wobec integralności terytorialnej wszystkich ziem polskich oraz celów wojny. Jego nieprzejednana postawa stała w sprzeczności z linią polityczną realizowaną przez rząd Mikołajczyka ulegającego coraz silniejszej presji Londynu i coraz bardziej skłaniającego się do ugody z Sowietami. Pod koniec sierpnia rząd dopuścił możliwość pewnej korekty granicy wschodniej za cenę nabytków na zachodzie.

ROZKAZ NR 19

Wobec porażki swoich starań gen. Sosnkowski postanowił wyjechać do kraju,

aby przyłączyć się do walki z Niemcami, o czym pisał 20 sierpnia 1944 r. w liście do prezydenta Władysława Raczkiewicza. W ten sposób chciał pokazać też swój sprzeciw wobec stosunku sprzymierzonych do powstania warszawskiego. Nie udało mu się zrealizować tego planu.

W zaistniałej sytuacji gen. Sosnkowski zarzucił zachodnim aliantom złamanie umów sojuszniczych. 1 września 1944 r. wydał rozkaz nr 19 skierowany do żołnierzy AK, w którym pisał: „Pięć lat minęło od dnia, gdy Polska, wysłuchawszy zachęty Rządu brytyjskiego i otrzymawszy jego gwarancje, stanęła do samotnej walki z potęgą niemiecką. Kampania wrześniowa dała Sprzymierzonym osiem miesięcy bezcennego czasu, a Wielkiej Brytanii pozwoliła wyrównać braki przygotowań do wojny w stopniu takim, że bitwa powietrzna o Londyn i wyspy brytyjskie, stanowiąca punkt zwrotny dziejów, mogła być wygrana. [...] Od miesiąca bojownicy Armii Krajowej pospół z ludem Warszawy krwawią się samotnie na barykadach ulicznych w nieubłaganych zapasach z olbrzymią przewagą przeciwnika. Samotność kampanii wrześniowej i samotność obecnej bitwy o Warszawę są to dwie rzeczy zgola odmienne. Lud Warszawy, pozostawiony samemu sobie i opuszczony na froncie wspólnego boju z Niemcami – oto tragiczna i potworna zagadka, której my, Polacy, odcyfrować nie umiemy na tle technicznej potęgi Sprzymierzonych u schyłku piątego roku wojny. Nie umiemy dlatego, że nie straciliśmy jeszcze wiary, że światem rządzą prawa moralne. [...] Nie umiemy, bo uwierzyć nie jesteśmy w stanie, że oportunizm ludzki w obliczu siły fizycznej mógłby posunąć się tak daleko, aby patrzeć obojętnie na agonię stolicy tego kraju, którego żołnierze tyle innych stolic własną pierśią osłonili. [...] Warszawa czeka. Nie na czcze słowa pochwały, nie na wyrazy uznania, nie na zapewnianie litości i współczucia. Czekają na broń i amunicję. Nie prosi ona, niby ubogi krewny, o okruchy ze stołu pańskiego, lecz żąda środków walki, znając zobowiązania i umowy sojusznicze. [...] Jeśli ludność stolicy dla braku pomocy zginąć musiała pod gruzami swych domów, jeśli przez bierność, obojętność czy zimne wyrachowanie wydana została na rzeź masową, wówczas sumienie świata

obciążone będzie grzechem krzywdy straszliwej i w dziejach niebywałej. Są wyrzuty sumienia, które zabijają. [...] My tutaj czynimy dalsze wysiłki, aby uruchomić pomoc dla was. Otrzymujemy wciąż jeszcze obietnice i przyrzeczenia. Wierzmy w nie i ufamy, że wiara ta nie będzie odebrana polskim siłom zbrojnym i to właśnie w przededniu zwycięstwa i tryumfu wspólnej sprawy sprzymierzonych”.

ODWOŁANIE NACZELNEGO WODZA

Rozkaz odczytany przez radio wywołał burzę polityczną w kierownictwie polskiej emigracji i oburzenie wśród aliantów. Dokument został uznany za cios we współpracę polsko-brytyjską oraz próbę przekreślenia porozumienia z Moskwą i komunistycznym PKWN. Reakcja brytyjskich polityków była zdecydowana. Nasilała się w kolejnych dniach, a pod koniec września osiągnęła formę oficjalnego żądania rządu tego państwa usunięcia gen. Sosnkowskiego ze stanowiska naczelnego wodza. Minister Eden mocno naciskał na Mikołajczyka, aby doprowadził do odwołania gen. Sosnkowskiego, a Winston Churchill interweniował w tej sprawie u prezydenta Raczkiewicza. Politycy brytyjscy przedstawiali sprawę jako kluczową dla dalszych wzajemnych stosunków.

Premier Mikołajczyk nazwał słowa generała wodą na młyn niemieckiej propagandy i zażądał jego odwołania ze stanowiska naczelnego wodza. Ponadto podczas obrad rządu 7 września stwierdził, że rozkaz stworzył niebezpieczeństwo wypowiedzenia posłuszeństwa przez wojsko i stanowił dokument obrażający uczucia narodu polskiego. Wkrótce potem rząd ogłosił, że odcina się od treści rozkazu, a w szczególności od wstępu do niego. W tym samym czasie gen. Sosnkowski, przeczuwając, że Mikołajczyk coraz bardziej skłania się do powołania wspólnego rządu z PKWN, zapowiedział, że w przypadku wyjazdu premiera do kraju wypowie posłuszeństwo rządowi jako gabinetowi kapitulacyjnemu. Odmawiał także dobrowolnego ustąpienia ze stanowiska.

22 września polski rząd zwrócił się do Władysława Raczkiewicza z wnioskiem o odwołanie gen. Sosnkowskiego. 30 września 1944 r. decyzją prezydenta

otrzymał on dymisję z funkcji naczelnego wodza. Podczas jej wręczania Raczkiewicz miał powiedzieć: „Wiem dobrze, że popełniam rzecz wysoce niemoralną, lecz niech Bóg Najwyższy będzie mi świadkiem, że innego wyjścia nie mam”. Odwołanie zostało skrytykowane przez generałów Władysława Andersa, Stanisława Kopańskiego i Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza. Następcą Sosnkowskiego został gen. Tadeusz Bór-Komorowski.

NIEFORMALNE INTERNOWANIE

Kazimierz Sosnkowski pozbawiony wpływu na bieżącą politykę w listopadzie 1944 r. wyjechał do Kanady, gdzie przebywali jego synowie. Wiele razy wypowiadał się przeciwko porozumieniom z Sowietami i ustępstwom czynionym wobec Stalina. Krytykował także Brytyjczyków i Amerykanów jako tych, którzy sprzymierzają się z Moskwą. Jego wypowiedzi były przyczyną wydania zakazu wjazdu do Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

Sosnkowski został zmuszony do nieplanowanego pozostania w Kanadzie. Aby utrzymać rodzinę, pracował fizycznie. Pod koniec 1946 r. kupił farmę w miejscowości Arundel i zaczął pracować na roli. W marcu 1947 r. podjęto decyzję o zwolnieniu generała z Polskich Sił Zbrojnych. Tymczasem przewidywania Sosnkowskiego okazały się prawdziwe. W czerwcu 1945 r. Mikołajczyk opuścił Londyn i wszedł do tworzonego przez komunistów Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, który szybko zyskał uznanie międzynarodowe, m.in. rządów amerykańskiego i brytyjskiego, co oznaczało cofnięcie poparcia dla rządu londyńskiego.

Isolowanie byłego naczelnego wodza zakończyło się wraz z eskalacją zimnej wojny. Po 1949 r. mógł się już swobodnie wypowiadać na temat ZSRS. Otrzymał też wizę do USA, dzięki czemu mógł wyjechać z Kanady. Pisał na łamach prasy polonijnej i emigracyjnej. W swoich wystąpieniach dalej ostro krytykował postawę sprzymierzeńców podczas konferencji teherańskiej i jałtańskiej, jednocześnie opowiadając się za trwaniem Polski w bloku państw zachodnich.

Zmarł 11 października 1969 r. w kanadyjskim Arundel.

FILMOWE SZLAKI:

ZAKOCHANY MICKIEWICZ

Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą



Jeżeli nocną przybliżysz się doba
/ I zwrócisz ku wodom lice,
/ Gwiazdy nad tobą i gwiazdy
pod tobą, / I dwa obaczysz księżycy”
– pisze do Maryli Wereszczakówny (gra
ją Aleksandra Piotrowska) młody poeta
(w tej roli Nikodem Rozbicki), wyznacza-
jąc miejsce schadzki.

W filmie „Niepewność. Zakochany Mickiewicz”, który 13 września wchodzi na duże ekrany, fragment ballady „Świtez” jest jednym z wielu poetyckich cytatów przewijających się w kadrach i wypowiedziach bohaterów. Uważny widz może podążyć za słowami młodego poety. Znaleźć dodatkową ścieżkę (oprócz tej wyznaczonej przez fabularną opowieść o brzemennym w balladowo-romantyczne skutki lecie 1820 r.). Dopowiedzieć wcześniejsze lub późniejsze frazy. Choćby takie, jak ta: „Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie, / Do Płuzyn ciemnego boru / Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie, / Byś się przypatrzył jezioru. / Świtez tam jasne rozprzestrzenia łona, / W wielkiego kształcie obwodu, / Gęstą



po bokach puszcza oczerniona, / A gładka jak szyba lodu”. Albo poszukać tekstu, z którego pochodzi fragment, przy okazji przypominając sobie czy też dowiadując się, że słowa filmowego liściku pochodzą z utworu dedykowanego nie Maryli, a jej bratu Michałowi Wereszczace.

Poetyckich tropów, ukrytych w dialogach i zawartych w kolejnych scenach, jest w filmie Waldemara Szarka (zarazem reżysera i współscenarzysty) немало. Aleksandra Piotrowska przywołuje choćby te: „Maryla słodkie miłości wyrazi / Dzielila skąpo w rachubie: / Choć jej kto

»kocham« mówił po sto razy, / Nie rzekła nawet i »lubie«”. Scenę nocnej konnej wyprawy hrabianki do karczmy dopełnia zwrotka z jednego z jej ulubionych utworów, ballady „Pani Twardowska”: „Jedzą, piją, lulki palą, / Tańce, hulanka, swawola; / Ledwie karczmy nie rozwałą, / Cha cha, chi chi, hejza, hola!”.

Młoda aktorka wspomina też urokliwy obrazek, w którym nie słowo, a scena/kadr staje się cytatem. Oto o poranku Maryla ukryta za zasłonką czesze włosy, podsłuchując rozmowę Mickiewicza i Zana. Ubrana w białą luźną sukienkę przypomina młodzieńką bohaterkę z „Pana Tadeusza”. W filmowej wersji (wyreżyserowanej przez Andrzeja Wajdę) sielska scena z Zosią była kręcona w tym samym miejscu, w którym ćwierć wieku później przed kamerą stanęła Maryla. Mowa o zasłużonym dla polskiego kina dworku w Turowej Woli (60 km od Warszawy), który odtwarza rodzinne gniazdo rodziny Wereszczaków (nieistniejące na mapie obecnej Białorusi Tuchanowicze).

Na potrzeby ekipy „Niepewności...” dworek został odrestaurowany i otoczony wspaniałą roślinną dekoracją. Walorami



filmu są też zarówno malownicze szerokie kadry, jak i sceny komponujące się z nastrojem wydanych dwa lata od pobytu w Tuchanowiczach „Ballad i romansów”.

A w tytule odnajdziemy nawiązanie do (spopularyzowany przez Marka Grechutę) wiersza „Niepewność”: „Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę, / Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę; / Jednakże gdy cię długo nie oglądam, / Czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam; / I tęskniąc, sobie zadaję pytanie: / Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?”.

Jolanta Gajda-Zadworna



SŁODKO-SŁONY

Cudowny wynalazek

ANNA MONICKA

WILCZYM OKIEM

Badylarka, turkuć, świerszcz

PRZEMYSŁAW BARSZCZ



W poszukiwaniu nowych, ciekawych przepisów na pigwę i pigwocza, które w tym roku doskonale nam obrodziły, spędziłam pół nocy, grzebiąc w starych książkach kucharskich. Przez lata zgromadziłam całkiem niezłą biblioteczkę z takimi białymi krukami, jak „Kuchnia jarska” Jana Kazimierza Czarnoty z 1908 r., wydanej nakładem księgarni polskiej W. Połonieckiego we Lwowie, czy „Najnowsza kuchnia wytworna i gospodarska” Marty Norkowskiej wydana przez Gebethnera i Wolffa w 1904 r. w Warszawie (nagrodzona dwoma wielkimi srebrnymi medalami na wystawach kucharskich). Tego, czego szukałam, nie znalazłam, co oznacza, że znowu robimy nalewkę i syrop do herbaty (wstydu nie ma, są pyszne i zdrowe, a odcędzone owoce, zasypane cukrem, żeby puściły sok, zawsze przesmażam z miodem i mam genialne smarowidło do tostów), gdyż zatopiłam się w cudownych opisach potraw oraz odręcznych notatkach poutykanych między kartkami. Sądząc po charakterze pisma, niewątpliwie sporządzonych przez osobę, którą w szkole nauczono kaligrafii. Ale już kompletnie rozbroiła mnie poźółkła karteczka zachwalająca najnowszy szwajcarski wynalazek – przybór kuchenny zwany prodige (po polsku prodiż). „Niezwykle dowcipnie skonstruowany i nad wyraz praktyczny ze względu na ekonomiczne zużycowanie gazu, posiadający tę wielką zaletę, że może być używany jako piecyk do pieczenia, patelnia lub ruszt i może być nagrzewany na każdej kuchence gazowej, choćby tylko jednopłomiennej” – czytamy. Pierwsza w Polsce prezentacja urządzenia odbyła się ponoć w latach 20. ub.w.

Wśród przykładowych dań, które można przygotować w tym ustroju, jest szczupak lub sandacz duszony w maśle. Warto zachować ten przepis i koniecznie wypróbować. 1 kg ryby trzeba doskonale oczyścić, osolic i zostawić przynajmniej na godzinę, a potem wytrzeć dobrze ścierką i obtoczyć w mące. W prodiżu rozpuścić 75 g masła i rozgrzać je aż do żółtego koloru, ale nie rumienić i wtedy ułożyć rybę grzbietem do góry. Prodiż zamknąć do połowy otworów (miał dziurki, dzięki którym regulowano temperaturę) i trzymać tak przez 35 min, zaglądając od czasu do czasu i podlewając masłem. I gotowe. Warto się zabawić w kucharza sprzed 100 lat, z prodiżem lub bez. 

Istnieją stworzenia, które, chociaż niekoniecznie rzadkie, znamy co najwyżej z nazwy. Żyją obok nas: w ogrodach, parkach, lasach, rzekach płynących przez nasze miejscowości, czasem wchodzą do domów i mieszkań. A jednak na ogół nawet nie zdajemy sobie sprawy z ich istnienia i chociaż my i nasze działania mają na nie wpływ, na skutek naszej nieświadomości funkcjonują one dla nas jakby w innym wymiarze, którego nie zauważamy. Czasem ze względu na swoją skrytość umykają nawet uwadze przyrodników i bywają nieuwzględniane w opracowaniach naukowych.

Chociażby myłony z konikami polnymi świerszcz. Kto nie zna tego owada z literatury? A kto go widział i wie, że ćwierkanie dobiegające nocą z głębi traw, a czasem z ciemnego wnętrza szafy, to właśnie świerszcz? W Polsce żyje kilka gatunków tych owadów, w tym świerszcz polny i świerszczyk szary. Są coraz rzadsze, głównie na skutek zmian w rolnictwie i zaniku dawnych sposobów uprawy, hodowli zwierząt i utrzymania terenów.

Podobnie ma się sprawa z zanikającym turkuciem podjadkiem. Ten wielki owad o masywnej głowie i przednich odnóżach jak u koparki większość czasu spędza pod ziemią. Lata rzadko i nieumiejętnie, wpadając na przeszkody. Z wyglądu przypomina krzyżówkę stawonoga i kreta, co znalazło odzwierciedlenie w rodzajowej nazwie łacińskiej – *Gryllotalpa* (*gryllus* – świerszcz, *talpa* – kret).

A badylarka? To gryzoń niewiele większy od turkucia. Niczym ptak wije kuliste gniazda zawieszane na ażurowym rusztowaniu łodyg traw. Całkiem prawdopodobne, że żyje na łące, na której ostatnio byliśmy i że mijaliśmy ją o krok, nic o tym nie wiedząc.

Grzebiuszka ziemna to połączenie żaby i ropuchy. Dorośle są niepozorne, jednak kijanki nie zapomnialby nikt, kto by ją zobaczył: ma długość kilkunasu centymetrów i tułów wielkości sporego jaja. Miętus – ryba słodkowodna, lecz należąca do grupy dorszy. Zimnolubny, jako jedyny jest aktywny w zimowe dni, kiedy pada deszcz ze śniegiem. No i jarzębatka – nieduża pokrzewka o pasiastym upierzeniu i żółtych oczach, sprawiających, że wygląda jak minikrogulec.

Dostrzeżenie takich gatunków nie tylko sprawia, że nazwy zyskują konkretny kształt zwierzęcia, lecz także ma znaczenie przyrodnicze: stan ich populacji bywa ważnym wskaźnikiem stanu całego środowiska i tego, w jakim kierunku zmierza. 

OGNIEM NA WPROST

Bo przyleci Babaj...



Andrzej Rafał Potocki

Kierunek kurski. Tempo ukraińskiego natarcia wyraźnie spadło, lecz Moskalom nie udało się odzyskać inicjatywy. Siły Zbrojne Ukrainy wolniej, ale jednak, posuwają się do przodu. U kacapów bardzo silna jest chęć uprzykrzenia Tryzubom życia w zdobytej przez nich Sudży. Przy okazji postanowili uniemożliwić ewentualne występy zespołom folklorystycznym posuwającym się za wojskiem z Ukrainy. Rzucili więc bombę paliwowo-powietrzną o potężnej sile rażenia na... reprezentacyjną halę widowiskową. Dla Kozaków żadna strata, bo to ruska budowla, a okazała halę trafil szlag.

Moskiewski korespondent wojenny Romanow nie ukrywa, że jego zdaniem Kremlowi do końca wojny nie uda się odzyskać zajętych terenów w obwodzie kurskim. Wynika to z ukraińskiej taktyki, polegającej na unikaniu bezpośrednich starć tam, gdzie Rosjanie mają przewagę. Ukraińcy wycofują się wtedy do lasu, a tam teren działa na ich korzyść. Teraz ciekawostka. W jednej z poprzednich rubryk pisaliśmy ze „Skipperem”, że jednym z podstawowych celów ukraińskiej ofensywy na kierunku kurskim było zapobieżenie koncentracji sił, które miały uderzyć przez granicę od północnego-wschodu na obwód sumski. Romanow potwierdza, że Moskale z tego rejonu szykowali atak na Sumy, a ukraiński marsz w kierunku Kurska zniweczył ich plan. Nastroje wśród bojów i służb Kremla są na granicy paniki. Moskiewskie oddziały obrony terytorialnej są tak rozhisteryzowane, że atakują... regularne jednostki armii Federacji Moskiewskiej. W kotle na południe od rzeki Sejm nadal tkwi ok.

3 tys. uwięzionych żołdatów. Prysnać nie ma jak, bo wszystkie mosty rozwalone, a kolejne próby budowy przepraw pontonowych kończą się spektakularnym fiaskiem. I tak trzymać, panowie Kozacy.

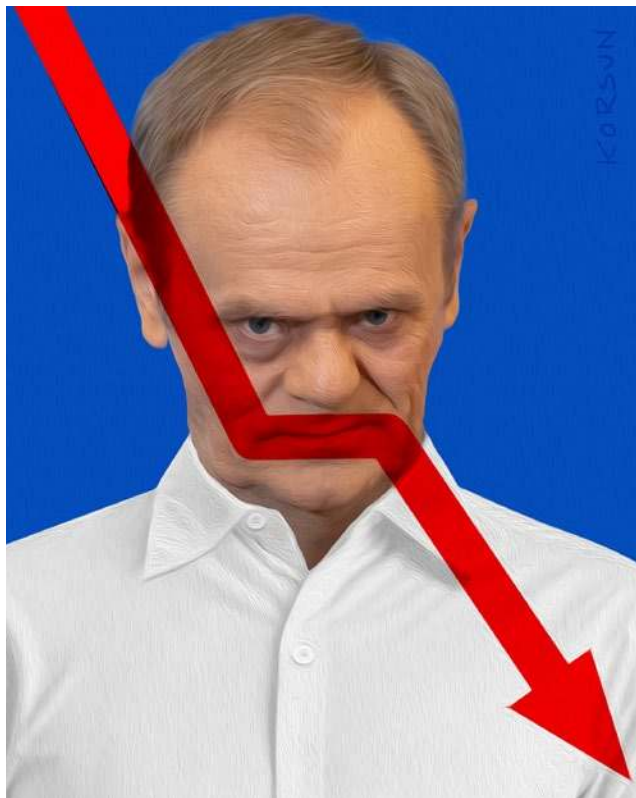
Okolice Doniecka – Front Południowy. Pod Kupiańskiem Moskalom nie udało się uderzenie z wylomu pod Piszczane na północ, więc cwanie skierowali się na południe. Zgrane uderzenia z Piszczanego i Stelmachówki powinny spotkać się w Łozowej. To zagroziłoby siłom ukraińskim i zmusiło je do wycofania się. Choć niekoniecznie, bo koordynacja u kacapów była i jest „bardzo daleka od okay” – cytując klasyka z filmu „Pulp fiction”. Pod Pokrowskiem, na kierunku północnym, natarcie bojów siadło, a pod Krutym Jarem Moskale musieli się nieco cofnąć. Próba natarcia przez Mychajliwkę na Selydowe mimo pierwszych sukcesów też się nie powiodła. Na razie główne walki toczą się o Newelske, które osłania północny obszar Krasnohoriwki. Mimo operacji kurskiej liczba rosyjskich ataków nie zmniejszyła się, a wręcz wzrosła. Ale co interesujące, spadła ich jakość. Na głównym kierunku Pokrowsk–Kurachowe prawie nie ma wojsk zmechanizowanych, które udały się pod Kursk. Są tylko mobiki z jednostek „szturmowych”. Szturmowych, ale tylko z nazwy. To tak, jakby w dawnej Rzeczypospolitej wycofać z centrum boju husarię, pancernych, dragonów i piechotę łanową, a zostawić pospolite ruszenie. I to nie szlachty, a chłopów. Efekt murowany, tylko odwrotny od zamierzonego.

Ukraińcy skonstruowali nowego drona kamikadze typu samolotowego. Nazywa się Babaj. Nazwa nawiązuje do ducha nocy – postaci z baśni słowiańskich. Babaj ma porywać dzieci, które marudzą przed zaśnięciem lub nie chcą się położyć o ustalonej porze. Drona zaprezentowano na platformie Brave Inventors, która służy do promocji ukraińskiej produkcji wojennej i wynalazków. Ten bezażłogowiec został skonstruowany do niszczenia lekkiego sprzętu opancerzonego, pojazdów, grup żołnierzy i amunicji. Dron nie jest ciężki i szybko się go składa. Można go wystrzelić ręcznie lub za pomocą kaptuły. Jedną z kluczowych przewag Babaj jest ta, że łatwo się może dostać na tyły wroga (na odległość do 60 km od miejsca startu). No to Ruski, nie marudź przed zaśnięciem i kładź się spać o ustalonej porze, bo przyleci Babaj i rozerwie cię na strzępy.

Głupich nie sieją, sami się rodzą – powiada stare przysłowie. Ruski z wściekłości i wrodozonego zbydlęcenia okłada z zemsty za swoje wojenne niepowodzenia wszystkim, co lata, kogo i gdzie się da. Bomby spadły też na centrum handlowe w Charkowie. Ale akurat ten cel ludność zawdzięcza lokalnej idiotce. Kilka dni przed atakiem w mediach społecznościowych pojawiło się nagranie zwykłej przekupki mającej stoisko w tym centrum, która z żalu „pruła się jak koronka”, stwierdzając, że jej „budę” zamknięto, bo w środku rozlokowano elitarną 3. Brygadę Szturmową „Azow” i ona nie może handlować. Widać każde państwo musi mieć swoją Jachirę.

Współpraca: „Skipper”

Michał Korsun prezentuje: *Tuskowi spada*



Referencje: fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock

Wycinki z przeszłości

Tę wzruszającą okładkę zamieścił „Przewodnik Katolicki” w pierwszym wrześniowym numerze w 1934 r. W znajdującym się w głębi numeru opisie czytamy: „Wystarczy spojrzeć na postaci dziadka i wnuka, aby zobaczyć, że się modlą. Czyż może być lepsza szkoła?”

Gdy patrzymy na te postaci, nie możemy się oprzeć pytaniu: Z jakimi ludźmi chcielibyśmy współżyć i współpracować – czy z tymi, którzy tak umieją się modlić i wierzyć, czy z tymi, którzy zatracili wiarę w Boga i modlitwę? I musimy sobie odrzec, że nawet bezbożnik miałby większe zaufanie do ludzi modlących się i wierzących. Odebrać ludziom Boga, to odebrać duszy nie tylko cel wieczny i siły nadprzyrodzone, ale odebrać jej wzór. Bo modlić się to znaczy urabiać się na modłę, czyli na wzór, a tym wzorem najdoskonalszym może dla człowieka być tylko Bóg.

Wzory ludzkie mijają i błędą, jedynie wzór Boży nie mija i blasku swego nieskończonego nie traci. Taką jest Boża szkoła. Jest szkołą z najdoskonalszym wzorem”.

Jakże aktualne słowa!

(mk)



Z WOLEJA

Chaos w Paryżu i tęsknota za Szczęsnym



Ryszard Czarnecki

W Paryżu trwają igrzyska, tym razem paralimpijskie. Nasi paralimpijczycy spisują się lepiej niż nasi olimpijczycy i już zdobyli więcej medali niż Biało-Czerwoni na IO zakończonych trzy tygodnie temu. Niestety to, co było przekleństwem igrzysk olimpijskich w Paryżu, pozostało przekleństwem igrzysk paralimpijskich: bałagan organizacyjny, chaos, problemy z transportem i skandaliczne decyzje sędziów (np. odebrano złoty medal i rekord świata Polce za rzut maczugą). Pomimo tych przeszkód nasi sportowcy godnie reprezentują Polskę, a niektóre dyscypliny, jak choćby tenis stołowy, całkowicie zdominowali.

Piłkarska reprezentacja Polski gra mecze Ligi Narodów. Ma dwa cele: nie spaść z Dywizji A i zdobyć jak najwięcej punktów pod kątem mistrzostw świata. Oto bowiem po raz pierwszy w historii na awans do piłkarskiego mundialu będą miały wpływ wyniki z Ligi Narodów, co jest dobre dla Polaków, bo w rankingu FIFA stoimy nisko.

W kadrze nie ma już Wojciecha Szczęsnego, który na ostatnich MŚ w Katarze obronił dwa rzuty karne, jak Jan Tomaszewski na mistrzostwach w RFN (wtedy jeszcze NRF) w 1974 r. Szczęsny to bramkarz wybitny. Jak na tę pozycję jest relatywnie młody, bo ma 33 lata i śmiało mógłby pograć jeszcze parę sezonów. „Już mi się nie chce” – powiedział publicznie nasz reprezentacyjny golkipier, wprawiając w osłupienie futbolową Polskę oraz Italię, gdzie grał w Juventusie po wcześniejszych latach spędzonych w Arsenalu Londyn. W reprezentacji miał murowane miejsce w bramce, o czym świadczy fakt, że jego prawdopodobny następca Łukasz Skorupski (też grający we Włoszech, w Bolonii), będący w kadrze od 12 lat, rozegrał w niej tylko 11 spotkań. To ten, co na Euro 2024 uratował nam remis z mistrzem świata Francją.

Tradycyjnie od lat na pozycji bramkarza mamy zatrzęsienie bardzo dobrych zawodników: są jeszcze Bartłomiej Drągowski (również gra w Italii) i Marcin Bułka (we Francji). Być może każdy z nich wystąpi w reprezentacji w meczach Ligi Narodów (po dwa mecze we wrześniu, październiku i listopadzie). Wszystko w rękach trenera Michała Probierza, który jakoś nie przejmując się krytyką „Gazety Wyborczej” i tych byłych piłkarzy, którzy kandydowali do Sejmu z ramienia PO.

A Wojtkowi Szczęsnemu dziękujemy za grę dla Polski. Także za to, że zawsze był sobą i miał w nosie krytykę niektórych z tego powodu, że spotykał się z prezydentem Andrzejem Dudą.

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

* Dane do przewzoru w stopce redakcyjnej



OD A DO ZYBERTOWICZA

Proces antycywilizacyjny

Dzisiaj wolność chodzi samopas. A wtedy: hulaj dusza, piekła nie ma

Nie trzeba znać nazwiska Norberta Eliasa, wybitnego niemieckiego myśliciela pochodzenia żydowskiego, by dzieje ludzkości ująć jako proces cywilizacyjny. Czyli ciąg pozytywnych przemian – rozwoju gospodarczego, kulturowego, technologicznego. Podkreśla się czasem, że cywilizacja nie jest możliwa bez zbioru zakazów i reguł, dzięki którym chronimy się przed tymi impulsami, które pochodzą od naszej przyrodzonej, zwierzęcej natury.

Proces cywilizacyjny to zatem proces postępu – poprawy jakości życia jednostek i społeczeństw. Dla wielu osób głównym źródłem tego postępu jest rozwój technologii, w ostatnich dekadach zaś są to głównie technologie cyfrowe.

BEZPRECEDENSOWA WOLNOŚĆ

Tymczasem redaktor, a także nauczyciel historii Jan Wróbel w niedawnym felietonie dla „Dziennika Gazety Prawnej” (23–25 sierpnia 2024 r.) pisze: „Żyjemy w kulturze bezkarnego budzenia de-

monicznych postaw ludzkich. Czemu akurat budzą się dzisiaj, w czasach długotrwałej prosperity ekonomicznej i bezprecedensowej wolności, nie wiem”.

Ktoś, kto niniejszy felieton uważnie przeczytał do tego miejsca, domyśli się, jak można odpowiedzieć na pytanie redaktora Wróbla. Kluczem jest owa „bezprecedensowa wolność”. Postęp cywilizacji zawdzięczamy m.in. mądrymu regulowaniu przestrzeni ludzkiej wolności; tymczasem dzisiaj wolność chodzi samopas. A wtedy: hulaj dusza, piekła nie ma. Zastanówmy się jednak, jakie są głębsze źródła tego, że żyjemy w „kulturze bezkarnego budzenia demonicznych postaw ludzkich”.

POSTAWY DEMONICZNE

Powszechnie uważa się, że postawy demoniczne wiążą się z nasileniem negatywnych zachowań, cech lub skłonności ludzkich. Takie nasilenie może prowadzić do autodestrukcji albo krzywdzenia innych.

O nasilenie czego chodzi? Obsesji, natrętnych myśli, uzależnienia od hazardu, seksu, substancji psychoaktywnych, skłonności do agresji, przemocy, sadyzmu, okrucieństwa wobec ludzi bądź zwierząt. A w dzisiejszych warunkach bodaj nade wszystko chodzi o postawy manipulacyjne. W tle jest niezdolność do konstruktywnego radzenia sobie z silnymi emocjami. Można by dużo o tym pisać, ale sprowadźmy demoniczność do kilku złych emocji: złośliwości, chciwości, zazdrości, agresji, manipulacji.

SKĄD BEZKARNOŚĆ NA WIELKĄ SKALĘ?

To media społecznościowe zbudowały jakże ekscytującą przestrzeń bezkarnego hejtowania, kogo się da. To właśnie te media nasiliły postawy indywidualistyczne, egocentryczne, narcystyczne łączące się z osłabieniem lub nawet

brakiem empatii wobec cierpień innych osób.

Wiele za skórą ma oczywiście kapitalizm, ale tak naprawdę głównym sprawcą owej bezkarności jest rewolucja cyfrowa i big techy jako jej beneficjenci. Ta rewolucja skokowo zwiększyła złożoność i nieprzejrzystość struktur społecznych, przynosząc dezorientację milionów ludzi. Spowodowała, że zostali oni zanurzeni w mętłą wodę, w której słabo widać cokolwiek. Czyny niegodziwe umykają w natłoku bodźców.

Liczne innowacje technologiczne przyczyniły się do osłabienia lub rozpadu tradycyjnych norm moralnych, a nowe nie wyłoniły się na tyle, by skutecznie regulować ludzkie zachowania. W efekcie osoby prezentujące demoniczne postawy często, nawet w sytuacji publicznego napiętnowania, czują się bezkarne, co prowadzi do dalszego upowszechniania się szkodliwych zachowań.

Mówiąc syntetycznie, wystarczy kilka haseł: anonimowość w sieci, bańki informacyjne, cyfrowe technologie uzależniające, brak regulacji prawnych algorytmicznej władzy big techów, niejednokrotnie cynicznie promujących obsesje spiskowe, sianie dezinformacji oraz bardzo prymitywne formy komunikacji.

WIELKI REGRES?

Wygląda, jakby rewolucja cyfrowa, dzięki której wyrosły miliardowe fortuny kapitalistów nowego chowu, zaczęła odwracać wielowiekowy proces cywilizacyjny. Jaki z tego wniosek?

Jeśli wspólnie nie przemyślimy naszego stosunku do technologii, jeśli nie zakwestionujemy naiwnego technoentuzjazmu, to...

Po prostu zaprzepaścimy wielowiekowy dorobek ludzkości, wspaniałe osiągnięcia ducha ludzkiego – artystów, uczonych, reformatorów społecznych.

Andrzej Zybertowicz

CODZIENNIE CZYTAJ WIĘCEJ NIŻ INNI



WYBIERZ SUBSKRYPCJĘ 50% TANIEJ!

- wszystkie zamknięte artykuły na **wPolityce.pl**, również te w sekcji Premium+ – to ok. 1 300 tekstów rocznie!
- pełne e-wydanie tygodnika **SIECI** wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 20:00 – to kolejne ok. 1 700 tekstów rocznie!
- w prezencie świetne ebooki Sieci Extra udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na

www.siec.wpolityce.pl/oferta



ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ



Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci”, abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci”!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci”

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
109 zł	189 zł	349 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 349 zł)

